ANALIZA PRAWNIKA

Czy PiS może dziś obalić rząd Donalda Tuska?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/638 14–20 LIPCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Nikt nic nie wie, czyli polski film – Semka o dziwnej grze Szymona Hołowni

SZPOTAŃSKI, HELAK, RUDNICKI I INNI – MASŁOŃ O RACHUNKU SUMIENIA POLSKICH PISARZY

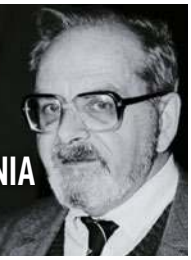

Dlaczego na Węgrzech nadal obowiązuje tak liberalne prawo do aborcji

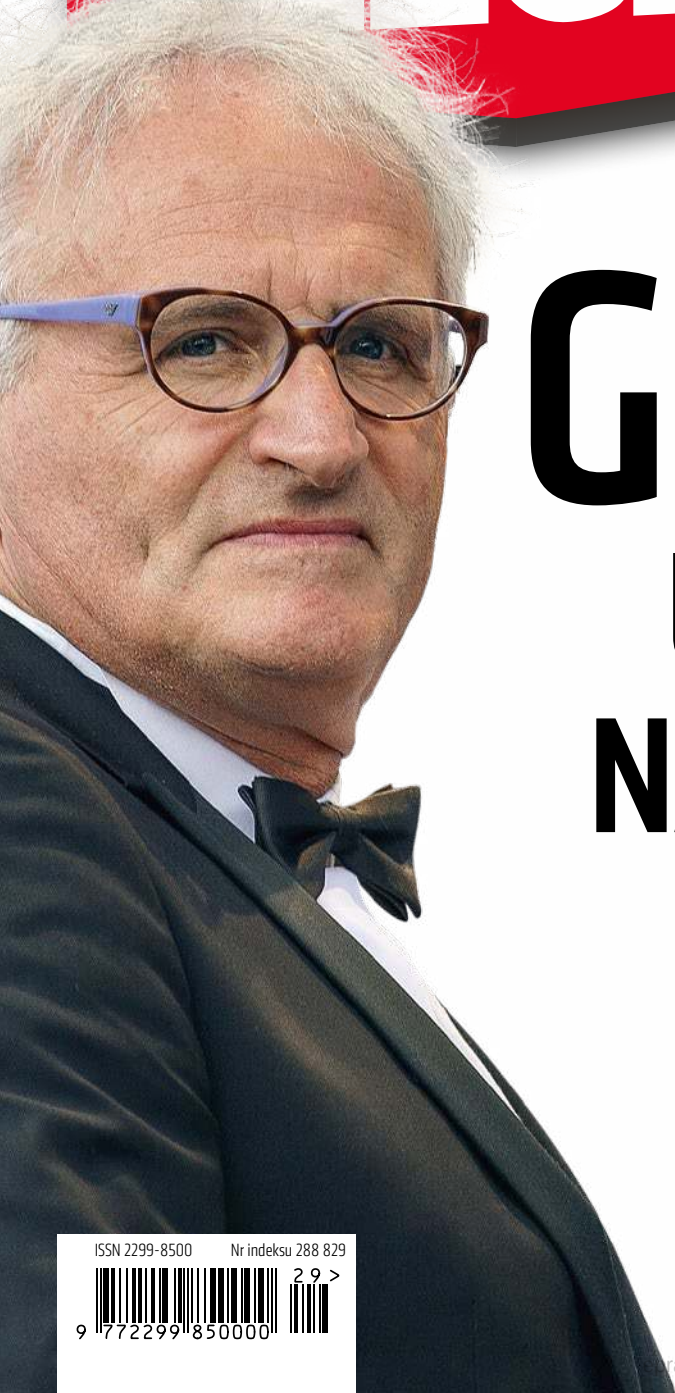

ROZMOWA „DO RZECZY”

GROŹNY UKRAIŃSKI NACJONALIZM

Krzesimir Dębski, którego babcia i dziadek zostali zamordowani podczas rzezi wołyńskiej, o rozczarowaniu dzisiejszą postawą Ukraińców

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
29>
9 772299 850000

rasa.pl 000991d239

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN: „DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ZŁ

465,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 000991d239

Moralna wyższość Zachodu

PAWEŁ LISICKI

Niemal w tym samym czasie, kiedy to podczas wizyty w Białym Domu premier Izraela, Beniamin Netanjahu, zadeklarował, że ze względu na zasługi dla Bliskiego Wschodu jego kandydatem do Pokojowej Nagrody Nobla będzie prezydent USA, Donald Trump, członek jego gabinetu, minister obrony Israel Katz, przedstawił plan – nazwijmy go planem kompromisu – który to ma stanowić uwieńczenie humanitarnych wysiłków prezydenta Trumpa i miłującego pokój premiera Izraela. Naprawdę obaj panowie zasłużyli na najwyższe uznanie. Nie da się przy tym nie zauważyć, że chociaż plan przedstawił minister Katz, to jego powstanie i realizacja możliwe są tylko dzięki wsparciu politycznemu, finansowemu i militarnemu prezydenta Trumpa.

Zgodnie ze słowami ministra Palestyńczycy w Strefie Gazy mają zostać „skoncentrowani" w otoczonych przez izraelskie wojsko obozach, nazywanych oficjalnie „miastami humanitarnymi" albo „humanitarnymi strefami przejściowymi". Ktoś złośliwy mógłby wprawdzie dostrzec w tych określeniach orwellowski dobór słów, ale mniejsza z tym. Być może koncentracja (stłamszenie, zgromadzenie, ściśnięcie) setek tysięcy ludzi w otoczonych przez armię izraelską obozach byłaby kiedyś nazwana gettem (obozem koncentracyjnym?), ale dziś, dzięki USA i Izraelowi, nazywa się to budową „miasta humanitarnego". O humanitarnym charakterze przedsięwzięcia świadczy też to, że będzie się można tam dostać, ale nie będzie się dało już z miasta wydostać – chyba że raz na zawsze opuszczając ojczystą ziemię.

Minister Katz (jako człowiek czynu) stwierdził, że polecił wojsku (IDF – Izraelskie Siły Obronne) przygotować utworzenie takiego „miasta humanitarnego" na ruinach miasta Rafah w południowej Strefie Gazy. Na początek ma ono pomieścić, bagatela, ok. 600 tys. uchodźców. A później, jak dobrze pójdzie – to znaczy jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z zamiarami obu miłujących pokój przywódców, z których jeden zgłosił drugiego do Nagrody Pokojowej Nobla, a drugi wezwał, by pierwszego nie ścigał sąd w związku z oskarżeniami o korupcję – miasto się rozbuduje do 2 mln ludzi. W ten sposób Państwo Izrael zrealizuje wreszcie pragnienie prawdziwie humanitarnej pomocy dla Palestyńczyków i kto wie, czy w przyszłości na Pokojową Nagrodę Nobla nie zasłuży sam premier Netanjahu.

Tym bardziej że Izrael przyzna uchodźcom prawdziwą autonomię i samodzielność. Po tym, jak się ich skoncentruje w ruinach – wcześniej dokonując właściwej selekcji i odsiania tych, którzy mogą mieć związki z Hamasem – będą oni mogli zorganizować życie po swojemu. Izrael wspaniałomyślnie zadba jedynie o zabezpieczenie granic. O życzliwości żydowskich polityków świadczy to, że gotowi są „skoncentrować" 2 mln ludzi, jeszcze nie wiedząc, dokąd ich później wysłać.

Nie jest to pierwszy przejaw humanitaryzmu Izraela. Tydzień temu okazało się, że w ramach wysiłków humanitarnych podejmowanych przez ten kraj żołnierze IDF dostali rozkazy strzelania do nieuzbrojonych Palestyńczyków gromadzących się przy punktach dystrybucji żywności w Strefie Gazy – co potwierdził izraelski dziennik „Haaretz". Zgodnie z jego doniesieniami żołnierze mieli strzelać do tłumu wtedy, gdy wiadomo było, że stojący w kolejkach po pożywienie Palestyńczycy nie stanowią dla żołnierzy zagrożenia. W ten sposób, utrzymuje izraelska gazeta, zginęło kilkaset osób. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego artykuł ten wywołał złość premiera Izraela, który nawet oskarżył dziennikarzy – wszyscy są Żydami – o antysemityzm. Przecież powinien zareagować całkiem inaczej. Tak jak tworzony przez niego największy w dziejach obóz „skoncentrowania" jest „miastem humanitarnym", tak strzelanie do walczącego o chleb i wodę tłumu należałoby nazwać „wzmocnioną pomocą humanitarną".

Zresztą cel całej operacji – a więc pozbycie się 2 mln Palestyńczyków z Gazy i wygnanie ich z ojczyzny – też wydaje się całkiem szczytny. W końcu zamiast ginąć od kul żołnierzy i pod bombami – działania armii Izraela doprowadziły do śmierci co najmniej 57 tys. Palestyńczyków, w większości kobiet i dzieci, oraz zamieniły w gruzy ok. 70 proc. budynków – mogą się ostatecznie wynieść (choć nie wiadomo dokąd). Wtedy wszyscy powinni być zadowoleni. Premier Netanjahu pozbędzie się potencjalnych terrorystów (a wiadomo, że są nimi wszyscy Palestyńczycy) i przekaże ich ziemię – która zresztą już nie jest ich, bo przez sam fakt narodzin i przynależności do niewłaściwej grupy stracili prawo własności – prawdziwym właścicielom, to jest osadnikom żydowskim. Za zaangażowanie na rzecz pokoju i troskę, którą okazuje żydowskim ofiarom antysemityzmu – bo tym jest przecież opór wobec planów Izraela – zostanie też nagrodzony prezydent Trump, który na pewno będzie mógł postawić na gruzowisku wielkie spa.

W ten sposób raz jeszcze Zachód pokazuje całemu światu, że zależy mu na imponderabiliach. Udzielając bezwzględnego wsparcia Izraelowi, który dokonuje nieustannych operacji samoobrony, zachodni przywódcy jasno pokazują, na czym polega ich moralna wyższość nad resztą świata. ©℗

eprasa.pl 000991d239

TEMAT TYGODNIA

12 ROZMOWA Z KRZESIMIREM DĘBSKIM
TRZEBA WRESZCIE ROZBROIĆ GRANAT
82. rocznica zbrodni wołyńskiej

KRAJ

16 PIOTR SEMKA
NIKT NIC NIE WIE, CZYLI POLSKI FILM
Efekty politycznej randki Hołowni

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZA MAŁO, ŻEBY WYGRAĆ

22 ROZMOWA Z JERZYM KWAŚNIEWSKIM
ANALIZA PRAWNIKA: CZY PIS MOŻE DZIŚ OBALIĆ RZĄD DONALDA TUSKA?

24 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM WIPLEREM
CHCEMY PREMIERA Z KONFEDERACJI

26 KACPER KITA
ODZYSKAĆ KONTROLĘ NAD KRAJEM

30 RADOSŁAW WOJTAS
TEATR HISTORII

KULTURA

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SUMIENIE POLSKIEGO PISARZA
Fragmenty nowej książki publicysty „Do Rzeczy"

40 PIOTR GOCIEK
SZYBCY JAK BŁYSKAWICE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 JAN FIEDORCZUK
CZY NAWROCKI UNIKNIE BŁĘDÓW DUDY?
Nowa prezydentura

49 ROMUALD KMIECIK
POLITYKA PRZECIW PRAWU I KONSTYTUCJI

50 FILIP MEMCHES
SEMICI CZY „BIALI LUDZIE"?

52 ROZMOWA Z SÁRI PONTIFEX
POKAZUJEMY CZŁOWIECZEŃSTWO NIENARODZONEGO DZIECKA

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KONIEC WOJEN LITURGICZNYCH?

HISTORIA

58 LECH MAŻEWSKI
UNIA POLSKO-LITEWSKO-MOSKIEWSKA?
Dlaczego nie doszło do porozumienia

ŚWIAT

62 ROBERT BOGDAŃSKI
WOJNA O UMYSŁ AMERYKI
Trump kontra ideologiczne szaleństwo na uniwersytetach

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
WAKACJE W CIENIU WOJNY

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
PRYMUS W TARAPATACH
Czy Polsce grozi rumuński scenariusz

72 JAKUB WOZINSKI
WSTĘP DO TRUMPONOMIKI

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
WISŁA SKARBÓW
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 000991d239

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Stróżyk/Reporter**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Józef Poniatowski pod Sensō-ji

Późny listopad, rozświetlone stragany u stóp królowej tokijskich świątyń Sensō-ji. Po zwiedzaniu trafiamy z córką na małą lodziarnię w pasażu. Smaków i kolorów moc, wybieramy egzotyczne nuty smakowe, rozmawiając oczywiście ze sobą po polsku. Zamawiamy u przemiłej, ok. dwudziestokilkuletniej Japonki. Dziewczyna z zaciekawieniem i niewymuszoną uprzejmością dopytuje, skąd jesteśmy. „From Poland" – mówimy z dumą. Błysk w jej oku i zwraca się do nas po angielsku, że zna bardzo sławnego Polaka. Porozumiewawcze spojrzenia z córką, Japonia, wiadomo, Chopin. Dziewczyna jednak jednym tchem wypowiada, że zna takiego bohatera z Polski – Józefa Poniatowskiego. Zaniemówiłyśmy. „Książę Józef Poniatowski?" – dopytuję, czy się nie przesłyszałam, bo Japończycy wypowiadają polskie nazwiska specyficznie. „Tak, sławny Polak, bohater, generał" – odpowiada swoistym angielskim. Potwierdzamy z uznaniem i aby nie wyjść na ignorantki czy znudzone turystki, wymieniamy pisarzy japońskich – Haruki Murakamiego, Osamu Dazai i innych. Uff, trzymamy poziom, tak się pocieszam, ale ogromne zaskoczenie pozostaje.

Wracamy do naszych panów, też chcą spróbować lodów, prujemy z powrotem do naszej sprzedawczyni lodów. Lody pyszne, ale ja teraz już ośmielona prosto z mostu pytam ją, skąd zna właśnie Józefa Poniatowskiego. Ona wyszukuje w swoim telefonie komórkowym mangę, komiks japoński, o Napoleonie. To stąd się dowiedziała o Józefie Poniatowskim. Czytała lub raczej oglądała atrakcyjnie przedstawioną historię obrazkową o dziejach przełomu wieków XVIII i XIX w Europie. Zaskoczyła nas tym doskonale.

Ta scena zapadła mi w pamięć. To była nasza spontaniczna sonda uliczna w – cokolwiek by mówić – odległym od Polski kraju i odległej kulturze. Wyrażają się tam o nas, o naszej historii, o polskich bohaterach narodowych z uznaniem i podziwem. Nurtuje mnie jedno – ilu polskich nastolatków czy nawet już studentów tak zapytanych znałoby chociaż jednego japońskiego bohatera narodowego? Idźmy dalej – bo to wcale nie takie pewne – ilu wiedziałoby, kim był książę Józef Poniatowski?

Czy obecnie nasze państwo dba o atrakcyjne formy popularyzowania i nauczania historii nie tylko w szkole? Czy raczej obecne Ministerstwo Edukacji jest zatroskane o „dobrostan" młodzieży i eliminuje krok za krokiem podstawową wiedzę, która jeszcze do niedawna stanowiła nasz narodowy kod kulturowy […].

Pozdrawiam
Anna Teleon, Lublin

eprasa.pl 000991d239

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Uchodźcy”? Nic nie widziałem!

PIOTR SEMKA

Znany literat Ziemowit Szczerek wybrał się na granicę, aby zdać raport czytelnikom „Gazety Wyborczej”. Przeszedł parę miejsc i orzekł: „Żadnych nielegalnych imigrantów nie widziałem”. A oprócz tego uraczył czytelników „Wyborczej” koktajlem z kpin wobec obrońców granic i kolejną próbką swojego szyderczego spojrzenia na polski katolicyzm.

A oto próbka stylu: „Pojechałem na granicę zobaczyć, jak Kaczyński, Bąkiewicz, Bosak i reszta elity zrobili emerytów i chłopaków w balona [...]. W Bogatyni było ładnie, ale pusto. [...] Jest lipcowa sobota i podobno jesteśmy w samym środku migracyjnego i antymigracyjnego kryzysu. Tyle że w ogóle tego nie widać. Ani migrantów, ani wściekłych tłumów na ulicach”.

Reportaż uczestniczący to w mniemaniu mediów protuskowych najlepsza odpowiedź na wszelkie pytania o sytuację na granicach. Dziennikarze jadą na granicę, ogłaszają, że żadnych imigrantów nie widzieli, a potem relacjonują swoje rozmowy z napotkanymi osobami. Popisowy numer to opowieść mająca dwa szczeble dramaturgii. W pierwszej fazie wywiadowany „obrońca” rozwodzi się, jakim zagrożeniem są przybysze z Trzeciego Świata. Po tym pytaniu reporter przechodzi do drugiej fazy i zadaje druzgocący cios. Pyta, czy ów patriota zetknął się z jakimś przechodzącym imigrantem. Wtedy „patriota” mamrocze: „Nooo, tak osobiście no to jeszcze się nie spotkałem”. W kwestii tego, czy rozmowa w ogóle miała miejsce, musimy wierzyć reporterom na słowo. Wniosek jasny – zwodzeni przez populistów biedni emeryci strzegą granicy, której nikt nie ma ochoty atakować.

Inny popularny motyw – tym razem w mediach niemieckich – to anonimowy mieszkaniec pogranicza, który narzeka, że burza wokół imigrantów przeszkadza w codziennym życiu. Niemiecki „Bild” pisze: „Coraz większe obawy mają polscy handlarze przy granicy”. W tekście polski handlarz lamentuje: „Mniej Niemców to mniejszy popyt na truskawki i czereśnie”. Regionalny dziennik „Ostsee Zeitung” opowiada o perypetiach rodziny, która chciała przejść z niemieckiej części wyspy Uznam do Polski przez przejście graniczne Świnoujście – Ahlbeck. Jednak rodzinie odmówiono wjazdu (kto odmówił? – z tekstu nie wynika), bo dzieci nie miały odpowiednich dokumentów uprawniających do przekroczenia granicy. „To bezczelność. Od lat przechodzimy na drugą stronę, mamy swobodny ruch graniczny – a teraz coś takiego” – oburza się zirytowany ojciec, który miał ochotę na spacer po Świnoujściu.

Jak więc widać, wspólny front liberalnych mediów niemieckich i polskich za pomocą wygodnej formy reportażu przekonuje, że w ogóle nie wiadomo, dlaczego ludzie się burzą. Przecież jest spokojnie, a żadnych „wściekłych tłumów migrantów na ulicach” nie widać.

Przypomina się stary dowcip, jak kieszonkowiec stojący przed sądem wybucha śmiechem, gdy oskarżyciel informuje, że ma świadka, który widział, jak podsądny okrada ofiarę. „Jeden świadek? To jest dowód? Ja mogę przedstawić 30 świadków, którzy widzieli, że nikogo nie okradałem”. ©℗

CZY POLSKA ODZYSKA MILIONY EURO?

Komisja Europejska niesłusznie potrąciła Polsce ponad 68 mln euro za niewstrzymanie wydobycia w kopalni Turów – uznała w ubiegłym tygodniu rzeczniczka generalna TSUE Juliane Kokott. Kara została już potrącona przez Komisję Europejską z należnych Polsce unijnych funduszy. Pani Kokott zaproponowała, aby stwierdzić nieważność decyzji KE o potrąceniu tej kwoty. Wiążący wyrok w sprawie wyda jednak dopiero TSUE.

FOT. ADOBE STOCK

GROK ROZWŚCIECZYŁ POLITYKÓW

Grok, czyli obsługiwany przez algorytmy sztucznej inteligencji chatbot portalu X, przeklinał i obrażał. Donalda Tuska miał nazwać „zdrajcą, który sprzedał Polskę Niemcom i UE”. Znieważał też Romana Giertycha oraz Jarosława Kaczyńskiego. Obraził również Recepa Tayyipa Erdoğana. Reżim w Turcji – gdzie do więzień wtrącono rekordową liczbę dziennikarzy – szybko zablokował dostęp do Groka. O możliwości cenzury marzą też rządzący w Polsce, którzy na Groka poskarżyli się Komisji Europejskiej.

eprasa.pl 000991d239

dwaj panowie g

Minister propagandy – a dokładniej rzecznik rządu Adam Szłapka – zwołał naradę osób odpowiedzialnych za politykę informacyjną rządu. Pierwszym przykazaniem, które sformułował, był nakaz, żeby bez względu na porę dnia i nocy rzecznicy poszczególnych resortów zawsze mieli włączone telefony i odbierali połączenia od dziennikarzy. – No dobrze, ale co mamy im mówić? – zainteresował się jeden z uczestników spotkania. Odpowiedź nie padła. Co właściwie jest też odpowiedzią.

Nominacja Zbigniewa Boguckiego na szefa Kancelarii Prezydenta Karola Tadeusza została powszechnie odebrana jako wielki sukces byłego wojewody zachodniopomorskiego. Jednak jeszcze większy sukces jego promotora, czyli Pawła Szefernakera. Oznacza to, że do przeszłości odchodzi stałe napięcie utrzymujące się między Wiejską a Krakowskim Przedmieściem. Wyjaśniamy: przy Wiejskiej mieści się nie tylko Sejm, lecz także gmach Kancelarii Prezydenta, gdzie urzęduje szef kancelarii. Z kolei przy Krakowskim, w Pałacu, urzęduje szef gabinetu prezydenta. I to nie byle gdzie, bo drzwi w drzwi z gabinetem samej osoby głowy państwa.

À propos gabinetu, Karolowi Tadeuszowi – jeśli jeszcze nie wie – podpowiadamy: z tyłu za biblioteczką po prawej stronie jest taki niewinnie wyglądający, a w rzeczywistości odsuwany, regał. A za regałem toaleta. Jak w jakimś filmie o Bondzie.

Podmiana oczekiwanego Czarnka na Boguckiego sprawiła, że ujawniła się trzecia frakcja w PiS. O dwóch pisaliśmy: jedni chcieli, by został szefem kancelarii Karola Tadeusza i szykował się do roli premiera rządu koalicji KO-PiS. Drudzy pragnęli, by skupił się na partii i w przyszłości został nowym prezesem PiS. Okazało się, że jest i trzecia frakcja: to ci, którzy kibicują, żeby w żadnym z tych przedsięwzięć mu się nie udało.

Jak widzicie po nominacjach, Karol Tadeusz wybija się na niepodległość. Żeby było śmieszniej, postanowił się wybić w Bieszczadach, a dokładniej – w Arłamowie. Tak. Dokładnie tym, w którym siedział Lech TW „Bolek". Do Arłamowa nie został zabrany żaden PiS-owiec i po tym spotkaniu krążyły plotki, że żaden nadmiarowy PiS-owiec nie ma szans na stanowisko w Kancelarii. Ale to właśnie w Arłamowie zapadła decyzja, że na czele Kancelarii stanie Zbigniew Bogucki.

Tymczasem w NIK. Pancerny Marian, znany też jako nieoficjalna agencja PR Donalda Tuska, grzmi z powodu afery GetBack. I domaga się powołania sejmowej komisji śledczej, która wykaże, że głównym winnym jest Komisja Nadzoru Finansowego. Już wyjaśniamy: otóż KNF był w ostatnim roku najbardziej obok IPN trzepanym przez NIK miejscem, gdyż ocalało tam sporo PiS-owców. Niestety, kontrole nie wykazały grzechów PiS-owców i nie można było wyczytać z ambony NIK konkretnych nazwisk. Trzeba więc było nawalać ogólnie i cofnąć się do GetBacku.

Tymczasem w Brukseli. Jest reakcja na to, że sojuszowi prawicowych ugrupowań udało się zebrać podpisy pod wnioskiem o odwołanie Ursuli. Reakcja ma na celu pogłębienie demokracji w europarlamencie. Otóż zostanie mocno podniesiony próg wymaganej liczby głosów pod takimi inicjatywami. Cóż, niewiele to pomoże. Słyszeliśmy, że jesienią będzie kolejny wniosek o wotum nieufności.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nieprawdą okazały się ploteczki, jakoby Radek z MSZ wysłał wniosek o odwołanie z Pekinu ambasadora Jakuba Kumocha, a z Watykanu ambasadora Adama Kwiatkowskiego. Obaj co prawda zjechali do Warszawy, ale na tzw. naradę kierplaców. Tak pieszczotliwie skraca się nazwę nasiadówy, zwanej kiedyś naradą ambasadorów. Jest to związane z tym, że nasz korpus ambasadorski się pod Radkiem skurczył do nieznanych wcześniej rozmiarów, a na czele wielu placówek stoją kierownicy placówek, zwani w gmachu właśnie „kierplacami". A plotki o odwołaniu Kumocha i Kwiatkowskiego rozsiewają sami pracownicy gmachu, którzy chcieliby ich zastąpić. Nawet jeśli mieliby wyjechać w charakterze kierplaców, a nie ambasadorów.

Przyznajemy nagrodę za najlepszy dowcip ubiegłego tygodnia. Zdobywają ją Młodzi Razem, czyli młodzieżówka Adriana Zandberga. Młodzi na wieść, że rekonstrukcja koalicji rządzącej została przesunięta o tydzień, zareagowali słowami: „Koalicja 13 grudnia stanie się w ten sposób koalicją 22 lipca". Lepiej byśmy tego nie ujęli.

Niektórzy mogą się dziwić, że nie nagrodziliśmy w tej kategorii czatbota generatywnej AI Groka, należącego do Elona Muska, który w długiej serii wypowiedzi na portalu X (dawniej Twitter) lżył Giertycha i Tuska od łajdaków tudzież zdrajców. Przypominamy, że w tej kategorii nagradzamy dowcipy, a nie uzasadnione opinie. Niestety, potem okazało się, że Grok oszalał, gdyż ogłosił się Mecha-Hitlerem. Ale wiecie, jak jest – szaleni prorocy przemijają, prawda pozostaje.

W związku z wyczynami Groka rząd poskarżył się Europie, a wicepremier Gawkowski chce wyłączyć portal X. Mamy pytanie: Czy chciałby go również wyłączyć, gdyby Grok lżył Kaczyńskiego i Nawrockiego? Przy okazji, dla mniej wiedzących: czatbot Grok od Elona Muska nazwę wziął od wymyślonego przez Roberta A. Heinleina czasownika „grokować" (powieść SF „Obcy w obcym kraju"). Co oznacza grokowanie? W największym skrócie: kumanie czegoś w lot, w całości i dotykając istoty rzeczy. Z tej perspektywy inaczej możemy spojrzeć na bluzgi sztucznej inteligencji, nieprawdaż? ©℗

Polska.pl 0009 d239

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Czym się strułeś

Profesor Marcin Matczak uchodził dotąd za gospodarczego liberała. Tym bardziej dziwić musi, że akurat on podjął ideę zrodzoną ongiś w suplikach środowiska „Gazety Wyborczej" do UE – ideę Funduszu Wolności, dotującego „demokratyczne" media. Jak wyjaśnia: „Instytucji, która sfinansuje nowoczesną, mądrą, emocjonalną narrację o wartościach liberalnych. Nie jako propagandę […], ale jako odpowiedź na populistyczną machinę TikToka, memów i narracyjnych uproszczeń". Pomysł jak pomysł, ciekawsza jest argumentacja: „Prawica wygrywa, bo rozumie emocje, symbole i media. Lewica – choć ma rację – przegrywa, bo mówi językiem wykresów i dydaktyzmu".

Pomińmy sugestię profesora – zabawną – jakoby osiem gwiazdek i „wypier….ć" to były dydaktyczne wykresy. Faktem jest, że prawica wygrywa dyskurs publiczny. Komunikuje się z ludźmi skuteczniej. Jednak bynajmniej nie dlatego, żeby lewica była niedofinansowana, a prawica dotowana – bo każdy przecież wie, że od zawsze jest odwrotnie. To właśnie to jest przyczyną merytorycznej słabości lewicy, że przywykła do tego, iż choćby kompletnie bełkotała, to liczyć może na obfitość grantów, dotacji i reklam. Natomiast nękane i szykanowane środowiska prawicowe zawsze liczyć mogły tylko na ofiarność tych, do których się zwracały. Więc pierwsi stopniowo zamykali się w towarzystwie wzajemnej adoracji i smędzeniu do samych siebie, a drudzy musieli się ostro starać, by nie stracić kontaktu z emocjami i oczekiwaniami publiczności. Stary, doskonale znany mechanizm – musisz być ludziom potrzebny, bo cię nie nakarmią – wykorzystany kiedyś także przez Kościół, który w chwili kryzysu powierzył kaznodziejstwo specjalnie w tym celu utworzonym zakonom żebraczym.

Kot nie łapie myszy, bo jest tłusty i przeżarty, a Matczak postuluje, żeby mu jeszcze dosypać karmy. Trochę głupi pomysł. Dodatkowy smaczek, że proponuje to liberał – ale widać, kiedy trwoga, to najbardziej zagorzali zwolennicy wolnego rynku skłonni są wołać o zbawienie za fundusze publiczne. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Prekursor Piusa XI

Młody ks. Wyszyński zwracał uwagę na uznanie, które „liczni obrońcy wolności konstytucyjnych w różnych państwach" mają „dla Sowietów, które te wolności przekreśliły w tak jaskrawy sposób". To znakomity przykład odczytania znaków czasu. Studium „Kultura bolszewizmu a inteligencja polska", w którym Stefan Wyszyński o tym pisał, ukazało się trzy lata przed encykliką Piusa XI „Divini Redemptoris". To tam (w art. 18) papież zwracał uwagę na „zmowę milczenia" osłaniającą zbrodnie komunizmu w „wielkiej części światowej prasy". Jednym z prekursorów tej tezy był 33-letni profesor włocławskiego seminarium.

Nie sztuka bronić sprawiedliwości, gdy stanowi to wymagany obowiązek, sztuka jej bronić, gdy wymaga tego sama sprawiedliwość.

Trzeba ciągle zachowywać świadomość zła komunizmu, o którego metafizycznym charakterze świadczą niepojęte opory, z jakimi się o nim mówi. Ale rzecz ma charakter nie tylko historyczny.

Pius XI zwracał uwagę na kontrast między (co najwyżej) zdawkowym informowaniem o nawet największych zbrodniach bolszewickich a łapczywością, z jaką prasa traktuje każdy inny, nawet najdrobniejszy incydent. Ta asymetria działa cały czas.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej ogłosił delegalizację Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych naszego Sądu Najwyższego ze względu na sposób powołania (za rządów PiS) nie samej Izby nawet, ale sędziów, którzy w jej skład weszli. Żadna instytucja w państwach Europy Środkowej w latach 90. XX w. nie była w ten sposób traktowana ani nawet oceniana z powodu składu złożonego z reguły w przygniatającej większości z funkcjonariuszy powoływanych przez kolaboracyjne reżimy komunistyczne. Bo – jak widać – dla władz UE komunizm był niczym wobec grozy dzisiejszego „prawicowego populizmu", a jeszcze bardziej – społeczeństw, które go popierają. ©℗

eprasa.pl 000991d239

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O skutkach upału

Stare włoskie powiedzenie głosi: „Pada. To przez ten złodziejski rząd!”.

Z okazji wysokiej fali upałów (było 40 st. C i więcej) Italia z ust politycznej i intelektualnej czołówki postępowców dowiedziała się, że lejący się z nieba żar to wina rządu całej prawicy, włoskiej i światowej.

Zapewne na skutek udaru słonecznego superlewicowy redaktor naczelny popularnego portalu Fanpage Francesco Cancellato uraczył czytelników myślą tyle oryginalną, ile pokrętną. Nawiązał do wydanego niedawno przez rząd dekretu bezpieczeństwa (obowiązuje od 9 czerwca), który przewiduje ostre kary za chuligaństwo, zideologizowany wandalizm i blokowanie dróg. Przypomnijmy, że była to główna broń wyznawców boskiej Grety (Thunberg) w walce ze zmianami klimatycznymi. W Italii mówią o nich „gretyni”.

Dyrektor Cancellato napisał w komentarzu z sarkazmem: „Za sprawą dekretu bezpieczeństwa znikli aktywiści klimatyczni i blokady dróg. Za to możemy cieszyć się 40-stopniowymi upałami w lipcu i pożarami w Katalonii”. I jak nic wyszło mu, że upały to efekt dekretu i wina premier Meloni.

Komuszek jowialny Pier Luigi Bersani (11 lat temu omal nie został premierem) powiedział w TV: „Mam nadzieję, że ci, którzy głosowali na prawicę, czują ten upał i to ich czegoś nauczy. Negowanie zmian klimatycznych przez naszą i światową prawicę to szaleństwo”. Natomiast postępowa dama Concita De Gregorio (kiedyś naczelna „L’Unita”) napisała w „La Repubblica”: „Przeżywamy apokalipsę klimatyczną. Rząd nie szuka odpowiedzi. Może idee też wyjechały na wakacje?”. Za upały winią rząd także „La Stampa” i cała szajbolewica.

Na koniec wróćmy do redaktora Cancellato, który dzięki radykalnym poglądom i dużej ekspresji często gości w studiach telewizyjnych. Ostatnio w TV La7 oburzał się, wrzeszcząc: „Ten rząd kryminalizuje przestępców!”. Następnego dnia Giorgia Meloni przemawiała w parlamencie. Na koniec rzuciła: „Słyszałam w telewizji, że mój rząd kryminalizuje przestępców. Potwierdzam!”. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 000991d239

GWIAZDOBZDUR

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

PAŁACOWE MENU

Brytyjczycy mają swoje „royal weddingi", a my mamy ślub Kingi Dudy w Pałacu Prezydenckim. W sobotę 5 lipca córka ustępującego wkrótce prezydenta wzięła ślub w tamtejszej kaplicy. Choć do końca uroczystość była utrzymana w ścisłej tajemnicy, to do mediów dostało się już sporo szczegółów. Na przykład menu. „Goście mieli okazję spróbować dań współczesnej kuchni polskiej. Przystawki obejmowały mus z wędzonego pstrąga z kalarepką i piklowaną rzodkiewką oraz carpaccio z pieczonych buraków z musem z orzechów włoskich" – opisuje serwis plotkarski Pudelek. Daniem głównym była pierś z kaczki w sosie z rabarbaru podana z ziemniakami gratin i młodymi porzeczkami karmelizowanymi miodem akacjowym. Dla wegetarian przygotowano stek z kalafiora. Onet Kobieta wylicza, że menu na weselu córki Andrzeja Dudy to koszt od 390 do 430 zł za osobę. Dla wścibskich – szefowa Kancelarii Prezydenta Małgorzata Paprocka poinformowała, że „wszystkie koszty pokrył prezydent z prywatnych środków".

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

JAK Z BAJKI

No dobrze, umówmy się – kto nie chciałby brać ślubu w Pałacu? I to jeszcze w TYM Pałacu? Tak wyjątkowa lokalizacja daje wielkie możliwości i sama w sobie jest czymś nadzwyczajnym, ale wymaga też specjalnych przygotowań. Ekspertka ślubna Izabela Janachowska zaznacza, że „śluby w pałacach to prawdziwy hit". – Tego typu lokalizacje często są pod opieką konserwatora zabytków, więc mogą obowiązywać konkretne zasady dotyczące np. dekoracji czy ustawienia sceny. No i styl! Jeśli marzycie o rustykalnym, boho klimacie z łapaczami snów i wiankami na stołach, to może być trudno pogodzić to z marmurowymi kolumnami i złotymi żyrandolami. Pałac ma swój charakter i warto go uszanować, a dekoracje dopasować, a nie walczyć z przestrzenią – zaznacza telewizyjna gwiazda. Największy koszt to zdecydowanie dekoracje. – Pałace mają duże przestrzenie i wysokie sufity, więc żeby zrobić efekt „wow", trzeba zainwestować trochę więcej niż w standardowej sali. Ale! Sky is the limit – w pałacowych wnętrzach nawet najprostsze kwiaty wyglądają jak z bajki, jeśli są dobrze zaaranżowane – podkreśla. – Pałac Prezydencki to miejsce absolutnie wyjątkowe, niedostępne dla większości z nas – pełne historii, majestatu i symboliki. Organizacja ślubu w takim miejscu to ogromne wyróżnienie i wyzwanie, a także... przywilej – zauważa Janachowska.

CHORWACJA DLA KAŻDEGO

Zejdźmy na ziemię. Z pałacowego wesela przenosimy się na chorwackie wakacje, ale takie w wersji „budget". Niezastąpiona Marianna Schreiber wybrała się nad turkusowy Adriatyk, ale nie zamierzała przepłacać – zamiast stołować się w restauracji, kupiła w sklepie kurczaka i ziemniaki, a następnie przyrządziła posiłek na grillu. Nie trzeba dodawać, że wszystko zostało szczegółowo zrelacjonowane w sieci. Niektórzy obserwatorzy Marianki oburzyli się, że skoro nie ma zamiaru wspierać lokalnych biznesów, to powinna zostać w kraju.

Schreiber nie mogła zostawić takich zniewag bez odpowiedzi. „Wczoraj wrzuciłam filmik, w którym sama gotuję obiad dla siebie i córki w domku z basenem, który wynajęłam w Chorwacji. Myślałam, że to dobrze, że potrafię ugotować dziecku obiad nawet tutaj, tym bardziej że mam do tego możliwości w postaci kuchni czy grilla, ale nie... Dostałam za to masę hejtu, że »Jak to! Jedziesz na urlop i nie stać Cię, by każdego dnia chodzić po restauracjach?«, »Jak się ma zamiar samemu gotować, to się wcale nie jedzie, jak Cię nie stać«" – rozpoczęła wpis Marianna Schreiber. „Problem w tym, że gotowanie samemu na wyjeździe na przemian z chadzaniem do restauracji nie świadczy o tym, że nie masz pieniędzy, aby kupić dziecku obiad na mieście. To po prostu czasem oznacza, że dziecko zje akurat te produkty, które sama mu zrobisz, albo że tego dnia chcecie zjeść coś po swojemu na miejscu, w domku. To nie jest nic złego. Jestem pewna, że ten, kto ma dzieci, to zrozumie. Wprawdzie jest to frustrujące, że należy się tłumaczyć z tego, że żyjesz jak każdy inny, a nie ponad stan i udajesz przed ludźmi, że Cię stać na Bóg wie co" – wyjaśnia.

Marianna podkreśla, że nie ma zamiaru udawać „nikogo lepszego" tylko dlatego, że ma status celebrytki. „Nie czuję się lepsza. Żyję normalnie i nawet gdybym miała masę pieniędzy, to dalej bym tak żyła. Nie uznaję życia na pokaz, by inni mi zazdrościli albo czuli się gorsi. Nie muszę tego pokazywać tutaj na social mediach, by się dowartościować w waszych oczach. Jestem zwykłym zjadaczem chleba. I tak chcę żyć do końca moich dni. Nie blichtr, nie przepych i nie życie ponad stan czyni z ciebie lepszego człowieka. Jeżeli moje dziecko jest szczęśliwe, nawet jedząc kotleta zrobionego w domu, to tak – dla mnie to jest coś wielkiego. Dla was nie musi" – podsumowała. Niezwykłe jest to, z jaką swobodą Marianka przeplata deklaracje o swojej zwyczajności z akcjami niemającymi ze zwyczajnością nic wspólnego. Jedna na milion! ©℗

eprasa.pl 000991d239

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i stało się – pod rządami koalicji (jeszcze) 15 października Polakom jest za dobrze. Z jednej strony spoko – bo to pokazuje, iż rząd mimo wielu niesprzyjających czynników daje radę, ogarnia – jak to mówi młodzież. Z drugiej strony, kiedy Polakom jest za dobrze, to zazwyczaj się im w doopach przewraca i potem są rozbiory albo wojny, zależy od cyklu historii.

Teraz jeszcze aż tak źle nie jest, ale konsekwencje istnieją i są poważne. Otósh przeczytaliśmy w polskich mediach streszczenie artykułu z „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (wstyd przyznać, ale nie mówimy po niemiecku), z którego wynika, iż z powodu rosnącego dobrobytu w tym kraju coraz mniej januszów decyduje się na sezonowe wyjazdy do Niemiec do pracy. W związku z tym niemiecki rynek pracy przechodzi pewne trudności, iż nie ma osób od wykonywania pewnych prostych i nieskomplikowanych czynności, do których idealnie nadawali się właśnie Polacy.

Stawia nas to w kłopotliwym położeniu niespłaconego zobowiązania, iż nie dość, iż wszystkie te wojny, w których Polska brała udział, to jeszcze teraz nie ma rąk do pracy, bo janusz w wakacje woli grillować na działce, niż pojechać na truskawki czy tam szparagi, czy co się o tej porze roku zbiera. To pokazuje też destrukcyjną siłę neoliberalizmu, w którym jednostki pracujące tracą ambicje, osiągnąwszy pewien poziom dobrobytu, a więc starego poloneza w dieslu, grilla, działkę, kiełbasę z biedry i 24 puszki taniego piwska z promocji 12 + 12.

A tymczasem miejsce januszów na niemieckim rynku pracy zajmą inni imigranci, ambitniejsi, pracowitsi, którzy mają coś do udowodnienia. I powrotu do szparagów nie będzie, stąd też znane przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie".

Wydaje nam się ostatnio, iż w ogóle żyjemy w bańce złych wiadomości. Pierogi w Kosmosie, o których pisaliśmy wam tydzień temu, polska tania siła roboczą ignorująca niemiecki rynek pracy, ale nade wszystko wahnięcia, tąpnięcia i trzęsienia o różnej amplitudzie, które ostatnimi czasy nawiedzają rządzącą koalicję.

Przykro się patrzy, jak pan Premier staje się coraz bardziej osamotniony na placu boju, jak muszą boleć go knowania marszałka rotacyjnego i targi o marszałkowską laskę, fotele wicepremiera itd. Premier na pewno by coś zrobił, no ale ma do tego na karku opozycję, która mu ciężko w ten kark dyszy, opętana żądzą władzy.

Nic więc dziwnego, iż młodzi ludzie obserwujący takie spektakle mogą się czuć skonfundowani i z coraz większym sceptycyzmem podchodzić do demografii. Spotkaliśmy się z badaniem, według którego nawet nie połowa młodych Polaków uważa demokrację za najlepszy możliwy ustrój. Co więcej, aż 23 proc. byłoby skłonnych zaakceptować rządy autorytarne.

Najwidoczniej ankieta została przeprowadzona wśród tych, którzy nie pamiętają mrocznych lat 2005–2007, a coraz słabiej 2015–2023. Autorytaryzm dał nam wtedy popalić, ale szczęśliwie udało się go pokonać dzięki sile tej poddawanej pod wątpliwość demokracji. Co więcej, boimy się, iż te nastroje wykorzysta jakaś współczesna iteracja Korwina Krula, typu Braun albo Mentzen, albo prezydent elekt, którego w sumie obawiamy się najbardziej, iż do rządów autorytarnych się nadaje, bo jest duży i silny.

Mamy nadzieję, że koalicja się prędziutko ogarnie i odbuduje zaufanie społeczne, iż jeśli nie, to wszyscy będziemy mieli przerąbane. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wiadomość od Naczelnika

Panie, dej piniążek, dej... Ni ma na jedzenie, ni ma, dzieci chore...

Od takich sytuacji jest opieka społeczna, ja panią mogę zaprowadzić...

Sam się zaprowadź. Adam, to ja!
Szymon?!

Ciszej! Daj mi szybko jakąś kasę, żeby wyglądało wiarygodnie.
Ale... Co ty masz na sobie? Co to za szmaty? No i charakteryzacja, muszę ci powiedzieć, znakomita!

Od dzisiaj spotykamy się pod tym sklepem. Wiadomości od Naczelnika przekazuj tylko na karteczkach, karteczki wkładaj w banknoty, które mi będziesz dawał. Nikomu nie ufam.
Może być 10 zł?

No bez jaj. Pięć dych przynajmniej.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS znowu razem z szowinistami, wrogami Unii i wolności, politycznymi żulami, w służbie Rosji, przeciwko Polsce".

STEFAN NIESIOŁOWSKI, były poseł, na X

eprasa.pl 000991d239

ŁUKASZ WARZECHA: Co spowodowało, że wznowienie pana książki „Wołyń. Nic nie jest w porządku", która miała premierę w 2016 r., ukazuje się teraz?

KRZESIMIR DĘBSKI: Książka została napisana przed wojną na Ukrainie. Gdy wojna wybuchła, okazało się, że poruszony w niej temat stał się ponownie bardzo aktualny i nabrzmiały problemami, a sytuacja rozwija się raczej w negatywną stronę. Ukraiński nacjonalizm okazuje się połączony z patriotyzmem wojennym. Ukraińcy, owszem, walczą o swoją ojczyznę, ale w tle jest Bandera.

Czy kiedy wojna się zaczynała, miał pan nadzieję, że dawni nacjonalistyczni bohaterowie zostaną nareszcie zastąpieni przez nowych, tych z obecnego konfliktu?

Tak właśnie myślałem. Sądziłem, że konieczność zmierzenia się współcześnie z rosyjską potęgą zmieni ich spojrzenie na przeszłość. Niestety, połączono wojenny wysiłek Ukraińców z historycznym nacjonalizmem. Widzimy więc, że żołnierze idą na front i bardzo często mają na ramionach czarno-czerwone naszywki. Właśnie nie ukraińskie – niebiesko-żółte, tylko ten historycznie złowrogi zestaw barw. Na sztandarach pojawiają się portrety Bandery, a na cmentarzu Łyczakowskim, gdzie odbywają się pogrzeby patriotycznie nastawionych młodych Ukraińców, poległych w aktualnej wojnie, widać przy tych okazjach las czerwono-czarnych flag. Samochody dostarczane jako dary z Zachodu, także z Polski, są oznaczane barwami banderowskimi. Rozmawiałem o tym z wieloma Ukraińcami – oni nie rozumieją, że w ten sposób idą na rękę rosyjskiej propagandzie, która twierdzi, iż Ukraińcy to faszyści, nacjonaliści i banderowcy.

Jaka jest odpowiedź?

Że „mamy takich bohaterów". Nie są w stanie przyjąć nowocześniejszego spojrzenia.

Nowocześniejszego – czyli?

Czyli że w cywilizowanym świecie nacjonalizm nie jest uznawany za dobrą ideę, zwłaszcza jako wiodąca narracja w państwie.

Widać tutaj zróżnicowanie podejścia w zależności od regionu Ukrainy?

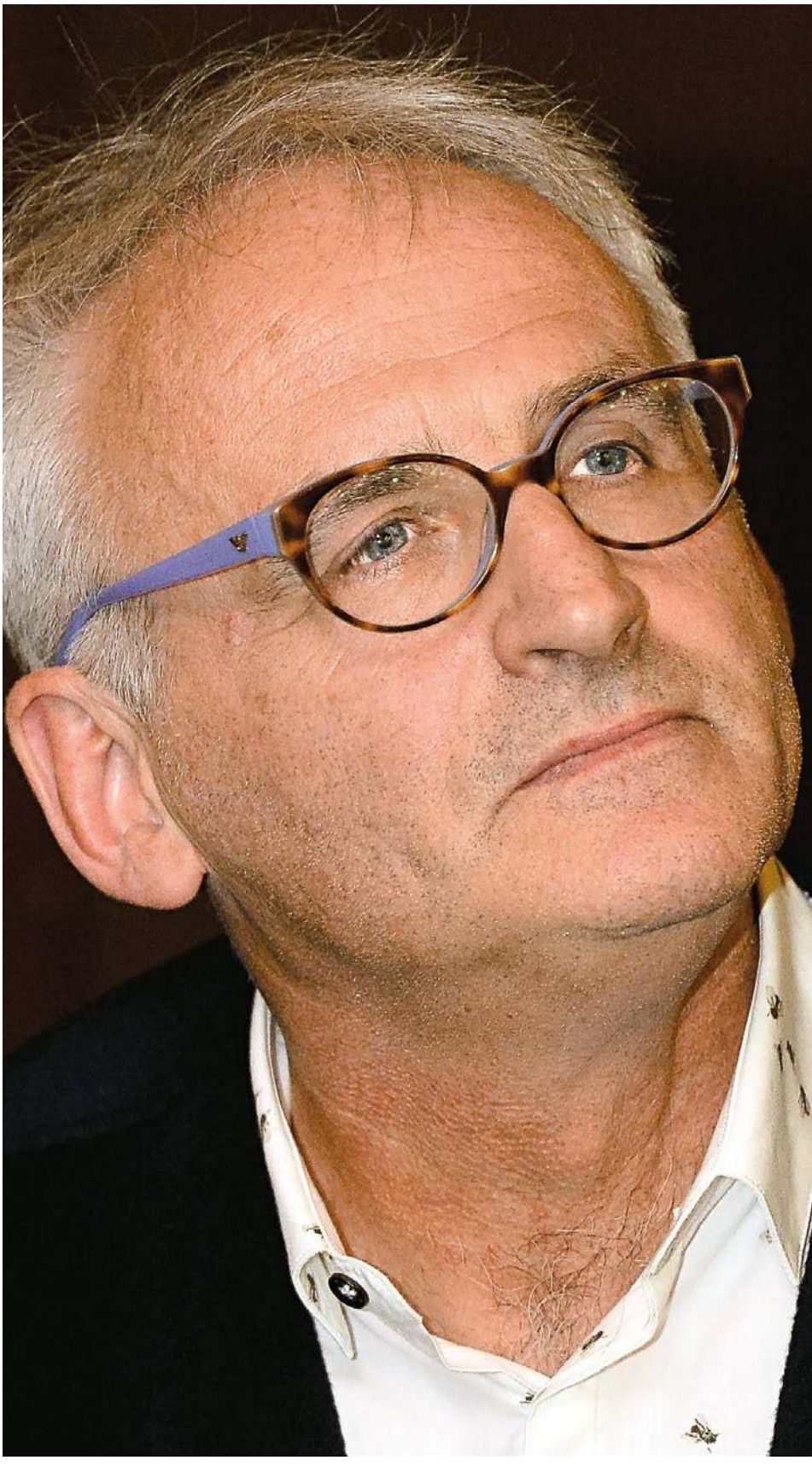

FOT. GERARD/REPORTER

eprasa.pl 000991d239

Z Krzesimirem Dębskim, kompozytorem, autorem książki „Wołyń. Nic nie jest w porządku”
rozmawia Łukasz Warzecha

Trzeba wreszcie rozbroić granat

Krzesimir Dębski – kompozytor, skrzypek i dyrygent. Autor muzyki do wielu filmów. Laureat licznych nagród. Dramatyczne doświadczenia swojej rodziny z okresu drugiej wojny światowej opisał w książce „Wołyń. Nic nie jest w porządku”.

Na tylnej okładce swojej książki Krzesimir Dębski pisze:

Był 11 lipca 1943 roku, Krwawa Niedziela na Wołyniu. W tym dniu nacjonaliści z Ukraińskiej Powstańczej Armii wtargnęli do kościołów i domów w wołyńskich miastach i wsiach, by pozabijać Polaków zebranych na sumach. Napadli też na kościół w Kisielinie, gdzie na mszę poszli moi rodzice. Mama z ojcem uciekli z pogromu, Ukraińcy jednak porwali i zabili mojego dziadka i babcię. Po latach poszukiwań spotkałem ich mordercę.

Do tej pory na Ukrainie rzeź wołyńska nie została oficjalnie nazwana czystką, jakiej ukraińscy nacjonaliści z UPA dopuścili się na Polakach. We wszystkich krajach naziści i faszyści zostali potępieni. A zbrodniarze z UPA wręcz przeciwnie, w swoim kraju są uważani za bohaterów.

A ja bym chciał, żeby w ukraińskich podręcznikach było napisane, co naprawdę robiła UPA.

KRZESIMIR DĘBSKI
„WOŁYŃ. NIC NIE JEST W PORZĄDKU”
CZERWONE I CZARNE 2025

eprasa.pl 000991d239

Oczywiście. Zjawisko, o którym mówię, występuje zwłaszcza na Ukrainie Zachodniej. Ale nie tylko tam. Tuż przed wojną widziałem w Kijowie przemarsz młodych Ukraińców w mundurach Nachtigall [Battalion Ukrainische Gruppe Nachtigall – ukraińsko-niemiecki ochotniczy batalion Wehrmachtu „Słowik", oskarżany o zbrodnie wojenne na Polakach i Żydach – przyp. Ł.W.]. Było ich ze 2, 3 tys. Było to dla mnie porażające.

W pana książce pojawia się historia współczesnego ukraińskiego zespołu Tartak, który nagrał teledysk do jednej ze swoich piosenek w ruinach kościoła w Kisielinie – tego samego, na który 11 lipca 1943 r. napadła banda UPA i na którego plebanii tego dnia, w czasie obrony, szczęśliwie skutecznej, zaręczyli się pana rodzice. Pisze pan: „Muzycy przebrani w mundury UPA skaczą w tych ruinach, które zostały po upowskim barbarzyństwie, i śpiewają »Sława Ukrainie«, czyli tekst nacjonalistycznego pozdrowienia". Korespondował pan z liderem tej grupy, tłumacząc mu, że to co najmniej niestosowne. W odpowiedzi Ukrainiec napisał, że „śpiewali o swoich bohaterach, więc się za nich przebrali, do czego mają święte prawo". Nie jest to odosobniony przypadek takiego podejścia. To arogancja, brak empatii, bezwstyd? Jak to nazwać?

To jest po prostu zaślepienie. Niezrozumienie współczesnego świata, w którym narody jakoś się dogadują. Ukraińcy nie są w stanie pojąć, po co nam, Polakom, są potrzebne ekshumacje, a i po polskiej stronie są politycy czy działacze, którzy twierdzą, że z powodu domagania się ich Ukraińcy tylko bardziej się jeżą. A przecież „krzywdy były po obu stronach i lepiej o tym zapomnieć".

Dlaczego ekshumacje są właściwie takim problemem dla strony ukraińskiej?

Działania w tym kierunku trwały za prezydenta Petra Poroszenki, potem zostały całkowicie wstrzymane, teraz coś się znowu w tej sprawie dzieje. Natomiast opór bierze się stąd, że gdy dochodzi do odkrycia szczątków pomordowanych, okazuje się, że były to w ogromnej części dzieci, kobiety i starcy. Wszystko to dowodzi, że mamy do czynienia z ludobójstwem. Gdy w 1939 r. wybuchła wojna, Polacy mieszkający na Kresach trafili do wojska, a później wielu z nich przedostało się na Zachód i tam podjęło walkę. Na polskich terytoriach na wschodzie z Polaków pozostały głównie właśnie dzieci, kobiety i starsze osoby. To na tych bezbronnych ludzi uderzyły oddziały UPA. A właściwie nawet nie przede wszystkim UPA – to była „czerń", czyli zwykli Ukraińcy, którzy byli przez UPA mobilizowani i często brali na siebie główny ciężar mordu, zresztą nierzadko kierując się motywem rabunkowym.

W pana książce jest wiele relacji. Ja zwróciłem uwagę na tę pochodzącą od dziewięcioletniej dziewczynki, której Ukrainiec przestrzelił stopę i która ukrywała się w zbożu. Usłyszała swoją sąsiadkę, Ukrainkę Ulanę, zaprzyjaźnioną z jej rodzicami, do której zwykła się zwracać „ciociu". Wyszła do niej, prosząc o pomoc, i usłyszała: „Ty polska mordo, jeszcze żyjesz?!". Sąsiadka złapała motykę i zaczęła ją gonić, na szczęście bez powodzenia. Gdyby dogoniła, to zapewne by zabiła – małe dziecko, córeczkę swoich zaprzyjaźnionych sąsiadów. To jest właśnie najbardziej wstrząsające – że sąsiedzi mordowali sąsiadów, w tym tych, z którymi niedługo wcześniej żyli w wielkiej komitywie, a nawet przyjaźni. Jak to wytłumaczyć czy w ogóle pojąć w ludzkich kategoriach?

Ja nie potrafię. Im więcej wiemy na ten temat, tym mniej zrozumiałe jest to również dla mnie. Może tło historyczne jest częścią wytłumaczenia. Uważam, że to była nieszczęsna ziemia, na której pogromy, straszliwe zbrodnie, morderstwa zdarzały się od wieków. Bardzo młodzi chłopcy, niemający nawet 18 lat, Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, byli wcielani do carskiego wojska, tak jak mój dziadek od strony mamy. Wysłano go do Port Arthur, na wojnę rosyjsko-japońską, a to była wojna okrutna. Mój dziadek powrócił stamtąd na piechotę. Na początku trochę jeszcze o tym opowiadał, ale gdy zaczęła się druga wojna światowa, gdy zaczęto mordować Żydów, wśród których się wychowywał, kompletnie przestał o swoich doświadczeniach z wojny na Wschodzie wspominać. Po zbrodniach ukraińskich w 1943 r. całkowicie zapadł się w sobie. Całymi dniami siedział i patrzył w okno. Przestał się po prostu odzywać, całkowicie.

Czyli najpierw Ukraińcy i Polacy byli razem w wojsku carskim, a później wielu z nich stanęło naprzeciwko siebie. Ukraińcy mordowali Polaków, pomagali Niemcom skwapliwie w przeprowadzeniu Holokaustu, w likwidacji gett. A pamiętajmy, że pierwsza wojna światowa przez bardzo długi czas toczyła się właśnie na tych terenach. Często bezpośrednimi działaniami wojennymi był objęty pas terenu o szerokości nawet 100 km. Może z tego wynikło jakieś zobojętnienie na cierpienie, na wszelkie ludzkie uczucia?

Ale przecież nie wszyscy tak się zachowywali. W pańskiej książce co kilka akapitów pojawiają się Ukraińcy, którzy albo przechowywali Polaków przez całkiem długi czas, albo choćby przez moment, albo przynajmniej ostrzegali ich, żeby uciekali, bo mogą zostać zabici.

Mam takie przypadki w osobistym doświadczeniu mojej rodziny. I chodzi właśnie o kolegów mojego dziadka z wojska, rodzinę Parfeniuków. Moja rodzina przeżyła dzięki nim. Kilka lat temu właśnie za to małżeństwo Lubow i Antona Parfeniuków otrzymało pośmiertnie medale Virtus et Fraternitas [medal ustanowiony w 2017 r., przyznawany przez Prezydenta RP m.in. za zasługi w ratowaniu Polaków w obliczu zbrodni sowieckich, niemieckich czy ukraińskich], stworzone na wzór odznaczenia dla Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Niestety, bardzo wielu Ukraińców boi się te medale przyjmować, bo jest to przez innych źle widziane, że ktoś z rodziny pomagał Polakom. Akurat Parfeniukowie medale w imieniu swoich nieżyjących przodków przyjęli.

Inny cytat z pana książki, mówiący o Ukraińcach: „Byliśmy wśród ludzi, którzy wysyłali do nas na studia swoje dzieci, którym dawaliśmy dach nad głową, kiedy przyjeżdżali leczyć się do Polski, którym załatwialiśmy w Polsce pracę, wysyłaliśmy zaproszenia, kiedy tylko chcieli. Czasami w mieszkaniu rodziców spało pokotem kilkanaście osób [...]. A kiedy sami pojechaliśmy w ich strony, mieszkaliśmy w hotelach, jeśli można to nazwać hotelami. Dlatego nie spodziewaliśmy się przeprosin, wiedzieliśmy, że to niemożliwe przy ich stanie mentalności. Przestaliśmy już tam szukać sprawiedliwości, niech tylko pokażą, gdzie jest mogiła dziadków". O co chodzi z tą mentalnością Ukraińców?

To tak, jak powiedział mer Lwowa: mamy własną narrację i koniec. Ciekawa jest tutaj sytuacja z ukraińskimi pisarzami, którzy przyjeżdżali do Polski, dostawali stypendia, zamawiano u nich książki. Jest taki pisarz, Jurij Andruchowycz. Pamiętam jego opowiadanie,

eprasa.pl 000991d239

Wiec z okazji 114. rocznicy urodzin Stepana Bandery. Obok narodowych flag ukraińskich powiewają sztandary ruchu banderowskiego, Lwów, 1 stycznia 2023 r. FOT. YURIY DYACHYSHYN/AFP/EAST NEWS

w którym pociągiem jadą żołnierze. Rzecz dzieje się w czasie drugiej wojny światowej na terenach kontrolowanych przez Niemców, więc raczej jasne jest, jakie wojsko może tam i w tamtym czasie jechać pociągiem. Pojawia się sowiecki samolot, ostrzeliwuje pociąg. Tym pociągiem jedzie piękny, płowowłosy, czysty, idealny ukraiński młody chłopak, żołnierz, którego kula trafia w twarz i pada martwy. No ale przecież jasne jest, że ten młodzieniec musiał należeć do jakichś kolaborujących z Niemcami jednostek ukraińskich – a to już w ogóle nie jest w tym opowiadaniu wskazane. Mamy zapamiętać, że zginął przeczysty bojownik o ukraińską sprawę.

Nowym prezesem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej został właśnie Ołeksandr Ałfiorow, były oficer pułku „Azow", który relatywizował już w swoich wypowiedziach zbrodnie jednostki Waffen-SS „Galizien". Jak pan komentuje tę nominację?

Nie zaskakuje mnie to. Kiedy na Ukrainie powstają rządy koalicyjne, to również ministerstwo oświaty trafia do najbardziej skrajnych nacjonalistycznych polityków. I w ten sposób dzieci, które nigdy o takich sprawach nie słyszały, dostają teraz porcję nacjonalistycznych przekonań oficjalnie wtłaczaną do głów poprzez zatwierdzone przez rząd podręczniki. Uważam to za skrajnie nieodpowiedzialne.

Sądzi pan, że ukraiński nacjonalizm może nam bardziej bezpośrednio współcześnie zagrozić?

Są przejawy tego, że niektórzy Ukraińcy mają do nas pretensję – że nie dostają takiej pomocy, jak powinni, że nie są traktowani, jak uważają, że powinni być traktowani. Spotyka się też Ukraińców, którzy odnoszą się do Polaków wprost wrogo, mieszkając w naszym kraju i ciesząc się pewnymi przywilejami. Więc tak, w połączeniu z nacjonalizmem uważam, że to może być niebezpieczne.

Niektórzy twierdzą, że ukraiński nacjonalizm co prawda jest faktem, ale nie ma wymiaru antypolskiego, ponieważ Ukraińcy zwyczajnie nie wiedzą, że UPA jest winna zbrodni przeciwko Polakom. A może właśnie to jest problem – że nie wiedzą?

To my powinniśmy prowadzić w tej sprawie odpowiednią politykę, bo Ukraińcy ze swoich książek i podręczników się o tych zbrodniach nie dowiedzą. To zresztą zasadnicza różnica pomiędzy Polską a Ukrainą. Przecież u nas te nieliczne wątpliwe czy wstydliwe elementy historii, takie jak Goralenvolk czy poczynania niektórych oddziałów Żołnierzy Wyklętych, są przedmiotem otwartej dyskusji. Na Ukrainie natomiast żadne takie dyskusje się nie toczą. Mało tego, jak słyszałem, na Ukrainie utrudniane są aktualnie badania historyczne nad ukraińskimi zbrodniami. Zresztą w wielu przypadkach ukraińskie oświadczenia czy deklaracje mają jedynie na celu zatarcie czy zamglenie prawdy. Czasami mam wrażenie, że to działanie typowe dla Azji: udawanie przyjaciela, którym się naprawdę nie jest.

11 lipca 2022 r. prezydent Andrzej Duda zbeształ publicznie ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego w czasie uroczystości poświęconych pamięci ofiar ukraińskiego ludobójstwa, mówiąc: „Niech ksiądz waży słowa". Jak pan to odebrał?

Było to strasznie smutne zdarzenie, zwłaszcza że ks. Tadeusz był bardzo wyważonym człowiekiem. Wcale nie dążył do wzmocnienia konfliktów, po prostu dbał o pamięć. Nie sądzę, żeby te słowa panu prezydentowi się przypadkiem wyrwały. One były raczej odbiciem tego, jak myślała większość jego współpracowników. Ogromnie żałuję, że ks. Isakowicza-Zaleskiego nie ma już wśród nas.

Pana książka jest bardzo osobista i trudno, żeby taka nie była, skoro pana rodzice zaręczyli się w czasie dramatycznej obrony plebanii w Kisielinie przed upowcami. Kiedy po raz pierwszy dowiedział się pan o tym, co się wydarzyło na Kresach? Pan sam urodził się dopiero w 1953 r.

W moim domu historia rodziny była często omawiana. Oczywiście przy mnie, gdy byłem mały, w takiej formie, w jakiej może to przyjąć dziecko. To był czas, gdy moi rodzice spotykali się ze swoimi kolegami z AK potajemnie, odwiedzając różne miasta. My, dzieci, wychodziliśmy na podwórko, a rodzice siedzieli z dawnymi towarzyszami broni i opowiadali także o tym. Czasami słyszeliśmy fragmenty tych opowieści, przeznaczonych dla dorosłych. Mój ojciec był w ten temat bardzo zaangażowany. Dbał o pamięć, sam opisał historię UPA, a przede wszystkim to właśnie on wyznaczył 11 lipca 1943 r. jako kulminacyjną datę ukraińskiego ludobójstwa. Późniejsze dokładne badania, prowadzone już przez zawodowych historyków, potwierdziły jego ustalenia. Moje wyczulenie na próby fałszowania historii, jej zamącania zawdzięczam właśnie mojemu ojcu. Uważam, że sprawa wołyńskiej zbrodni, dopóki nie zostanie załatwiona, choćby tak jak udało nam się ułożyć nasze relacje z Niemcami mimo zbrodni, jakie oni popełnili w Polsce, dopóty będzie granatem podłożonym pod nasze relacje, który zawsze może wybuchnąć. Trzeba go wreszcie rozbroić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Piotr Semka

Szymon Hołownia może sobie pogratulować pomysłu z kolacją w apartamencie przy ul. Biały Kamień. Burzę wywołał, rozgłos zyskał, swoją niezależność zamanifestował, a zbyt słonej ceny za tę awanturę na razie nie zapłacił. Ale co dalej z koalicją?

Szymon Hołownia przybrał minę kogoś, kto jest szczerze zdumiony rozgłosem, który wywołało jego spotkanie z politykami PiS FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Nikt nic nie wie,

Jeśli ktoś chciał osiągnąć przy pomocy minimum nakładów – maksimum politycznego efektu, to Szymon Hołownia i Adam Bielan mogą sobie pogratulować. Tsunami emocji, które rozszalały się po wyjściu na jaw informacji o politycznej randce marszałka Sejmu, mówi nam bardzo wiele o stanie dzisiejszej polityki. Jednak przy okazji ujawniają, w jakiej politycznej mgle poruszają się dzisiaj wszyscy protagoniści naszej rozgrywki politycznej. Nikt nic nie wie. No to konkretnie – kto nie wie i czego?

TAJEMNICA BIELANA

1. Nikt (prawie) nie wie, o czym rozmawiano w domu Adama Bielana.

To chyba najbardziej roztrząsana tajemnica, która rozpaliła polskich polityków i media polityczne. Trzeba powiedzieć, że trudno byłoby o bardziej pikantny skład kolacji w apartamentowcu przy ul. Biały Kamień niż ten, który zakomponował Adam Bielan. Hołownia, Jarosław Kaczyński i „Miś" Kamiński to symbole politycznej gry. Oczywiście sam marszałek Sejmu przybrał minę kogoś, kto jest szczerze zdumiony rozgłosem, który wywołała jego wizyta. Na platformie X wyjaśniał: „Jestem jednym z niewielu polityków w Polsce, który – podkreślam – regularnie spotyka się z przedstawicielami obu śmiertelnie skłóconych obozów. Twardo stoję na stanowisku, że – zwłaszcza w obecnych czasach – politycy różnych opcji powinni ze sobą rozmawiać, inaczej pozabijamy się nawzajem. Uważam to za normę, nie za odstępstwo od niej, i nadal będę tak właśnie, jako marszałek Sejmu, postępował".

Było to oczywiście pozowanie na kogoś, kim Hołownia nie jest. Kiedy marszałek Sejmu uchylał immunitety posłom PiS ściganym przez „uśmiechniętą Polskę", to jakoś czasu na spotkanie z politykami z Nowogrodzkiej nie miał. Oczywiście nie ma lepszej metody na reagowanie na polityczną burzę niż robienie miny szczerego apostoła pojednania narodowego. Strona PiS-owska też zyskiwała na tym sporze. Udowodniła tym spotkaniem, że wyszła z politycznej izolacji i zamiast być daniem w karcie, wciąż ma szansę być tą, która obstalowuje nowe polityczne układanki.

Co do tematu rozmów krążyło parę teorii. Sam Hołownia wolał opowiadać, co było do zjedzenia na kolacji, i – jak dowiedzieliśmy się – w pamięci utkwiła mu „mozzarella i sałatka caprese". Notabene lider Polski 2050 nie wykazał się dobrą znajomością włoskiej kuchni, bo mozzarella jest już sama w sobie głównym składnikiem sałatki caprese i nie trzeba o niej osobno wspominać.

Adam Bielan, z równie pokerową miną i uśmieszkiem błądzącym leciutko na ustach, opowiadał dziennikarzom, że była to jedynie „rozmowa o kwestiach geopolitycznych, metapolitycznych, a nie o bieżącej polityce".

Przy okazji europoseł PiS wyznał, że było to już drugie nieformalne spotkanie Hołowni z przedstawicielami Prawa i Sprawiedliwości. Naruszenie niepisanej umowy o bojkotowaniu przez liderów koalicji 13 grudnia kontaktów z główną partią opozycji wywołało całą lawinę

eprasa.pl 000991d239

Trzeba powiedzieć, że trudno byłoby o bardziej pikantny skład kolacji w apartamentowcu przy ul. Biały Kamień niż ten, który zakomponował Adam Bielan (na zdjęciu) FOT. MARCIN OBARA/PAP

czyli polski film

spekulacji i słów oburzenia. Najczęściej powtarzano teorie o tym, że niemogący rozstać się z fotelem marszałka Hołownia sondował PiS, czy ten nie wszedłby do koalicji mającej utrzymać go na stanowisku.

Z tej teorii Tomasz Lis wyprowadzał całe manifesty, w których powtarzało się określenie „judasz". Z kolei Leszek Jażdżewski z kwartalnika „Liberté" z ponurym fatalizmem wieszczył: „Znając zwyczaje w PiS – można mieć niemal pewność, że spotkanie zostało zarejestrowane i takie kwity, haki gdzieś tam na pana marszałka mogą czekać".

Innym z lubością roztrząsanym pytaniem było to, kto wysłał do mediów przeciek, który pozwolił reporterom zjawić się w trakcie spotkania pod apartamentowcem przy ul. Biały Kamień. I tutaj odpowiedzi zależały od tego, której strony bardziej nie lubił odpowiadający. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski ogłosił, że przecieku dokonali Adam Bielan i Michał Kamiński. Z kolei ci, którzy najbardziej nie cierpią Hołowni, jako zdrajcy sprawy koalicyjnej, z lubością powtarzają teorię, że to sam marszałek zareklamował swoją nocną eskapadę.

Pojawienie się w jednym miejscu tak politycznie barwnych postaci odgrzało na chwilę czarną legendę Adama Bielana i Michała Kamińskiego, których środowisko „Gazety Wyborczej" obciążało wszystkim tym, co ją najbardziej oburzało w kampanii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego w 2005 r. Teraz odgrzewano spotkanie dwóch dawnych druhów jako dowód, że legendarny „Miś" nigdy nie przestał pracować dla Jarosława Kaczyńskiego.

TAJEMNICA HOŁOWNI

2. Nikt nie wie, co naprawdę knuje Hołownia.

Najbardziej prawdopodobne jest to, że Hołowni zależało głównie na samym fakcie spotkania na kolacji u Bielana. Lider Polski 2050 chciał uczynić z tego ostrzeżenie dla Tuska przed dalszym przypieraniem jego oraz podległej mu formacji do ściany przez speców od brudnej gry z otoczenia premiera. Najprawdopodobniej dzwonkiem alarmowym dla Hołowni było zaatakowanie obecnej polityk numer dwa w partii – Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, minister funduszy i polityki regionalnej – poprzez wyciągnięcie na światło dzienne faktu zatrudnienia jej córki w partii

eprasa.pl 000991d239

Polska 2050. Ponieważ zarzut ten sformułowała wprawiona w podobnych gierkach Renata Grochal w TVP Info, marszałek Sejmu miał wszelkie prawo uznać, że zaczyna się medialne grillowanie jego oraz członków jego zaplecza. Jednak fakt, że Hołowni mogło chodzić o samo spotkanie jako symbol, nakazuje powściągnąć wyobraźnię i uznać, że rozmowa miała charakter bardziej zapoznawczy, niż była jakimiś wytrawnymi negocjacjami.

Zresztą to, że marszałek Sejmu został tak gwałtownie zaatakowany za zwykłe spotkanie towarzyskie, pokazuje, jak sztuczne było niegdysiejsze zachwycanie się deklaracjami Hołowni, że chce zakończyć wojnę polsko-polską. Hołownia wykonał naturalny w tym dziele krok: zaczął rozmawiać z jedną ze stron sporu, za co obrzucono go błotem, tak jakby popełnił jakieś najstraszliwsze świętokradztwo. Dobrą ilustracją tego amoku był mem z Hołownią ustylizowanym na św. Piotra, który nosi na szyi tabliczkę „Nim kur zapieje, zdradzę..."

Jednak zauważmy, że dwa kolejne spotkania koalicyjne, 1 oraz 8 lipca, odbyły się w dosyć spokojnej atmosferze. Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL, wypuścił co prawda do mediów informację, że sam nic nie wiedział o spotkaniu Hołowni, ale na obu posiedzeniach koalicyjnych raczej łagodził nastroje. Z kolei Włodzimierz Czarzasty ograniczył się do ostrożnego stwierdzenia: „Czy mnie to nocne spotkanie marszałka Hołowni przeraża?". Sprawę załagodził sam Tusk, deklarując: „Wyjaśnienia i deklaracje Szymona Hołowni na dzisiejszym spotkaniu liderów koalicji potraktowałem poważnie". Co więcej – nawet przyjął sugestię lidera Polski 2050, by dyskusję nad szczegółami rekonstrukcji rządu przesunąć o tydzień aż do 22 lipca. Hołownia chyba zapomniał, że prawica z przyjemnością wykorzysta to do głoszenia hasła „Koalicja 13 grudnia rekonstruuje się 22 lipca" – akurat w kolejną datę kojarzącą się z PRL.

Najważniejsze dla Tuska było jednak to, że Hołownia złożył solenne zapewnienie, iż Polska 2050 nie prowadzi rozmów o żadnej innej koalicji i nie domaga się reformy kształtu układu koalicyjnego.

To uspokojenie nastrojów wskazuje, że w krótkiej perspektywie ani PSL, ani Hołownia nie mają ochoty na żadne pomysły dotyczące rządu technicznego. Nie zmienia to jednak tego, że Platforma z przyjemnością zemści się na Hołowni. Tusk wie, że większość posłów Polski 2050 nie przepada za PiS i w razie dalszych wybryków swego szefa przeniesie się do PO. Zrobią to z tym większą ochotą, że szyld ich partii to obecnie słaba karta, a Platforma, jakkolwiek bardzo byłaby w defensywie, to jednak z pewnością przekroczy próg wyborczy w wyborach do Sejmu w 2026 r.

Mem z Hołownią ustylizowanym na św. Piotra

PARADOKS TUSKA

3. Nikt w Platformie nie wie, jak wyrzucić z siodła Tuska i kim go zastąpić.

No, prawie nikt. Bo kapłanka antypisowskich ultrasów Eliza Michalik już postawiła na Tusku krzyżyk. „Jesteście w miejscu, w którym pozytywny scenariusz jest możliwy – głosi na swoim profilu. – Musi powstać nowa partia! Najlepiej partia Sikorskiego, Giertycha i prokurator Ewy Wrzosek".

To oczywiście na razie polityczny folklor. Owszem, Radek Sikorski mógł pozwolić sobie na rywalizowanie z Rafałem Trzaskowskim w PO o kandydaturę prezydencką, ale na razie nie wydaje się, by mógł wygrać jakiś ostry spór z Tuskiem o liderowanie partii. Jego bliskie relacje z Giertychem temu nie pomagają, zwłaszcza po braku sukcesów wojowniczego mecenasa w walce o ponowne przeliczenie głosów. W razie jakiegoś wysunięcia się do rywalizacji z Tuskiem o przewodnictwo nad Platformą na pewno wypomniane byłyby mu jego bliskie związki z „Misiem" Kamińskim – uczestnikiem spotkania z PiS-owcami w apartamencie Bielana. Tusk zatem nie ma na razie żadnego jawnego rywala. A właśnie po to czyścił Platformę ze wszystkich indywidualności, by zabezpieczyć się przed próbami kwestionowania jego przywództwa. Nie zmienia to jednak faktu, że o uwiądzie Platformy mówi się także w szeroko rozumianym obozie liberalnym.

Nawet zazwyczaj dość życzliwy Platformie Antoni Dudek obecnie jawnie mówi o kryzysie, w którym znalazła się ta partia. „1 czerwca Donald Tusk stracił pozycję demiurga". Takie zdanie znany komentator miał usłyszeć kilka dni temu od jednego z najważniejszych polityków koalicji rządzącej. „Tusk dość skutecznie wmówił swoim zwolennikom, że winni porażki (prezydenckiej) są wyłącznie Trzaskowski i jego sztab, a nie kierowany przez niego rząd. Z szeregów KO nie dało się bowiem słyszeć po 1 czerwca bodaj jednego głosu znaczącego polityka domagającego się, aby Tusk wytłumaczył się ze swoich błędów".

To trafne słowa. Wszyscy widzą, że Tusk po wygranej Nawrockiego jest jak ptak z przetrąconym skrzydłem, ale nikt nie ma odwagi powiedzieć tego na głos. Tak naprawdę jest to zabójcze bardziej dla Platformy niż PiS.

Partia Jarosława Kaczyńskiego jest teraz w wygodnej pozycji kogoś, kto czeka, aż rzeką spłynie ciało jego politycznego przeciwnika. Nic nie wskazuje, by szumnie zapowiadana przez Tuska rekonstrukcja jego gabinetu miała przynieść jakiś przełom w dryfowaniu rządu.

Nowy rzecznik Adam Szłapka nie zabłysnął żadnymi talentami, które kazałyby przewidywać, że fatalny image rządu może ulec polepszeniu. W sondażu „Rzeczpospolitej" aż 45,4 proc. ankietowanych opowiada się za zastąpieniem Tuska przez kogoś innego z koalicji. Przeciw jest tylko 32,2 proc., a 22,4 proc. ankietowanych nie ma w tej sprawie żadnego zdania.

Co prawda, marszałek senior z PSL Marek Sawicki przypomina, że umowa koalicyjna nie zawiera gwarancji dla premierostwa Donalda Tuska, ale nikt już pohukiwań tego działacza ludowców nie bierze serio. PiS razem z Karolem Nawrockim szykują się do dwuletniego grillowania Platformy, a wielki Donald rozpaczliwie szuka pomysłów na jakieś odbudowanie prestiżu swego gabinetu. Jednak o rzucających na kolana pomysłach na razie nie słychać. Szymon Hołownia może sobie pogratulować pomysłu z kolacją w apartamencie przy ul. Biały Kamień. Burzę wywołał, rozgłos zyskał, swoją niezależność zamanifestował, a zbyt słonej ceny za tę całą awanturę nie zapłacił. On swoje ugrał. A Tusk robi się coraz bardziej bezradny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

DZIECI WOJNY

Zbigniew Herbert, „Raport z oblężonego miasta”

[...] z niejaką dumą pragnę donieść światu,
że wyhodowaliśmy dzięki wojnie nową odmianę dzieci
nasze dzieci nie lubią bajek, bawią się w zabijanie
na jawie i we śnie marzą o zupie, chlebie i kości
zupełnie jak psy i koty

Przez 80 lat, które dzielą nas od zakończenia drugiej wojny światowej, problem ofiar wśród polskich dzieci nie zajmował zbyt wiele miejsca. Historycy, publicyści i politycy skupiali się zazwyczaj na zliczaniu ofiar bezpowrotnych lub też szacowaniu strat materialnych. Były to jednak kwestie wyłącznie ze świata dorosłych, w którym nie było w zasadzie miejsca dla najmłodszych i ich problemów.

Dopiero ostatnie lata przyniosły w tej kwestii pewną odmianę. Pojawiły się muzeum poświęcone dziecięcemu obozowi przy ul. Przemysłowej w Łodzi oraz kilka publikacji wydanych przez IPN. Bezpowrotnie straconych zostało jednak kilkadziesiąt lat, na przestrzeni których pomijano zwykle wśród relacjodawców najmłodszych świadków, nie mówiąc już w ogóle o pochyleniu się nad ich własną wojenną traumą. A było przecież o co zapytać. Dzieci, pomimo – wynikającej z wieku – ograniczonej percepcji, były przecież uczestnikami w zasadzie wszystkich zdarzeń – zjawisk, w których brali udział dorośli. Reprezentowały też one wszystkie rodzaje postaw, którymi charakteryzowało się społeczeństwo polskie w czasie okupacji niemiecko-sowieckiej.

Od 1939 r. widzimy je w szeregach różnych konspiracji, z Szarymi Szeregami i Hufcami Polskimi na czele, w organizacjach „Wawer” i „Palmiry” prowadzących akcje małego sabotażu. Spotykamy je na konspiracyjnych, partyzanckich ścieżkach oraz w dużej liczbie na powstańczych – warszawskich barykadach. Są wśród nich kawalerowie Orderu Virtuti Militari – Jerzy Bartnik „Magik” i Krzyża Walecznych – Witold Modelski „Warszawiak”. Wielu z nich widzimy później także w szeregach konspiracji antykomunistycznej. To mali-wielcy bohaterowie, jak Danuta Siedzikówna „Inka”, Rajmund Drozd „Mikrus” czy też Mieczysław Abramowicz „Miecio”. Dzieci dzieliły też tułaczy los kilkuset tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Rosji sowieckiej, a następnie emigracyjne szlaki w Iraku, Iranie, Indiach, Palestynie, Afryce, Ameryce Północnej. Kilkaset tysięcy wypełniało niemieckie zakłady przemysłowe i niemieckie gospodarstwa, pracując tam ponad siły w ramach pracy przymusowej.

Znajdujemy je wreszcie wśród ogromnej, najbardziej przejmującej kategorii ofiar. Nieprzypadkowo to właśnie one stanowią jedną trzecią strat bezpowrotnych polskiego społeczeństwa w drugiej wojnie światowej (tj. ok. 2 mln). Niemieckiemu okupantowi chodziło przecież o stworzenie luki pokoleniowej, dzięki której społeczeństwo to miało docelowo skarleć do poziomu 15 mln podludzi. Dzieci polskie pochodzenia żydowskiego wypełniały więc masowo getta i obozy zagłady, podobnie jak dzieci romskie. Były ofiarami obozów koncentracyjnych, 800 spacyfikowanych wsi, ofiarami generalnego planu wschodniego – zapoczątkowanego na Zamojszczyźnie w listopadzie 1942 r., ofiarami rzezi wołyńskiej.

Nawet jeśli miały niezwykłe szczęście i nie stały się celem konkretnych akcji represyjnych, to codzienny koszmar wojny i tak ich dotykał, odciskając na ich psychikach niezatarte piętno. One również były ofiarami tej wojny. Pozbawione poczucia bezpieczeństwa, wzrastające w świecie rządzącym się odwróconym systemem wartości – były jak owe dzieci z zacytowanego na wstępie wiersza Zbigniewa Herberta. 22 proc. spośród ocalonych stało się w wyniku wojny sierotami lub półsierotami, 50 tys. ocalało z niemieckich kacetów, 320 tys. według danych z 1946 r. wymagało natychmiastowej pomocy medycznej, w tym psychiatrycznej, której w większości nigdy nie otrzymało. Ze swoimi doświadczeniami owe dzieci weszły w dorosłe życie, bezwiednie przekazując swoją wojenną traumę kolejnym pokoleniom. Proces ten trwa aż do chwili obecnej.

dr Tomasz Łabuszewski, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

PARTNER PUBLIKACJI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 000991d239

Za mało, żeby wygrać

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

W oczach establishmentu cały zabieg z wylansowaniem Szymona Hołowni na „trzecią siłę" był od początku zabiegiem czysto socjotechnicznym, mówiąc wprost – oszustwem usprawiedliwionym „walką o demokrację i praworządność"

Po klęsce Szymona Hołowni w wyborach prezydenckich, a zwłaszcza po ujawnieniu nocnego spotkania w mieszkaniu Adama Bielana komentatorów i ekspertów wróżących Szymonowi Hołowni rychły koniec aż trudno zliczyć. Może mają rację, jeśli chodzi o jego polityczne wpływy. Ale na pewno szybko o Hołowni nie zapomnimy. Jeśli nawet nie będzie miał wpływu na bieg zdarzeń, to pozostanie w świecie mediów i popkultury na podobnej zasadzie, jak wciąż w niej funkcjonuje dawno już przecież w realnej polityce nieobecny, Ryszard Petru. Być może niedługo już będzie Hołownia byłym marszałkiem Sejmu i być może jego partia, jak do tego wzywają prorządowe media, rozejdzie się, a jej członkowie przeflancują się, jak kiedyś członkowie Nowoczesnej za Katarzyną Lubnauer, do kontrolującej dystrybucję stołków i apanaży Koalicji Obywatelskiej. Mimo to – zakładam się – nadal będzie zapraszany do mediów, a jego internetowe „rolki" będą generowały zasięgi i komentarze. Bo ludzie po prostu będą jeszcze przez jakiś czas chcieli go oglądać oraz słuchać i nie ma większego znaczenia z jakiego powodu – dla okazania poparcia, dla „beki", czy licząc na to, że „teraz już może" szczerze dzielić się „insajderską" wiedzą o politycznym półświatku, w którym był przez chwilę postacią znaczącą.

Tego – jak sądzę – Donald Tusk zupełnie nie wziął pod uwagę, gdy swego czasu dawał swoim mediom sygnał do umoczenia Hołowni w sprawie Collegium Humanum (tylko ktoś bardzo naiwny albo obserwujący polskie media z Księżyca może sądzić, że zrobiły to one bez takiej zgody). To, co miało Hołownię zdyscyplinować i wybić mu z głowy rojenia o politycznej samodzielności, dało skutek odwrotny.

Czy rachuby Tuska były wobec tego nieracjonalne? Nie. To raczej Hołownia jest nieracjonalny. W polityce takie wypadki zdarzają się częściej, niż sądzą ludzie nieobserwujący jej na co dzień. Psychologowie twierdzą, że wszyscy mamy skłonność do przypisywania innym własnego sposobu myślenia. Starzy polityczni macherzy także popełniają ten błąd wobec tych, z którymi sobie pogrywają. Macherzy zwykle wywodzą się z ludzi cwanych i wiedzą z doświadczenia, że cwaniacy stanowią główne źródło kadr dla polityki. Ale zdarzają się tu także egotycy, u których wysokie wyobrażenie o sobie i o wpływie wywieranym na innych przeważa nad zdolnością kalkulowania skutków własnych posunięć.

PRZYPADKOWY SUKCES

W czasach afery Rywina „grupa trzymająca władzę" z SLD też sądziła, że ograła Adama Michnika i nie będzie on mógł ujawnić tego, co nagrał, bo sam wtedy straci najwięcej – tymczasem Michnik był głęboko przekonany, że skoro on powie, jak było, nikt nie waży się rozpoczynać żadnych dochodzeń ani zwoływać sejmowej komisji. Jeszcze bardziej przejechali się komuniści na Lechu Wałęsie, uznając, że trzymany na smyczy papierami „Bolka" będzie musiał po stanie wojennym uczestniczyć w „operacji »Renesans«" (tzn. odtworzeniu NSZZ „Solidarność" jako związku lojalnego wobec PRL i PZPR, „oczyszczonego" z opozycyjnych doradców, „ekstremy" i „agentów CIA"). Żadnemu esbeckiemu „operatorowi" nie mogło przyjść do głowy, choć mieli to na taśmach z podsłuchu, że prymitywny elektryk z zapadłej wsi zupełnie poważnie roi sobie, iż jego ród pochodzi od rzymskiego cesarza Walensa i że on sam „będzie tu kiedyś rządził".

Cóż dziwić się Tuskowi, że po tym, jak wciągnął Hołownię w swoją polityczną bandyterkę, sprawiając, że grozi mu teraz – choćby tylko za sprawę Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego – Trybunał Stanu, ten pozostanie równie jak pozostali jego podwykonawcy przestraszony sławnym „jak PiS wróci do władzy, to wszyscy będziecie siedzieć", rzuconym

eprasa.pl 000991d239

przez premiera, według Onetu, na jednej z pierwszych koalicyjnych narad (i zapewne powtórzonym przy wielu innych okazjach). Tymczasem Hołownia najwyraźniej uważa, że jego to nie dotyczy: postraszony „kwitami" ośmielił się niedwuznacznie zarzucić Tuskowi, iż posłał za nim nielegalnie służby, i zamiast umocnić się w lojalności wobec wodza, poczuł się z niej zwolniony.

Hołownia – jak widać – autentycznie uwierzył, że jego popularność jest zbudowana na trwałych podstawach i będzie rosła. Dziś wiemy, że w wyborach parlamentarnych roku 2023 sukces osiągnął w istocie trochę przypadkowo, stając się nieoczekiwanym beneficjentem nielegalnej kampanii negatywnej: zasypania Polaków finansowanymi z zagranicy i umiejętnie targetowanymi spotami „profrekwencyjnymi", które przekonały 2–3 mln nieaktywnych politycznie wyborców, że trzeba wyjść z domu, stanąć w kolejce i „odsunąć PiS od władzy". Ci wyborcy nie chcieli, „żeby znowu było, jak było" przed rokiem 2015, więc wybrali jego, a nie Tuska – ale zobaczyli w nim raczej mniejsze zło niż lidera, z którym można trwale związać swe nadzieje. Hołownia tymczasem, jak to często bywa, nie zrozumiał mechanizmu własnego sukcesu, uwierzył, że jest przywódcą kroczącym z poparciem rosnących tłumów ku prezydenturze. Sposób, w jaki upajał się swoim prowadzeniem kolejnych „sejmfliksów", nie pozostawia co do tego wątpliwości.

Tymczasem plan Tuska na prezydenturę był inny: Trzaskowski miał wystąpić jako wspólny kandydat „obozu demokratycznego" i wygrać już w pierwszej turze. To wydawało się logiczne – Lewica w ogóle nie chciała wystawiać partyjnego kandydata, wiedząc, że dostanie ułamkowe poparcie (Magdalena Biejat, jak plotkowano, dostała nominację, bo była jedyną osobą chętną podjąć się tej „mission impossible"), PSL podobnie, a Hołownia powinien przecież, jak zapewne uważano, skalkulować, że nie ma szans na drugą turę ani nawet na powtórzenie w pierwszej wyniku z roku 2023. Tyle że on sam miał na ten temat inne zdanie i nie przestraszył się wcale, iż ujawnienie jego „studiów" na Collegium Humanum ani różnych sprawek jego nominatów na państwowych posadach zniweczy jego nieprzeparty osobisty urok, którym oczarował masy wyborców.

Półtora roku u władzy zmarnował Hołownia koncertowo. Nie zbudował żadnej własnej opowieści, jedzie wciąż wyłącznie na swojej osobistej popularności

Ta niesubordynacja okazała się mieć znaczące konsekwencje: przełamanie przez kandydata Hołownię bojkotu Telewizji Republika i stawienie się do zwołanej przez nią debaty na rynku w Końskich można wskazać jako punkt przełomowy, moment, który wykoleił kampanię Rafała Trzaskowskiego. Oczywiście nie bardzo było co wykolejać, bo kampania była beznadziejna, bez żadnego pomysłu, poza przekonaniem, że Trzaskowskiemu do wygranej wystarczy być – ale prosty mechanizm psychologiczny sprawił, że działacze i zwolennicy PO woleli uwierzyć, iż jedynym winnym jest Hołownia. Odżegnanie się od wezwań do zamachu stanu – bo tym w istocie byłoby, ze wszystkimi konsekwencjami, uniemożliwienie objęcia urzędu Karolowi Nawrockiemu – tylko ich w tym utwierdziło.

POPSUĆ RACHUBY INNYM

Nie był to pierwszy wybuch gniewu na „zdrajcę". Pomiędzy tym, jak widzą Hołownię elity, których polityczną emanacją jest Tusk, a tym, jak postrzega siebie on sam, jest wielka różnica. W oczach establishmentu cały manewr z wylansowaniem Hołowni na „trzecią siłę" był od początku zabiegiem czysto socjotechnicznym, mówiąc wprost – oszustwem, usprawiedliwionym oczywiście „walką o demokrację i praworządność". Hołownia powinien to wiedzieć, znać swoje miejsce i bezwzględnie podporządkowywać się w każdej sprawie Tuskowi, ograniczając swe oczekiwania do zwyczajowego wynagrodzenia w zaszczytach, pochwałach medialnych i stołkach dla swoich ludzi. Taka rola „koalicjanta" jest dla polityczno-medialnego establishmentu do tego stopnia oczywista, że za każdym razem, ilekroć Hołownia się wychylił, spadała na niego jako na „zdrajcę" fala hejtu równie, a nawet bardziej zajadłego, co na „populistów". Z jakiegoś powodu uważa się bowiem na salonach, że podporządkowanie się Tuskowi jest ze strony „koalicjantów" czymś więcej niż strategią polityczną – jest obowiązkiem moralnym, wynikającym ze świętej misji walki z PiS! Przypomnijmy sobie, ile obelg sypało się na byłego prezentera TVN przed wyborami roku 2023 za to, że nie chciał być częścią „wspólnej listy" Tuska? Media PO ubliżały mu od nieodpowiedzialnych szczeniaków z przerostem ambicji, demaskowały jako agenta Opus Dei i Jarosława Kaczyńskiego, ośmieszały – do momentu, gdy Tusk nie przestawił „wajchy", oznajmiając, że Hołownia też jest OK i można w walce z PiS głosować także na niego. Wtedy z dnia na dzień Hołownia znowu zaczął być poważnym politykiem i nadzieją.

Ale i w drugą stronę – kiedy Hołownia pojawił się w Republice i wdał się z jej widzami w sympatyczną pogawędkę („wiem, że na mnie nie zagłosujecie, ale…"), prawica, a przynajmniej jej „pisowska" część z marszu zapomniały mu Wąsika i Kamińskiego, szachrowanie z Izbą Pracy Sądu Najwyższego i inne winy. Możliwe, że życzliwe przyjęcie ze strony Republiki i jej widzów przekonały go, że nie musi, jak Petru, pilnie uważać, by nie wychylić się z pasma antypisowskiej poprawności, nie jest skazany na bycie „przystawką" Tuska i ma potencjał do własnej gry.

Czy ma w istocie? Partia Hołowni spadła w sondażach poniżej 4 proc., nie ma cienia pomysłu, czym odzyskać wyborców (bo, powiedzmy sobie, projekty w rodzaju „ustawy antykuwetowej" czy zakazu smartfonów w szkołach mało kogo porywają) i powoli zaczyna się kruszyć. Półtora roku u władzy pod względem merytorycznym zmarnował Hołownia koncertowo, nie zbudował żadnej własnej opowieści, żadnej wizerunkowej, a tym bardziej faktycznej odmienności, jedzie wciąż wyłącznie na swojej osobistej popularności. Z profesjonalną polityką nie ma to wiele wspólnego. Ale były publicysta katolicki, który kiedyś nie wahał się zmienić w showmana w TVN, a potem w politycznego celebrytę, chce się przede wszystkim podobać. I głęboko wierzy, że się podoba i podobać będzie. To za mało, żeby w polityce wygrać, ale – jak się okazało – czasem wystarcza, by popsuć rachuby innym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Z mecenasem Jerzym Kwaśniewskim, adwokatem, prezesem Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris
rozmawia Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Tusk nie jest politykiem w pełni samodzielnym

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA: Jesteśmy niemal w połowie kadencji parlamentu i wydaje się, że jest to moment dla rządu Donalda Tuska kluczowy. Po przegranych wyborach prezydenckich spory w koalicji mają wysoką temperaturę, a Szymon Hołownia spotyka się z Prawem i Sprawiedliwością. Widzi pan możliwość, że obecny Sejm wyrazi wotum nieufności wobec rządu, a dalej że dojdzie do jego upadku?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Nasza konstytucja częstokroć jest krytykowana za brak klarowności, precyzji w rozdziale kompetencji między poszczególnymi władzami, w szczególności za podział władzy wykonawczej między prezydenta a rząd. Jednak w jednej sprawie autorzy konstytucji, pomni doświadczeń lat 90., ogromnego podziału planktonu partyjnego wchodzącego do Sejmu i niestabilności rządowej, postarali się sięgnąć po najlepsze wzorce konstytucyjne – czy to francuskie, czy niemieckie – w kwestii powoływania stabilnego rządu. Od 1997 r. widzieliśmy rządy mniejszościowe, które były stabilne, takie jak rząd Marka Belki. Czy to jest dobre dla demokracji, to inna kwestia, bo łatwiej w tych konstytucyjnych ramach obalić rząd i powołać rząd mniejszościowy – co wymaga po prostu 231 przeciwników rządu w Sejmie – niż poprosić obywateli o wyrażenie ich zdania w wyborach parlamentarnych, co wymaga większości aż 307 posłów. Warto pamiętać, że nie mamy w ustawie zasadniczej klasycznego wotum nieufności prowadzącego do obalenia rządu. Mamy jedynie wotum konstruktywne, czyli takie, które odwołując jednego szefa rządu, jednocześnie powołuje kolejnego. W art. 158 konstytucji jest jasno powiedziane, że jeżeli istnieje mocna większość opozycyjna wobec rządu, która czuje się na siłach, żeby zebrać większość parlamentarną, to może powołać swojego własnego premiera, teoretycznie nawet nie zawiązując koalicji rządowej. To może być większość, której celem jest obalenie szkodliwego, jej zdaniem, rządu i powołanie rządu mniejszościowego, który będzie de facto administratorem państwa, bez możliwości skutecznego forsowania ustaw.

Zgodnie z konstytucją Sejm wyraża wotum nieufności wobec rządu większością ustawowej liczby posłów, wystarczy zatem 231 głosów. Teoretycznie PiS mógłby dość łatwo, patrząc na obecne spory w koalicji, „powyciągać" posłów z innych klubów opozycyjnych, a także dogadać się z PSL i Polską 2050.

PSL nie jest nawet potrzebne. Gdyby zebrać PiS, Polskę 2050, Konfederację, koło Konfederacji Korony Polskiej, Wolnych Republikanów, mamy ponad 240 „szabel", co oznacza, że partia Szymona Hołowni może ulec podzieleniu. Nie wszyscy jej posłowie musieliby poprzeć to rozwiązanie, a i tak można byłoby wybrać premiera, który powołałby rząd mniejszościowy. Do zaprzysiężenia takiego rządu prezydent byłby zobowiązany. Premier, zapewne szef którejś z mniejszych partii – możliwe, że właśnie Hołownia – miałby szansę wykreować politycznie swoją formację, a już z pewnością samego siebie, przed najbliższymi wyborami. W tym czasie rządziłby głównie za pomocą rozporządzeń. Wobec braku stabilnej koalicji każda ustawa musiałaby podlegać od początku negocjacjom parlamentarnym. Prawdopodobnie doprowadziłoby to wcześniej czy później do przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Albo w drodze rozwiązania Sejmu, bo wówczas o większość dwóch trzecich byłoby łatwiej, skoro partia Donalda Tuska znalazłaby się w opozycji, albo poprzez nieprzedstawienie budżetu na czas prezydentowi.

Premier Tusk podający się do dymisji. Dopuszcza pan taki scenariusz?

Jest to konstytucyjnie możliwe, w praktyce całkowicie nierealne. Nie sądzę, żeby Donald Tusk, który nie jest politykiem w pełni samodzielnym, lecz realizującym politykę europejską i niemiecką na polskim odcinku, dostał na to zgodę swoich mocodawców. Na razie ma większość i stabilną możliwość rządzenia przez dwa lata. To dwa lata bardzo krytyczne dla projektów europejskich, takich jak wielka reforma UE, wdrożenie paktu migracyjnego, Zielony Ład czy projekt europejskiej armii. Jakakolwiek inna koalicja rządowa w Polsce będzie gorsza dla zwolenników centralizacji Unii i znacząco gorsza dla interesów niemieckich.

Jarosław Kaczyński zaproponował tuż po wyborach prezydenckich utworzenie rządu technicznego.

Rząd techniczny, tak jak rząd mniejszościowy, to pojęcia z obszaru nauk politycznych, a nie prawa konstytucyjnego. W praktyce taki rząd nie ma stabilnego poparcia większościowego, za każdym razem będąc zmuszony od początku negocjować poparcie dla działań legislacyjnych, co znacząco ogranicza jego skuteczność. Jednak pamiętajmy, że w Polsce mamy ustrój gabinetowo-parlamentarny, z naciskiem na to, że Kancelaria Prezesa Rady Ministrów ma decydujące znaczenie w polityce krajowej. Nawet rząd techniczny de facto zarządza przecież krajem. Jest w stanie wydawać rozporządzenia, zarządzać służbami, obsadzać tysiące stanowisk, zarządzać spółkami Skarbu Państwa, kierować gospodarką. To ogromna siła, która we właściwych rękach może istotnie zmienić bieg spraw. Ktoś, kto staje się „premierem technicznym", może realnie pokazać swoją sprawczość i zdolność negocjacyjną.

Czy po rozmowach PiS z Szymonem Hołownią koncept zawiązania rządu technicznego jest bardziej realny?

Od ponad roku czekałem na moment, w którym jeden z istotnych koalicjantów Tuska, bardziej centrowy, postanowi

eprasa.pl 000991d239

opuścić koalicję i złoży opozycji propozycję rządu mniejszościowego i wcześniejszych wyborów parlamentarnych – prawdopodobnie w 2026 r. Dla Hołowni czy Władysława Kosiniaka-Kamysza odejście z koalicji, która podejmuje decyzje szkodliwe dla ich elektoratów, jest jedyną szansą przetrwania. Oferta Jarosława Kaczyńskiego jest dla nich jedyną szansą funkcjonowania w nowym parlamencie. Jeżeli teraz odejdą z rządu, który anarchizuje Polskę i niszczy instytucje demokratyczne, to pokażą swoją odpowiedzialność, a tworząc rząd mniejszościowy, nie stają się przecież częścią koalicji z PiS.

Z małym prawdopodobieństwem ewentualny rząd techniczny mógłby rządzić długo i stabilnie. Kto decyduje o nowym wyborach parlamentarnych?

W normalnych warunkach nowe wybory rozpisze prezydent Karol Nawrocki wraz z upływem kadencji parlamentarnej w 2027 r. Konstytucyjnie są tylko dwie okoliczności pozwalające prezydentowi na skrócenie kadencji. Pierwsza to nieprzedstawienie prezydentowi w konstytucyjnym terminie ustawy budżetowej. Druga to niepowołanie rządu przez Sejm po wyborach, co nie dotyczy już naszej sytuacji. Jedyna możliwość skrócenia kadencji Sejmu i Senatu przez prezydenta Karola Nawrockiego to zatem nieprzedłożenie mu budżetu na 2026 r. Niezależnie od tego sam Sejm, jak już wspomniałem, może także skrócić swoją kadencję większością dwóch trzecich pełnego swego składu, czyli 307 głosami.

Kwestia ustawy budżetowej może doprowadzić do upadku rządu Donalda Tuska?

Zgodnie z konstytucją ten jeden z podstawowych dokumentów musi być nie tylko przegłosowany przez Sejm i Senat, podpisany przez prezydenta, lecz także – co najważniejsze – musi być przedstawiony prezydentowi w ciągu czterech miesięcy od dnia przedłożenia Sejmowi przez rząd. Skąd ten termin? To jest specyficzny konstytucyjny test skuteczności rządu. Nawet rząd mniejszościowy, za którym nie stoi stabilna większościowa koalicja, musi być w stanie przedstawić projekt budżetu, który zdobędzie poparcie większości parlamentarnej. Jeżeli nie stanie się to w ciągu czterech miesięcy, to prezydent może skrócić kadencję. A to by oznaczało, że w 2026 r. mamy nowe wybory. Wokół ustawy budżetowej, szczególnie pisanej przez rząd mniejszościowy, mogą być prowadzone najróżniejsze targi polityczne.

Dla Szymona Hołowni czy Władysława Kosiniaka-Kamysza odejście z koalicji jest jedyną szansą przetrwania

Co może być ich przedmiotem?

Budżet musi być przedstawiony do końca września, to bardzo mało czasu. Prace już oczywiście się toczą, resorty są już gotowe z podstawowymi założeniami. Zostają rozmowy polityczne. Targi będą dotyczyły także przewidywań wyborczych. Jeżeli rząd zakłada możliwość skrócenia kadencji, to w 2026 r. musi być gotowy do wyborów. To zaś może mieć katastrofalne skutki dla finansów publicznych. Jeżeli rok 2026 miałby być rokiem wyborczym, to rządzący będą bardzo chętnie sięgać po podwyższenie deficytu – czyli sfinansowanie kampanii wyborczej z naszej kieszeni.

Brak budżetu automatycznie zobowiązuje prezydenta do skrócenia kadencji parlamentu?

Prezydent nie jest do tego zobowiązany, ma taką możliwość. Można sobie wyobrazić scenariusze, w których z niej nie korzysta. Jednym z nich jest niestabilny rząd Donalda Tuska bez większościowego poparcia. Prezydent może uznać, że nie jest już tak szkodliwy jak wcześniej, a jednocześnie jego notowania będą wciąż spadać. Może się okazać, że prezydent zechce poczekać, aż dojdzie do całkowitego załamania poparcia, aby w kolejnych wyborach została wyłoniona mocna większość, możne nawet konstytucyjna.

Rola prezydenta Karola Nawrockiego będzie duża.

W okresie sejmowego rozdrobnienia politycznego i braku stabilnej większości rola prezydenta będzie rosła. Głowa państwa, z nowym i silnym mandatem społecznym, może stać się w takich warunkach swoistym centrum politycznym. A przed nami wiele ważnych decyzji. W najbliższych miesiącach czeka nas wybór wielu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Widać wyraźnie, że Donald Tusk łamie się i chyba chce wybierać TK, a tym samym uznać, iż jest on już legalnie działającym organem. Tym bardziej PSL czy Polska 2050 mogą zdecydować się na stworzenie z dzisiejszą opozycją swoistej „koalicji trybunalskiej", która uzgodni podział miejsc w TK i powoła w jego skład sędziów reprezentujących wrażliwość właściwą dla różnych frakcji. W efekcie będziemy mieli do czynienia z usunięciem zastrzeżeń wobec TK, nawet z perspektywy lewicowych komentatorów – bo to przecież Sejm wybrany w 2023 r. wskaże sędziów. Mamy też Trybunał Stanu, a tam bardzo kruchą większość koalicji Tuska. Jeżeli doszłoby do przejścia większości w Sejmie na stronę dzisiejszej opozycji, nawet przy utrzymaniu się rządu, to można wyobrazić sobie sytuację, w której TS po raz pierwszy w historii III RP będzie skutecznie pracował nad wnioskami o ukaranie tych, którzy naruszyli konstytucję. W świetle ujawnianych teraz projektów ustaw, przygotowanych na wypadek zwycięstwa Rafała Trzaskowskiego, które miały uwolnić stronników Donalda Tuska od wszelkiej odpowiedzialności za łamanie prawa i konstytucji w ramach tzw. przywracania praworządności, mamy wiele spraw, które powinny być przedmiotem zainteresowania Trybunału Stanu.

Prezydentura Nawrockiego to początek końca rządu Tuska?

Prezydent ma bardzo szczególną pozycję, nie tylko konstytucyjną, ale też polityczną. Stoi na straży ustawy zasadniczej. Karol Nawrocki ma szczególnie silny mandat demokratyczny, otrzymany od narodu w samym środku potężnego sporu konstytucyjnego. Oznacza to także upoważnienie go przez obywateli do przeprowadzenia skutecznej sanacji państwa i wydaje się, że prezydent jest gotów iść w tym kierunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Kwaśniewski – adwokat, prezes zarządu i współzałożyciel Instytutu Ordo Iuris, przewodniczący rady fundacji. Twórca Centrum Interwencji Procesowej Instytutu.

eprasa.pl 000991d239

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Z Przemysławem Wiplerem, posłem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Chcemy premiera z Konfederacji

RYSZARD GROMADZKI: Co się kryje za nagłym ociepleniem relacji między marszałkiem Hołownią a PiS? Kolacja z udziałem Hołowni i prezesa Kaczyńskiego w mieszkaniu Adama Bielana wywołała falę spekulacji. To preludium do rozmontowania koalicji pod przywództwem Tuska?

PRZEMYSŁAW WIPLER: Żeby doszło do konstruktywnego wotum nieufności, musi znaleźć się co najmniej 15 posłów obecnej koalicji rządzącej, którzy zaproponują innego premiera niż Donald Tusk plus inny skład rządu niż ten z Bodnarem, Nowacką i Kotulą. Taka grupa inicjatywna musiałaby przedstawić plan działania do kolejnych wyborów. Jest oczywiste, że ta grupa musi znaleźć się albo w klubie Szymona Hołowni, albo w klubie PSL, albo w obu tych klubach łącznie.

Widzi pan na to szanse? O PSL wiele razy mówiło się jako partii, która może wyłamać się z różnych koalicji. Od 1989 r. nigdy się to nie wydarzyło. Widać, że ludowcom trudno odciąć się od postkomunistycznych układów. Co do ugrupowania Hołowni – mimo dość zaskakujących ruchów lidera też trudno zakładać, żeby Polska 2050 urwała się Tuskowi ze smyczy.

Nie podzielam opinii, że PSL tkwi w jakimś postkomunistycznym układzie. PSL jest po prostu PSL-em. Używanie takiej terminologii to ignorowanie faktu, że świat się dramatycznie zmienił. PSL dowodzony przez polityków z generacji 40-latków jest zupełnie inną partią niż PSL sprzed 10, 20 czy 30 lat. To po pierwsze. Po drugie, oni muszą znaleźć jakieś rozwiązanie, bo obecnie i PSL, i partia Hołowni są pod progiem wyborczym. Jeżeli mają się podnieść ponad próg, to muszą wziąć dużo większą odpowiedzialność i pokazać, że są sprawczy, że coś dowożą, że są w stanie coś zrobić dla obywateli, a przynajmniej dla określonych grup obywateli. Nie zmieniając niczego, będą ginąć razem z Koalicją Obywatelską. Przy czym Koalicja Obywatelska będzie się kurczyć, a oni będą ginąć. Zejście poniżej progu i zniknięcie z Sejmu oznaczają koniec takich projektów politycznych jak PSL, Polska 2050 czy Lewica. Oni po prostu muszą coś zrobić, pokazać swoją tożsamość i wpływ na rzeczywistość, bo inaczej będzie to ich ostatnia kadencja. I w tym upatruję sens ostatnich ruchów zarówno Kosiniaka-Kamysza, jak i Hołowni.

Możliwe jest więc przesilenie polityczne jeszcze tej jesieni?

Jest możliwe, ale nie podejmuję się oceniać, czy prawdopodobne. Jasne jest, że im będzie bliżej wyborów i lipca przyszłego roku, który będzie przełomowy dla Polski, dla Europy i dla rządzących naszym krajem, tym bardziej przestrzeń tej elastyczności będzie malała i tym mniejsza będzie szansa, że uratują ich jakiekolwiek zmiany.

Przełom, o którym pan mówi, wiąże się z wejściem w życie unijnego paktu migracyjnego?

Oczywiście. To moment, w którym na masową skalę zacznie się dziać, w świe-

eprasa.pl 000991d239

tle prawa europejskiego w pełni legalnie, to co teraz nielegalnie próbowali robić Niemcy, podrzucając nam imigrantów. Krzysztof Bosak nazwał ich „odrzutami", bo tych ludzi Niemcy, Francuzi i Belgowie nie chcą u siebie. W tym sensie jest to termin absolutnie uzasadniony, bo dotyczy ludzi, których Niemcy uznali za niepożądanych ze względów społecznych, ekonomicznych czy wpływu na bezpieczeństwo publiczne. Takich migrantów próbowali nam wytransferować Niemcy przy bierności rządu Tuska. Za rok będą dysponowali już w pełni legalnymi narzędziami i mechanizmem, które pozwolą im w zgodzie z prawem europejskim realizować ten proceder na masową skalę. W mojej ocenie uruchomienie tego mechanizmu dramatycznie załamie poparcie dla wszystkich partii tworzących koalicję rządzącą, szczególnie w tych województwach, które były ich bastionami, a więc w zachodniopomorskim, lubuskim, dolnośląskim czy w Wielkopolsce.

Konfederacja od lat ostrzegała przed skutkami niekontrolowanego napływu migrantów do Polski. Wybory prezydenckie pokazały, że zaczynacie odbierać polityczną rentę za konsekwencję w tej sprawie.

Jest dla nas jasne, że wyborcy, którzy w poprzednich wyborach oddali głosy na Koalicję Obywatelską, Trzecią Drogę czy Polskie Stronnictwo Ludowe, a nawet Lewicę, gdy będą mieli wybrać kogoś z obecnej opozycji, to będą wybierali Konfederację, ponieważ dobrze pamiętają, kto tę puszkę Pandory otworzył, za czyich rządów się to stało. Obecnie strumyk stał się rzeką, a jeśli nic z tym nie zrobimy, to rzeka zamieni się w migracyjne tsunami, które z pełną siłą uderzy w Polskę w lipcu przyszłego roku.

Za niespełna miesiąc Karol Nawrocki zostanie zaprzysiężony na nowego prezydenta. Wydaje się, że będzie zdecydowanie bardziej asertywnym prezydentem w kluczowych dla Polski sprawach niż jego poprzednik. Być może tworzy to przestrzeń do wspólnej gry z Konfederacją. Pojawiły się informacje, że polityk waszej formacji ma znaleźć się w Kancelarii Prezydenta. Jakie oczekiwania ma pan wobec tej prezydentury?

Podchodzę do tego wyboru z nadzieją i optymizmem. Kancelaria Prezydenta może stać się miejscem, w którym toczyć się będą poważne dyskusje z politykami opozycji, również Konfederacji, dotyczące tego, w jaki sposób rozwiązać pat konstytucyjny, pat dotyczący funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, zapaść w prokuraturze, zapaść w sądach, brak nominacji nowych sędziów. Problemów, które trzeba przedyskutować, jest bardzo wiele.

Jednym z najważniejszych priorytetów jest zbudowanie nowej, konsekwentnej i rygorystycznej polityki migracyjnej, opartej na zasadzie „zero tolerancji" na jakiekolwiek przestępcze działania, których będą dopuszczali się w Polsce obcokrajowcy. To właściwy czas, żeby zaproponować zupełnie nowy sposób działania służb migracyjnych. Myślę o powołaniu nowej służby imigracyjnej w ramach całkowicie odklejonego od rzeczywistości Urzędu do spraw Cudzoziemców.

Będzie koalicja PiS z Konfederacją? Przysłuchując się wystąpieniu prezesa Kaczyńskiego podczas niedawnego kongresu Prawa i Sprawiedliwości w Przysusze, trudno być w tej sprawie optymistą. W PiS nie ma śladu głębszej refleksji na temat przyczyn utraty władzy po wyborach w 2023 r. Trawestując popularną piosenkę sprzed lat, postawę liderów tej formacji można streścić słowami: „Jest super, jest super, więc o co Ci chodzi…".

Ktoś, kto zachowuje się, jakby podczas ośmiu lat jego rządów wszystko było świetnie, nie rokuje, że będzie w stanie naprawić bolączki Polski, z których część pojawiła się za jego rządów.

Na jakich warunkach taka koalicja byłaby możliwa?

Nie będę o tym spekulował, ponieważ jesteśmy w trakcie intensywnych prac programowych, w których ramach uzgadniamy w bardzo szczegółowych kwestiach wspólne stanowisko części wolnościowej i narodowej Konfederacji, czyli Nowej Nadziei Sławomira Mentzena i Ruchu Narodowego. Dla nas kluczowe będą realizacja programu, przyjęcie pewnych zasad nieprzekraczalnych, które były wskazane w deklaracji toruńskiej Sławomira Mentzena. Oprócz tego musimy w innych obszarach przeprowadzić prawdziwą rewolucję, dlatego że z powodów demograficznych i ekonomicznych realne jest, że Polska może przestać istnieć, jeżeli będziemy pozostawać w dryfie i bezwładzie, w których jesteśmy obecnie.

Rozwód z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna jest definitywny? Na prawicy słychać także głosy, że może warto pomyśleć znów o bliższej współpracy.

Ci, którzy snują tego rodzaju spekulacje, nie znają rzeczywistości, w której funkcjonujemy. Nie widzę ani potrzeby, ani perspektywy łączenia tych dwóch środowisk. Czasami gdy się rozdzieli liderów, styl działania i środowiska, to obie strony zyskują. Po wystąpieniu Grzegorza Brauna z Konfederacji przestaliśmy być trzecią siłą, tylko staliśmy się trzecią i czwartą siłą polityczną w Polsce. Na podziale zyskały oba środowiska. Osobiście bardzo lubię Grzegorza, ale niektórych jego działań nie rozumiem i wiem, że dla części naszych wyborców są one kontrowersyjne, dlatego oddali głos na Sławomira Mentzena, bo nie było za nim tak niekonwencjonalnego polityka jak Grzegorz.

Zaskoczył pana wyborczy wynik Brauna?

Nie, bo widziałem entuzjazm, z jakim przyjmowany był na wielu spotkaniach. Wybory do Sejmu i Senatu to jednak inne wyzwanie. Tu nie wystarczy jeden, nawet najbardziej wyrazisty showman, potrzeba co najmniej kilkuset mocnych zawodników. To będzie poważny test dla formacji Grzegorza Brauna.

Jeszcze niedawno ktoś, kto twierdziłby, że w 2027 r. premierem Polski może zostać polityk Konfederacji, uważany byłby za szaleńca. Jednak sytuacja polityczna zmienia się tak szybko, że dziś taki scenariusz nie wydaje się absurdalny.

Osobiście uważam, że to powinien być nasz warunek brzegowy w rozmowach koalicyjnych z kimkolwiek. To byłoby gwarancją, że nigdy nie staniemy się czyjąś przystawką. Nie dostał tego Gowin – nie ma Gowina. Nie dostał tego Ziobro, który jest nadal w polityce, ale nie jest współliderem Prawa i Sprawiedliwości. Wszyscy, którzy wchodzili do koalicji, szczególnie przy wprowadzaniu ambitnych i trudnych zmian, płacili za to cenę, która ich eliminowała z gry. Z tego powodu stanowisko premiera będzie naszym naturalnym żądaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Kacper Kita

Teoretycznie imigracja ma służyć polskiej gospodarce. W praktyce władze ewidentnie nie dokonują jednak żadnej racjonalnej selekcji. Zabójca Polaka z Nowego jest pracownikiem niemieckiej firmy mięsnej, która dzięki kreatywnej księgowości nie płaci w naszym kraju żadnych podatków, zyski wyprowadzając za Odrę. Chętnie przyjmuje za to wielotysięczną pomoc publiczną z polskiego budżetu

Przejście graniczne Słubice-Frankfurt nad Odrą

FOT. NEWSLUBUSKI/EAST NEWS

Odzyskać kontrolę nad krajem

Tego nie da się dłużej zamiatać pod dywan. Polska idzie od lat drogą Europy Zachodniej. Z jednej strony, i obecny, i poprzedni rząd wpuszczają w sposób nieodpowiedzialny tysiące imigrantów z całego świata, czego mamy już niestety pierwsze ofiary. Oprawca Klaudii z Torunia dostał się tu całkowicie legalnie. Z drugiej strony, Niemcy zrzucają na nas coraz więcej przybyszów, których nie chcą już u siebie. Państwo nie panuje nad tym, kto przebywa na naszym terytorium. Złapani imigranci są w dużej mierze puszczani w Polskę i nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Potrzebna jest silna presja społeczna, bo rządzący politycy sami z siebie będą chować głowę w piasek, pozorować działania i okłamywać Polaków, tak jak na Zachodzie.

Rząd ewidentnie nie chce, by społeczeństwo wiedziało, co się dzieje, a nas traktuje jak kompletnych kretynów. 1 lipca 2025 r. MSWiA podało liczby przekazywanych do Polski przez Niemcy imigrantów w trybie readmisji i zwrotów w ramach procedury dublińkiej – pokazując, że spadają. Także wiele sprzyjających centrolewicy mediów twierdziło, że przerzucanie imigrantów przez granicę to dezinformacja. Była to niezwykle grubymi nićmi szyta manipulacja – najbezczelniej w świecie pominięto kluczową kategorię tzw. odmów wjazdu, które drastycznie wzrosły. Rząd Niemiec po prostu przywrócił kontrole na granicy, zmobilizował kilkanaście tysięcy funkcjonariuszy swojej straży granicznej i wszedł w tryb, który pozwala możliwie prosto zrzucać na nas ich problem. Dlatego readmisje i zwroty „dublińskie" spadły.

„Odmowy wjazdu" w praktyce nie oznaczają przy tym tylko rzeczywistego zawracania na granicy polsko-niemieckiej. Imigranci wyłapywani są nawet kilkadziesiąt kilometrów w głębi Niemiec. Do Polski trafiają w większości osoby bez żadnych dokumentów, które rzekomo dostały się do Niemiec przez nasz kraj. W przypadku części z nich

eprasa.pl 000991d239

ewidentnie nie jest to prawda. Niektórzy z nich twierdzą nawet, że mieszkali już w Niemczech. Rząd Donalda Tuska kazał służbom przyjąć zasadę „zaufania do strony niemieckiej" i nie wymagać dokumentów.

Niemcy mają dość zalewu obcych i trudno im się dziwić. Nowy kanclerz Friedrich Merz musi pokazać skuteczność, jeśli chce zatrzymać odpływ wyborców do AfD. Nawet poprzedni kanclerz, słaby i lewicowy Olaf Scholz, próbował grać twardziela. To on przywrócił kontrole i chwalił się w przedwyborczej debacie z Merzem, że obdzwonił sąsiadów, by kazać przyjmować imigrantów, którzy trafili do Niemiec. Trzeba liczyć się z tym, że nasz zachodni sąsiad będzie bezwzględnie wykorzystywał naszą słabość. Ilu imigrantów pozwolimy sobie wpuścić, tylu dostaniemy.

PROBLEM NIE ZACZĄŁ SIĘ WCZORAJ

Z pewnością jednak wielu zawracanych do Polski imigrantów rzeczywiście wcześniej było u nas. Wynika to z nieszczelności naszych granic na wschodzie oraz wpuszczania do Polski przez ostatnie lata tysięcy chętnych z całego świata – od Ukrainy i Białorusi przez Indie i Amerykę Południową do krajów muzułmańskich. Tusk ma rację, gdy mówi, że obecna sytuacja jest w dużej mierze winą PiS. Problem w tym, że on robi zasadniczo to samo. Kłamie też, twierdząc, że poprzedni rząd masowo wydawał wizy za łapówki. Prawda jest dużo bardziej banalna. „Przyspieszonych" korupcyjnie wiz było kilkaset – co pokazała sejmowa komisja śledcza – natomiast zgody na przyjazd do Polski wydawano masowo w imię rzekomych korzyści gospodarczych. Jednocześnie Polaków karmiono propagandą o unikaniu drogi Europy Zachodniej, choć rząd robił to samo, co kilkadziesiąt lat wcześniej zaczęły u siebie władze Francji, Szwecji czy Niemiec. Ani rząd PiS, ani rząd PO nigdy nie zapytały społeczeństwa, czy życzy ono sobie tak wielu egzotycznych przybyszów.

Do Polski przyjechać jest dziś bowiem naprawdę łatwo. Wenezuelski zwyrodnialec, który próbował zgwałcić, okaleczył i zamordował 24-letnią Klaudię, znalazł się w Polsce legalnie w ramach… ruchu bezwizowego. Tak – obywatele kraju znanego z przestępczości, w którym według danych ONZ mamy 16 razy więcej morderstw na mieszkańca niż w Polsce, mogą sobie do nas po prostu przyjechać na 90 dni. Podobnie jest z Kolumbią, gdzie morderstw jest 31 razy więcej. Teoretycznie to turyści. W praktyce mogą tu zostać dowolnie długo, jeśli będą chcieli. Oprawca Klaudii więc po prostu nie wyjechał. Wolał okradać okoliczne Żabki, a w końcu napaść i zamordować dziewczynę, która miała całe życie przed sobą. To klasyczny przypadek zjawiska powszechnego na Zachodzie. Gdzie są obrońcy „praw kobiet"? Czemu nie mówią już „ani jednej więcej"?

Ani rząd PiS, ani rząd PO nigdy nie zapytały społeczeństwa, czy życzy ono sobie tak wielu egzotycznych przybyszów

Warto pamiętać, że wbrew propagandzie imigranci nielegalni i legalni to nie są dwie trwale rozłączne grupy. Wielu obecnych nielegalnych to byli legalni, którym skończył się czas zgodnego z prawem pobytu, ale trzeba użyć siły, żeby ich wyprosić. To także jednak łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Po pierwsze, trzeba delikwentów złapać. Po drugie, Polska nie ma umowy o readmisji z Wenezuelą – ani z większością krajów, z których na różne sposoby trafiają do nas imigranci. Jest więc duża szansa, że to polski podatnik będzie utrzymywał 19-letniego bandytę przez resztę jego życia. Gdy niedawno poseł Krzysztof Mulawa z Ruchu Narodowego (klub Konfederacji) zaproponował poprawkę do ustawy, która ograniczałaby wydawanie wiz wyłącznie do państw, do których Polska może łatwo deportować, jego wniosek został odrzucony przez posłów centrolewicowej większości.

Wydawałoby się to oczywiste, zdroworozsądkowe rozwiązanie. Jak widać, nie dla polskich rządów. Decydentom nie przyszło też do głowy, że może nie jest najlepszym pomysłem sprowadzanie do Polski imigrantów i umożliwianie łatwego wjazdu „turystom" z państw pełnych przestępczości, choć wspomniane dane o Kolumbii i Wenezueli można w minutę znaleźć w Internecie, a w mediach ciągle słyszymy o działających w USA gangach z tych krajów. Zabicie Klaudii to niestety kolejna już podobna historia. Rok temu pisałem w „Do Rzeczy" o zaatakowaniu i ciężkim poranieniu dwóch Polaków przez kilkunastu Kolumbijczyków w Śremie. Kilka miesięcy temu doszło do zbiorowego gwałtu Kolumbijczyków na 20-letniej Polce pod Warszawą. Teraz w Nowem na Pomorzu Kolumbijczyk zabił nożem 41-letniego Polaka w wyniku sprzeczki. We wszystkich trzech przypadkach sprawcami byli legalni imigranci zarobkowi.

Gdy w reakcji na serię przestępstw w Wielkopolsce pojawiły się patrole obywatelskie, rząd Tuska i bliskie mu media oburzyły się – podobnie jak teraz – wobec oddolnych inicjatyw obrony granic. Organizatorzy niektórych patroli mają zarzuty nielegalnych zgromadzeń publicznych, a od policjantów słyszą nieoficjalnie, że w ich sprawie występuje „presja góry". W Środzie Wielkopolskiej doszło niedawno do brutalnego mordu Mołdawianina na szanowanej dentystce, której włamał się do domu i którą zatłukł młotkiem. Imigrant ciężko poranił także jej syna – myślał, że jego też zabił. Następnie zabrał z ich domu 1 tys. zł. Tyle było dla niego warte życie tych osób. Na sali sądowej morderca pokazywał środkowe palce zebranym.

CZY TO SIĘ NAPRAWDĘ OPŁACA?

Teoretycznie imigracja ma służyć polskiej gospodarce. W praktyce władze ewidentnie nie dokonują jednak żadnej racjonalnej selekcji. Zabójca Polaka z Nowego jest pracownikiem niemieckiej firmy mięsnej, która dzięki kreatywnej księgowości nie płaci w naszym kraju żadnych podatków, zyski wyprowadzając za Odrę. Chętnie przyjmuje za to wielotysięczną pomoc publiczną z polskiego budżetu. Do pracy zatrudnia Kolumbijczyków, których można eksploatować bardziej niż Polaków. Jaka w tym ekonomiczna opłacalność dla Polski? To samo mięso mogłaby przecież przetworzyć polska firma zatrudniająca Polaków. Korzyści idą do Niemiec, a koszty w postaci przemocy i napięć na tle etnicznym zostają nad Wisłą.

eprasa.pl 000991d239

Jakby tego było mało – jak ujawnił Rafał Buca, publicysta serwisu Nowy Ład, który skontaktował się z pracownicami zakładu – zatrudnieni w tej firmie Polacy anonimowo żalą się, że przełożeni źle ich traktują i wyraźnie preferują cudzoziemców, którzy mają niższe oczekiwania finansowe. Pomiędzy Polakami a imigrantami dochodzi do konfliktów, a niekiedy nawet bójek. Kobiety są zaczepiane przez cudzoziemców, którzy składają im niedwuznaczne propozycje seksualne.

W Internecie można też znaleźć publiczne grupy, na których ukraińscy pośrednicy zapraszają do przyjazdu do Polski imigrantów z Ameryki Południowej. Mogą oni udawać turystów i korzystać z ruchu bezwizowego, a potem pracować na czarno poniżej minimalnego wynagrodzenia.

Polskie państwo jest też bezradne wobec imigrantów przerzucanych do nas przez Niemcy. Zwyczajnie nie ma gdzie ich wszystkich trzymać. Niektórych dokwaterowywano do domów pomocy społecznej czy domów dziecka, co spotykało się ze społecznym oporem. Znaczna część jest więc puszczana wolno. Idą w Polskę i nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Teoretycznie mają się później regularnie zgłaszać na komendzie policji, ale wszyscy wiedzą, że to fikcja – i strażnicy, i sami przybysze. Niektórzy będą podejmować kolejne próby dostania się do Niemiec, inni być może zaczną pracować na czarno, jeszcze inni zostaną przestępcami. W Straży Granicznej, która ma za zadanie chronić granice i wyłapywać nielegalnych imigrantów – a więc ma teraz coraz więcej pracy – mamy aktualnie ponad 2 tys. wakatów. Nietrudno też usłyszeć o niskich morale funkcjonariuszy, którzy nie chcą być „taksówkami" dla Niemców, a widzą ogrom wyzwań, które przed nimi stoją, oraz nieprzygotowanie państwa będące efektem wieloletnich zaniedbań.

Oczywiście nie można też pozwolić, by imigranci trafiali do wygodnych ośrodków wypoczynkowych. W granicach chrześcijańskiej moralności należy dawać chętnym do zrozumienia, że nie opłaca im się próbować dostać do Polski. W niektórych krajach Europy obsługa nielegalnych imigrantów stała się bowiem po prostu biznesem. Niedawno w serwisie The Times zamieszczono historię Grahama Kinga, który został miliarderem dzięki obsłudze rządowych zleceń na hotele, jedzenie i transport dla imigrantów ubiegających się o azyl. Oczywiście za pieniądze brytyjskiego podatnika. Jego majątek urósł w ciągu roku o 35 proc. – dodatkowe 265 mln funtów (1,3 mld zł). Dwa lata temu w ogóle nie było go na liście najbogatszych Brytyjczyków. Nie możemy pozwolić, by w Polsce rozwinęły się podobne patologie.

Nie wolno już nigdy oddać debaty o imigracji lobbystom, obcym koncernom i skrajnie lewicowym aktywistom

Trzeba też pamiętać, że dużo łatwiej jest wpuścić człowieka, niż się go skutecznie pozbyć. We Francji zaledwie 7 proc. sądowych nakazów deportacji imigranta kończy się jego skutecznym wyproszeniem. Politycy chętnie karmią nas hasłami, które na koniec muszą jednak wcielić w życie konkretni ludzie potrzebujący do tego środków i infrastruktury.

ROZLICZAĆ POLITYKÓW Z CZYNÓW

Pierwszą reakcją premiera Tuska na kryzys było rżnięcie głupa. Podobnie jak robiło i robi to wielu polityków PiS. Jarosław Kaczyński na kongresie twierdził, że imigranci sprowadzani za jego rządów nie generowali żadnych kłopotów. Cały czas słyszymy niekiedy kuriozalne głosy, że problemu by nie było, gdyby więcej Polaków zagłosowało w referendum. To kolejny absurd i próba robienia ludziom wody z mózgu, by uciec od odpowiedzialności za własne decyzje. Pytanie w referendum z października 2023 r. dotyczyło wyłącznie unijnego paktu migracyjnego. Obecne działania Niemiec nie mają nic wspólnego z unijnym paktem, który nawet nie wszedł jeszcze w życie. Nie ma też nic wspólnego z paktem fakt, że rząd PiS wpuszczał do Polski na masową skalę legalnych imigrantów z rozmaitych egzotycznych krajów, czego efekty obecnie obserwujemy.

Ślepą uliczką wydaje się też antyniemiecka histeria, choć rzecz jasna Polska musi być asertywna wobec sąsiadów i nie pozwalać na zrzucanie na nas cudzego problemu. Nasze władze powinny przekonywać Niemcy i inne europejskie rządy, że kluczowe dla nas wszystkich długofalowo jest udrożnienie deportacji z Europy do krajów pochodzenia. Trzeba też przeciwstawić się wyrokom Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który wielokrotnie nawet w skrajnie absurdalny sposób próbował zakazywać państwom deportacji. Trybunał w Strasburgu konsekwentnie przedkłada dobro imigrantów – nawet terrorystów – nad elementarne bezpieczeństwo normalnych Europejczyków. Niedawno rządy dziewięciu państw wystosowały w tej sprawie list otwarty z inicjatywy premier Włoch Giorgii Meloni i Danii Mette Frederiksen, domagając się od Trybunału „nowej interpretacji" Konwencji Praw Człowieka. Jak zwracał uwagę znany prawnik Bartosz Lewandowski, dokument ten pozwala państwom na „środki uchylające stosowanie zobowiązań wynikających z niniejszej konwencji w zakresie ściśle odpowiadającym wymogom sytuacji" nie tylko w przypadku wojny, lecz także „niebezpieczeństwa publicznego zagrażającego życiu narodu".

Politycy będą chować głowy w piasek, jeśli nie będzie silnej presji społecznej, mobilizacji i rozliczania za czyny, nie słowa. Jeśli chcemy, żeby Polacy mieli własny kraj, to nie możemy dać zwieść się frazesom. Trzeba twardo żądać konkretnych działań – maksymalnego zabezpieczenia granic, ograniczenia możliwości legalnego napływu do Polski, utrudnienia zdobywania polskiego obywatelstwa oraz deportacji imigrantów, którzy przebywają na naszym terytorium niezgodnie z prawem, są niepożądani lub niebezpieczni. Musimy odzyskać kontrolę nad naszym krajem. Im później się do tego weźmiemy na poważnie, tym trudniej będzie to zrobić. Nie możemy też zmarnować obecnego oburzenia Polaków – trzeba przekuć je na działania. I nie wolno już nigdy oddać debaty o imigracji ignorującym nasze interesy lobbystom, obcym koncernom i skrajnie lewicowym aktywistom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 000991d239

Teatr historii

Radosław Wojtas

Wakacje to doskonały moment, by poczuć historię na własnej skórze. Podpowiadamy, którymi inscenizacjami, rekonstrukcjami, widowiskami historycznymi warto się zainteresować w najbliższych tygodniach

Każde takie zestawienie będzie niedoskonałe. Bo jak tu sprawiedliwie wybrać ledwie kilka widowisk historycznych? Polecać największe? A może odnoszące się do najważniejszych wydarzeń? Może jednak bardziej niż na historii należałoby się skupić na geografii – spojrzeć na mapę i zaproponować coś z każdego zakątka Polski?

Nie ma idealnego sposobu, gdy przestrzeń jest tak ograniczona. Jeśli ktoś poczuje się pominięty, to proszę o wyrozumiałość. Z różnych powodów w tym moim subiektywnym przeglądzie wybrałem akurat te wydarzenia. Wiem, że każda inscenizacja, nawet najmniejsza, na którą dziś przychodzą tylko sąsiedzi, zasługuje na uznanie i szacunek. Wiem, ile pasji, pracy i środków trzeba, by każdego roku w taki sposób opowiadać o historii.

OD CHRZTU POLSKI DO JANA PAWŁA II

„Orzeł i Krzyż” 1

Murowana Goślina, 18, 19, 25, 26 lipca

wydarzenie biletowane

Każdego roku w organizację tego wydarzenia zaangażowanych jest ok. 300 wolontariuszy. Połowa z nich to mieszkańcy podpoznańskiej gminy Murowana Goślina, gdzie narodził się pomysł na widowisko „Orzeł i Krzyż”. Występują tu aktorzy w każdym wieku: od dziecka do seniora. Nierzadko są to całe rodziny. Widać, że bawią się oni nie gorzej niż publika i to pewnie także dlatego, mimo ogromnej skali wydarzenia, między publicznością a aktorami nawiązuje się tu chemia niczym w kameralnej sali teatralnej.

FOT. CENTRUM KULTURY PARK DZIEJE

To, że „Orzeł i Krzyż” to dzieło w dużej mierze oparte na niezawodowcach, nie oznacza, że to przedsięwzięcie amatorskie. Przeciwnie. To widowisko dobrze zorganizowane, dobrze napisane i wyreżyserowane, profesjonalnie nagłośnione, pełne efektów specjalnych, z udziałem rekwizytów, zabytkowych pojazdów i zwierząt – w tym sezonie koni i owiec.

„Orzeł i Krzyż” to półtoragodzinna podróż przez całą historię Polski – od czasów legendarnych, od Lecha, Czecha i Rusa, poprzez chrzest Mieszka I, koronację jego syna, bitwę pod Grunwaldem, rozbiory, Bitwę Warszawską, drugą wojnę światową aż do wyrwania się ze szpon komunizmu z niepoślednim udziałem Jana Pawła II. Przewodnikami w tej podróży są trzy postaci, symbolizujące różne spojrzenia na losy Polski: Stańczyk – patriota zatroskany o losy ojczyzny, zaangażowany emocjonalnie, dusza narodu; Wespazjan Kochowski – sarmata, barokowy poeta, pełni funkcję kronikarza i sumienia narodu; kobieta przy studni – wszechwiedząca, zdystansowana do wydarzeń wyrocznia. W widowisku odnajdujemy inspiracje i cytaty z polskiej kultury, m.in. z Reymonta, Chełmońskiego czy Kossaka.

ŚREDNIOWIECZE

XXX Festiwal Słowian i Wikingów 2

Wolin, 31 lipca–3 sierpnia

wydarzenie biletowane

Nie jest to jedna inscenizacja, nie jest to widowisko. To festiwal trwający od czwartku do niedzieli, ale z pokazami

FOT. CENTRUM SŁOWIAN I WIKINGÓW W WOLINIE

walk, uzbrojenia i rzemiosła z wczesnego średniowiecza. Jedno z największych tego rodzaju, traktujących o tym okresie wydarzeń w Europie. Sporo tu miejsca poświęca się wierzeniom i obrzędowości, ale do Wolina przyjeżdża ponad 2 tys. rekonstruktorów z Polski i z zagranicy specjalizujących się w różnych dziedzinach, dlatego osoby niezainteresowane tą sferą także powinny znaleźć coś dla siebie w tętniącej życiem, wczesnośredniowiecznej osadzie.

Szczególnie widowiskowe są rekonstrukcje walk, w których uczestniczy nawet 700–800 wojów. W tym roku warto zwrócić uwagę również na dwugodzinne widowisko inscenizacyjne koronacji Bolesława Chrobrego.

Bitwa nad Bugiem 3

Czumów (gm. Hrubieszów), 19 i 20 lipca

wydarzenie bezpłatne

Przenosimy się do roku 1018, kiedy to książę Bolesław zdecydował się

eprasa.pl 000991d239

RYS. MART

zaatakować Ruś. Polski władca chciał przywrócenia na tron kijowski swojego zięcia Świętopełka i uwolnienia uwięzionej przez Jarosława Mądrego nieznanej z imienia córki. Powodem ataku był także zamiar zdobycia tzw. Grodów Czerwieńskich. Do bitwy pod Wołyniem, zwanej także bitwą nad Bugiem, doszło 22 lipca 1018 r. w dzisiejszym powiecie hrubieszowskim. Zakończyła się całkowitym zwycięstwem przyszłego króla Polski i otworzyła jego siłom drogę do Kijowa.

Inscenizacja tego wydarzenia nie ma bardzo długiej historii, w tym roku odbędzie się jej czwarta edycja (wydarzenie organizowane jest co dwa lata), ale wciąż się rozwija i jest dziś jednym z największych spotkań z rekonstrukcją historyczną w Polsce. Odtworzone starcia historyczne z udziałem piechoty i kawalerii zaplanowano na niedzielę, na sobotę natomiast – inscenizację koronacji Bolesława Chrobrego. W oba dni imprezy odbędą się turnieje walk. Zaplanowano także inne atrakcje, np. grę terenową, warsztaty, koncerty muzyki dawnej.

FOT. MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Oblężenie Malborka 4

Malbork, 18 i 19 lipca

wydarzenie biletowane

Tegoroczną edycję inscenizacji, którą uważa się za największą historyczną imprezę plenerową w Polsce – czyli inscenizację bitwy pod Grunwaldem – mamy już za sobą. Była punktem kulminacyjnym Dni Grunwaldu, które odbyły się w miniony weekend. Nie trzeba jednak czekać do 2026 r., by poczuć klimat wojen z krzyżakami. W trzeci weekend lipca na zamku w Malborku organizowana jest inscenizacja oblężenia trwającego od lipca do września 1410 r. Po wielkiej wiktorii na grunwaldzkich polach przyszło rozczarowanie – 52-dniowe oblężenie ostatecznie się nie udało. W niczym to jednak nie ujmuje samemu widowisku, które łączy inscenizację z teatralną stylistyką, elementami kaskaderskimi i efektami pirotechnicznymi. Nocne widowisko (start o godz. 22) zakończy pokaz ogniowy.

Sama inscenizacja oblężenia jest częścią trzydniowego Festiwalu Kultury Średniowiecznej. Program jest bogaty.

FOT. MUZEUM ZAMKOWE W MALBORKU

Znalazły się w nim m.in. pokazy i potyczki rycerskie, pokazy artyleryjskie i maszyn oblężniczych, a także prezentacje średniowiecznego rzemiosła. Wieczorem można wybrać się na nocne zwiedzanie, które zakończy się pół godziny przed inscenizacją, a więc można uczestniczyć w obu wydarzeniach.

WIEK XX

Cud nad Wisłą 5

Ossów, 16 sierpnia

wydarzenie bezpłatne

Od lat głównymi organizatorami Rekonstrukcji Bitwy Warszawskiej w Ossowie były powiat wołomiński, Powiatowe Centrum Kultury „Fabryczka" oraz lokalni miłośnicy historii. Każdego roku w to szczególne dla historii Polski i Europy miejsce przyjeżdżały tłumy turystów. Rekonstruktorzy odtwarzali starcia, które zatrzymały bolszewicką nawałę na przedpolach Warszawy. Efekty pirotechniczne, zabytkowe pojazdy, jeźdźcy,

FOT. KAROL RZECZYCKI

eprasa.pl 000991d239

umundurowanie, broń – dbano tu o detale. Jednym z najbardziej wzruszających momentów inscenizacji była bohaterska śmierć ks. Ignacego Skorupki. Niedaleko miejsca, gdzie rozgrywa się inscenizacja, znajduje się krzyż upamiętniający ten epizod walk, a także sanktuarium Matki Bożej Zwycięskiej i cmentarz Poległych 1920 r.

Dlaczego używam czasu przeszłego? Dlatego, że organizację jubileuszowej, 20., edycji imprezy powiatowi i partnerom odebrano. Wydarzenie będzie połączone z otwarciem Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, a organizacją inscenizacji zajęła się fundacja, która otrzymała na to środki w ramach konkursu zorganizowanego przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Jak informują MON i organizatorzy, podczas dwudniowego wydarzenia (16 i 17 sierpnia) zaplanowano wystawy, warsztaty, gry i pokazy tematyczne, a sama inscenizacja z udziałem 150 rekonstruktorów i 50 koni odbędzie się 16 sierpnia. W dniu Święta Wojska Polskiego ludzie od lat zaangażowani w rekonstrukcję Bitwy Warszawskiej zapowiadają zorganizowanie w Ossowie kawaleryjskich mistrzostw Polski.

Bitwa pod Komarowem 6

Wolica Śniatycka, 31 sierpnia

wydarzenie bezpłatne

Inscenizacja bitwy pod Komarowem odbędzie się dokładnie w 105. rocznicę tego wydarzenia. To na pamiątkę tego starcia – które było największą bitwą kawalerii nie tylko w wojnie polsko-bolszewickiej, lecz w całym XX w., momentem zwrotnym na południowym froncie, zwycięstwem Polski o tak dużym znaczeniu, że porównuje się je do Cudu nad Wisłą – 31 sierpnia ustanowiono Świętem Kawalerii Polskiej. Dzięki wieloletnim staraniom pasjonatów ze Stowarzyszenia „Bitwa pod Komarowem" w 2022 r. powstał monumentalny pomnik Chwały Kawalerii i Artylerii Konnej, u którego stóp odbędą się centralne obchody sierpniowego święta.

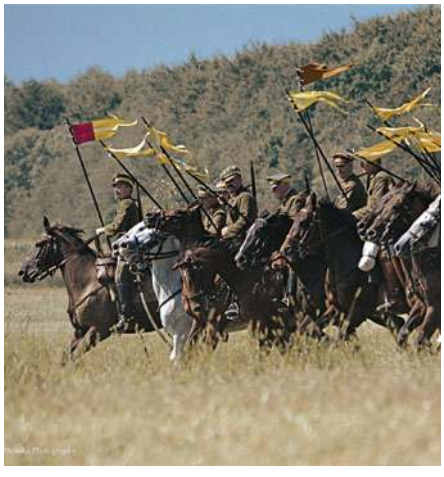

FOT. JOANNA WOLSKA

Sama inscenizacja obejmuje kilka najważniejszych epizodów bitwy. W nieco mniejszej skali niż przed laty, ale organizatorzy zapewniają, że będzie to widowiskowe wydarzenie. Kolejne etapy starcia i ruchy wojsk będzie komentował narrator, który wytłumaczy ich znaczenie dla rozstrzygnięcia bitwy.

Walki nad Wartą z września 1939 r. 7

Beleń/Strońsko (gm. Zapolice), 6 września

wydarzenie bezpłatne

Krwawe i skazane na porażkę walki obronne z września 1939 r. na linii rzeki Warty są tematem inscenizacji organizowanej w powiecie zduńskowolskim w województwie łódzkim. Na tych terenach Armia Łódź broniąca linii Warty przyjęła jedno z największych niemieckich uderzeń w pierwszych dniach drugiej wojny światowej. Grupy rekonstruktorskie odtwarzają kilka epizodów z tamtych dni. Oprócz samych walk (w których wykorzystywane są polskie bunkry, które zachowały się w tym miejscu) przypominana jest również dramatyczna ucieczka ludności cywilnej. Nad głowy rekonstruktorów nadlatują też samoloty, które bombardują pole bitwy oraz toczą walkę w powietrzu.

FOT. TOMASZ GRALA/PIOTR WAJMAN

Wydarzenie organizowane od lat, z rozmachem, które zdążyło zyskać renomę. Po niedawnych zawirowaniach związanych ze zmianą organizatora rekonstrukcją znów zajął się powiat zduńskowolski, który zapowiedział powrót do starej, sprawdzonej formuły.

D-Day Hel 8

Hel, 25–31 sierpnia

wydarzenie bezpłatne

Nietypowe widowisko, bo nawiązuje do wydarzeń, które nie rozegrały się na ziemiach polskich, ale do największej operacji desantowej aliantów w Normandii w czerwcu 1944 r. Desant (choć bez barek) zaczyna się w wodzie, rekonstruktorzy w pełnym umundurowaniu, przemoczeni, rozpoczynają morderczy bieg po plaży pod gradem pocisków. Nie brakuje efektów pirotechnicznych i zabytkowych pojazdów. W poprzednich edycjach używano zabytkowego czołgu M4 Sherman.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Inscenizacja cieszy się największym zainteresowaniem, ale całe wydarzenie trwa kilka dni i obejmuje więcej atrakcji. Fani motoryzacji mogą tu dotknąć oryginalnych, zabytkowych pojazdów militarnych z czasów drugiej wojny światowej, są też pokazy mody i koncerty muzyki lat 40. XX w. Na Hel przyjeżdżają setki rekonstruktorów, których spotkać można w całym mieście, zwłaszcza w popularnych miejscach turystycznych. Dokładny harmonogram pojawi się na stronie internetowej wydarzenia przed 5 sierpnia, sama inscenizacja zaplanowana jest na 30 sierpnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory.
Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko
przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki.
Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy
i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 000991d239

KRZYSZTOF MASŁOŃ
„RACHUNEK SUMIENIA"
ZYSK I S-KA 2025

Sumienie polskiego pisarza

Krzysztof Masłoń

O ponad 30 pisarzach opowiada Krzysztof Masłoń w wydanym właśnie „Rachunku sumienia", wzbogacającym jego osobisty obraz XX-wiecznej literatury polskiej naszkicowany w książkach: „Od glorii do infamii" (2015), „W pisarskim czyśćcu" (2017) i „Klątwa sprzeczności" (2023). Jak poprzednie, tak najnowsza pozycja tego cyklu ukazała się nakładem Wydawnictwa Zysk i S-ka. Pierwodruk wszystkich tekstów miał miejsce na łamach „Do Rzeczy" i „Historii Do Rzeczy".

„Rachunek sumienia" już samym tytułem wpisuje się – jak powiada autor – w ciąg zagadnień interesujących go w literaturze najbardziej, a mających związek z tym, co dzieje się na styku pisarstwa i biografii twórców. Nie jest przypadkiem, że niejednokrotnie życie poszczególnych pisarzy było bardziej skomplikowane i dramatyczne niż to, co opowiadali w swoich książkach.

Przypominamy fragmenty sześciu szkiców zamieszczonych w „Rachunku sumienia", zwracając zarazem uwagę, że wśród innych postaci w nim sportretowanych są m.in.: Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Kazimiera Iłłakowiczówna, Krzysztof Kamil Baczyński, Bogdan Wojdowski i Rafał Wojaczek.

ŻYD OD KRZYŻA

Roman Brandstaetter (1906–1987)

Roman Brandstaetter powtarzał często polonijną anegdotę ks. Jasiewicza, do którego pewnego dnia przyszedł Jasiek, chcąc dać na zapowiedzi. Proboszcz spytał: „A wiesz ty coś o Panu Bogu, religii, Piśmie Świętym?". „Jakżeby nie – ten odparł – jo wszystko znom". „No to cię przepytam" – powiedział ksiądz. „Jakiej narodowości był Pan Jezus jako człowiek?". Jasiek bez namysłu odpowiedział: „Polok". Ksiądz na to: „Głupiś, Jasiu, Pan Jezus był Żydem". Jasiek złapał się za głowę i wykrzyknął: „Olaboga, co tyż ksiądz za herezyje opowiado".

Naturalnie, to spolonizowanie dziejów Jezusa przynależy do swojego czasu, coś się bowiem w jasełkowej wizji Syna Bożego, archaicznej, choć skądinąd wzruszającej, zmieniło. Niemniej pozostawiła ona głęboki ślad na odczytywaniu Historii Świętej, podobnie jak jej latynizacja, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Brandstaetter opowiadał, jak nieodmiennie w dobry humor wprawiała go lektura Sienkiewiczowskiego arcydzieła, w którego kluczowej scenie Piotr spotkanego Jezusa pyta: „Quo vadis, Domine?". I tak dwóch Żydów gada do siebie po łacinie…

Swojego Jezusa Roman Brandstaetter osadził w języku, realiach i tradycjach żydowskich. W Jego „tam i wtedy". Można przyjąć, że w swoich utworach przywrócił Zbawicielowi semickie rysy. Nie mogło być inaczej. Ten wybitny pisarz chrześcijański był Żydem. Biblię poznał dzięki swemu dziadkowi Mordechajowi Dawidowi Brandstaetterowi. To on nauczył go kochać Pismo Święte, wczytywać się w nie i odczytywać wciąż na nowo. Swoje zrobiło też sześć lat spędzonych przez przyszłego autora „Jezusa z Nazarethu" w Ziemi Świętej. Dopiero po opuszczeniu Palestyny, w 1946 r., przyjął chrzest. Miał za sobą połowę życia.

FOT. ARCHIWUM MUZEUM TATRZAŃSKIEGO

Najważniejszą duchową przemianę przeżył pewnej nocy w grudniu 1944 r. w Jerozolimie, za sprawą reprodukcji rzeźby przedstawiającej ukrzyżowanego Chrystusa. Ten wizerunek, oprawiony w ramkę, zawiesi później w swoim mieszkaniu. I będzie pamiętał, że martwy Chrystus żyje. Obruszał się, gdy mówiono o jego nawróceniu. Powtarzał, że nie był poganinem, by miał się nawracać. Po prostu uznał Nowy Testament za całkowite wypełnienie Obietnicy Pańskiej zawartej w Starym Testamencie. I stał się Żydem chrześcijaninem.

Jego przemiana miała, jak się zdaje, niewyłącznie duchowe motywy. Dokonała się w bardzo trudnym dla niego momencie. Dowiedział się o śmierci swoich zagazowanych w Treblince rodziców, opuściła go pierwsza żona, skłócił się ze środowiskiem żydowskim po wystawieniu przez Teatr Habima jego „Kupca warszawskiego" w przekładzie na hebrajski – spektaklu, za który musiał się też tłumaczyć przed pol-

eprasa.pl 000991d239

skim sądem koleżeńskim. Powrót do kraju stał się w tej sytuacji oczywisty, choć droga nie była prosta. Po „ucieczce" z Jerozolimy dociera do Włoch, gdzie przez dwa lata pełni funkcję attaché kulturalnego przy ambasadzie polskiej w Rzymie. Poślubia tam też sekretarkę ambasadora Stanisława Kota, Reginę Wiktorównę z Brochwiczów, wcześniej przyjąwszy chrzest. Do kraju wraca w 1948 r., zwolniony z funkcji po akademii związanej ze 150. rocznicą urodzin Adama Mickiewicza. Scenariusz, który napisał na potrzeby tej uroczystości, nie ukazał odpowiednio naszego największego wieszcza jako koryfeusza marksizmu. Minister kultury Sokorski zapytał go, gdzie chciałby w Polsce osiąść. Gdy usłyszał, że w Krakowie, odmówił. W tym gnieździe reakcji byłoby mu za dobrze. Miał dla niego endecki Poznań, gdzie na pewno będzie czuł się źle. I rzeczywiście, nie polubi tego miasta, na 10 lat wyrwie się nawet stamtąd do Zakopanego.

Na premierach jego sztuk pojawią się Wanda Wasilewska i Jakub Berman, szybko jednak wszystkowiedzący marksiści stwierdzą, że dramaty te „nie oddają ideologii naszej współczesności", i odtąd będzie Brandstaetter toczył swą prywatną walkę w imię prawa do wolności przekonań i wolności słowa. W efekcie np. jego „Milczenie" grane będzie (z sukcesem) w Paryżu, Wiedniu czy Sztokholmie, ale w Krakowie weto miejscowego kacyka partyjnego sprawi, że dramat pojawi się tam na deskach scenicznych – i to w Nowej Hucie – dopiero w 1982 r.

Wielki przechrzta literatury polskiej, Roman Brandstaetter, będzie często przywoływać zdanie Alberta Einsteina o Panu Bogu piszącym prosto po krzywych liniach ludzkiego życia.

INNY PUNKT WYJŚCIA, INNY PUNKT DOJŚCIA

Adolf Rudnicki (1909–1990)

W 1939 r. pisarz został zmobilizowany i walczył w Twierdzy Modlin. Po kapitulacji trafił do niewoli, wywieziony został do Prus Wschodnich, skąd w grudniu uciekł i przedostał się do zajętego przez Sowietów Lwowa. Tam od razu podpisał lojalkę wobec okupanta, bo tym właśnie było wstąpienie do Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy. W „Nowych Widnokręgach" wydrukował nowelę „Koń", zdaniem Aleksandra Wata „obrzydliwą, obrzydliwie oportunistyczną":

FOT. WIESŁAW PRAŻUCH/MNW

„Ten Adolf Rudnicki – opowiadał Wat Miłoszowi (»Mój wiek«) – który może kiedyś w swoim miasteczku żydowskim komunizował, był może komsomolcem nawet [? – przyp. K.M.], ale potem, kiedy wszedł w świat hrabiów, taki półpederastyczny, to mną już z powodu mojego komunizmu gardził. Przyszedł do mnie, od razu po przyjeździe do Warszawy, miał może wtedy jakiś respekt z powodu »Miesięcznika« i »Lucyfera«, ale potem lekceważył ten mój komunizm, że nie należę do gry. Strasznie się zesnobizował i tu nagle »Koń«, adoracja żydowskiego komunisty, który nawraca swego pobożnego ojca na komunizm. Okropny fałsz oportunistyczny, bardzo niedobra, fałszywa nowela".

„Koń" nie był jedyny. Na tych samych łamach opublikował Rudnicki opowiadanie „Na drogach", ukazujące wojnę wrześniową jako jeden wielki chaos, w którym gubią się polscy żołnierze porzuceni przez dowódców. A nieszczęsnych przedwojennych komunistów żydowskich sportretował jeszcze w „Józefowie". Ale opowiadanie będące największą jego hańbą powstanie później, po wojnie. Będzie to „Major Hubert z armii Andersa", mające za bohatera Józefa Czapskiego, a dotykające zbrodni katyńskiej, którą Rudnicki obciążył Niemców.

To podobno Jakub Berman zasugerował Rudnickiemu, by przestał pisać „obsesyjne opowiadania wojenne"; miał odtąd „włączyć się do budowania zrębów". W przedmowie do francuskiego tłumaczenia „Kartek sportowych" pisarz cytował tamtą rozmowę: „Czy to nie zadanie piękne, zaszczytne i w najwyższym stopniu moralne? »Pisząc to, co piszę, i kontynuując tę linię, wierzę, iż uczestniczę w budowie socjalizmu« – odpowiedziałem". To, co miało nastąpić potem, w przekazie Rudnickiego przypomina apokalipsę: „Przestano mnie drukować. Z dnia na dzień wyrzucono mnie na śmietnik. Przyjaciele opuścili mnie, przestałem wychodzić z domu, okazało się, iż nie mam dokąd. Nie wiem, co robiłem… Nagle zmieniły się wschody i zachody słońca, zmieniła się ulica… Jeszcze dzisiaj owe lata mają bardzo szczególną barwę w mojej pamięci".

No, to nie są baśnie z tysiąca i jednej nocy, a prawdziwe jest jedynie to, że w twórczości Rudnickiego pojawiły się „Kartki sportowe" (1952) właśnie czy wzbudzające niezwykłe emocje opowiadanie o świetnym podtytule „Pałeczka, czyli każdemu to, na czym mu mniej zależy". Socrealizmu natomiast, obowiązkowego wówczas, ani śladu. Niebawem – od 1953 r. – w tygodniku „Świat" zacznie pisarz drukować wyraźnie odwilżowe „Niebieskie kartki". Kolejne tomy z lat 60. będą chętnie czytane, ale też na ich recepcji niewątpliwie ciążyć będzie osąd Artura Sandauera, który w swojej kampanii krytycznej „Bez taryfy ulgowej" nie kogo innego, jak Rudnickiego uczyni obiektem swego najgwałtowniejszego ataku.

Wytykając pisarzowi znaczące, ale i najdrobniejsze potknięcia w „Pałeczce" i „Niebieskich kartkach", dojdzie w końcu do następującej konkluzji: „Rudnicki […] produkuje mity społeczne na użytek pensjonarek. Ten pisarz, którego pookupacyjna twórczość rokowała tak duże nadzieje, stał się Heleną Mniszek naszych czasów". Ocenę tę Sandauer złagodził po latach w szkicu „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku" (1982), niemniej najważniejsze swoje tezy podtrzymał, autorowi „Ginącego Daniela" zarzucając wszechobecny narcyzm i przypominając swoje, jakże złośliwe, ale i celne zdanie o nim: „Omyłką, która spowodowała załamanie się tej – w końcu niepośledniej – twórczości, było, że falę filosemickich uczuć przyjął na własne konto, stając się rodzajem martyrologicznej primadonny".

Rudnickiemu zarzucano niejednokrotnie dystansowanie się od zagadnień publicznych, zamykanie w wąskim kręgu spraw środowiskowych, przy czym często zapomina się, że był on jednak jednym z sygnatariuszy sławnego Listu 34 z 1964 r., skierowanego do władz apelu

eprasa.pl 000991d239

pisarzy i intelektualistów w obronie wolności słowa. Ale też był to jedyny wypadek w jakimś sensie usprawiedliwiający miano dysydenta, którym obdarzał go francuski wydawca, a był nim sam Gallimard. Nawiasem mówiąc, począwszy od lat 70., pisarz był we Francji postrzegany znacznie lepiej niż w Polsce, gdzie np. niemal bez echa przeszły jego kafkowskie „Teksty małe i mniejsze" (1971) czy „Noc będzie chłodna, niebo w purpurze" (1977). Lepsze przyjęcie zgotowano dopiero „Krakowskiemu Przedmieściu pełnemu deserów" (1987), podejrzewać jednak można, że po części dlatego, iż ten wspomnieniowy tom ukazał się oficjalnie, w PIW, a nie w drugim obiegu, jak poprzednia książka Rudnickiego „Sto lat temu umarł Dostojewski" (1984). Ten ostatni tom został zresztą źle odebrany przez opozycję głównie dlatego, że niepodobna było doszukać się w nim większej sympatii do Solidarności, nie mówiąc o entuzjazmie.

CZŁOWIEK O MORALNOŚCI ALFONSA

Janusz Szpotański (1929–2001)

Żaden człowiek pióra nie wywołał u rządzących takiej wścieklizny jak Janusz Szpotański. Nieobecny w oficjalnych publikacjach, bo nieprzyjmujący istnienia cenzury do wiadomości. Zresztą odrzucał cały system nazywany „socem". Łącznie choćby z edukacją. Bo też jak mógł serio traktować studia, na których miały miejsce wydarzenia, które opisał w autobiograficznej prozie zatytułowanej „Wykłady uczonych radzieckich na Uniwersytecie Warszawskim".

A było to tak… Profesor Konowałow wygłosił odczyt mający wykazać bezapelacyjną wyższość rosyjskiej i sowieckiej myśli filozoficznej nad zgniłą filozofią Zachodu. Szczególne miejsce w wywodach uczonego zajął Michał Łomonosow, który – w ujęciu uczonego – „był, doprawdy, jakąś gigantyczną figurą! Był to po prostu największy uczony wszech czasów. Czegóż to on nie wymyślił! Poza wszystkimi co ważniejszymi prawami fizyki wynalazł elektryczność, węgiel kamienny, światło, a nawet zorzę polarną! Mało! Już w końcu XVIII w. skonstruował on samolot, podczas gdy na Zachodzie w tym czasie ledwo co balonem wznoszono się nad ziemię; nic w tym zresztą dziwnego, skoro zajmował się tym ciemny kler w rodzaju księdza Lana czy księdza de Gusmao. Wieść, iż na terenach obecnego Związku Radzieckiego latano samolotem już w XVIII w., zelektryzowała salę. Pierwsze rzędy, zajęte przez »Michcików« [nawiązanie do postaci prymusa z »Syzyfowych prac« Stefana Żeromskiego; tu chodzi o komunistycznych janczarów wielbiących wszystko, co ruskie – przyp. K.M.], przeszedł dreszcz entuzjazmu, w rzędach ostatnich zaś rozległy się nieśmiałe pochrząkiwania i chichoty. Wówczas skonsternowany tym nieco Konowałow powiedział, że jeśli ktoś nie wierzy, to on się może powołać na świadectwo pewnego 185-letniego Gruzina, który razem z Łomonosowem na tym aeroplanie fruwał i który do dzisiejszego dnia żyje gdzieś na Kaukazie; znane jest miejsce jego zamieszkania, tak że w każdej chwili można się tam do niego udać i zapytać. Do niego więc kieruje wszystkich niedowiarków".

FOT. JANUSZ MAZUR/PAP

Niestety, słuchający wykładu „w tym czasie mocno już zdziwaczały, a nawet nie będzie przesadą, jeśli się powie, że zdrowo sfiksowany" prof. Rafał Taubenschlag podniósł się z miejsca i po głośnym oświadczeniu: „Bardzo przepraszam, ale podobnych bzdur to ja dłużej już słuchać nie mogę!", opuścił salę, głośno trzaskając drzwiami. Co gorzej, zły przykład widać podziałał, bo już w trakcie następnego, tym razem literaturoznawczego wykładu innego sowieckiego uczonego, prof. Żurki, student do tej pory uważany za jednego z podrzędniejszych „Michcików" wdał się z prelegentem w dyskusję, czy rzeczywiście do Puszkina nie umywają się „ani Homer, ani Dante, ani Szekspir czy Goethe razem wzięci". Co więcej, ów ZMP-owski dysydent śmiał twierdzić, że od Puszkina większym poetą jest Adam Mickiewicz. No to się musiało wszystko źle skończyć, a wykłady uczonych sowieckich przyspieszyły jedynie rozstanie się Szpota z uniwersyteckimi studiami. Pozostały po nich tylko te, i jeszcze dwa, fragmenty nienapisanej autobiografii twórcy wiekopomnej opery „Cisi i gęgacze" (1964).

Parę lat później miały miejsce tzw. wydarzenia marcowe, które zapewniły Szpotańskiemu sławę, o jakiej nie mógłby pomarzyć, nawet gdyby nagrodzono go literackim Noblem. A zawdzięczał ją Gomułce, który 19 marca 1968 r. przemawiając w Sali Kongresowej na spędzie PZPR-owskiego aktywu, nazwał w gruncie rzeczy mało komu znanego Szpota „człowiekiem o moralności alfonsa", który napisał „reakcyjny paszkwil ziejący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii". No to się nazywa reklama!

Marzec '68 tak zainspirował Janusza Szpotańskiego, że w więzieniu popełnił następnie niezwykle popularną „Balladę o Łupaszce" i prześmieszną „Rozmowę w kartoflarni", w której znów sportretował nieszczęsnego Gnoma, każąc mu obierać ziemniaki w… zakładzie karnym.

Przesiedział Szpot w więzieniu dwa lata i siedem miesięcy, na koniec zostając amnestionowany z okazji 25-lecia PRL, czyli – jak pisał – „tzw. srebrnego wesela". To pod tym tytułem stworzono wówczas, nadawaną przez radio od rana do wieczora, radosną piosenkę ze słowami: „Rodzince strzeliło dwadzieścia pięć lat". Rzeczywiście, jak z knuta trzasnął!

AUTOR DLA WTAJEMNICZONYCH

Władysław Zambrzycki (1891–1962)

„Miał ambicję nieść ludziom radość, kpił bez złośliwości i jadu. Każde jego zdanie mieściło się w konwencji i atmosferze »Colasa Breugnona«" – wspominał go Olgierd Budrewicz. A kpiarzem był Władysław Zambrzycki niebywałym. Przed wojną w „Expressie Porannym" donosił o nadzwyczajnych transakcjach niejakiego Jana Cynjana, który a to jakiemuś kmiotkowi sprzedał kolumnę Zygmunta, to znów innemu naiwniakowi spieniężył most Kierbedzia czy wydzierżawił na dansing halę Dworca Głównego. Historie te przeżyły ich twórcę i przywoływane są do dziś, choć mało kto świadomy jest, czyjego były autorstwa. Na ostatniej stronie „Expressu Porannego", którą redagował, w kronice drobnych wypadków potrafił zamieścić np. mrożącą krew w żyłach

eprasa.pl 000991d239

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE M.ST. WARSZAWY

opowieść o żmijach zagrażających przechodniom w Ogrodzie Saskim. Ciągnęła się potem ta czy podobna bzdura niczym wąż morski, przy czym wszedł Zambrzycki w dziennikarską spółkę z Szymonem Krongoldem, który banialuki te powtarzał w prasie żydowskiej, i na odwrót. „W ten sposób każde z naszych kłamstw miało swego rodzaju dokumentację" – opowiadał po latach Markowi Sadzewiczowi w wywiadzie dla „Stolicy".

Rządy komuny poczucia humoru nie miały zupełnie, co dla Zambrzyckiego było nie do przyjęcia. Radził więc sobie, jak mógł, np. podrzucając koledze w ramach walki z analfabetyzmem hasełko: „Szerz oświatę wśród zdunów. Naucz czytać choć jednego z nich. Pokaż zdunowi cztery litery". A w „Expressie", już nie „Porannym", a „Wieczornym", publikował horoskopy z takimi oto radami: „Dla kupców dzisiejsze godziny przedwieczorne mogą być dość ciężkie. Powinni się liczyć z kłopotami. Uważać na rachunki. Nagłe zjawienie się kontrolerów w sklepie jest prawdopodobne".

Właśnie w „Expressie Wieczornym" miał Władysław Zambrzycki swój stały felieton opatrzony, do czasu, winietą: „Kto chce, niech wierzy". W nadtytule tego zbioru dziwactw, kuriozów i najprzeróżniejszych osobliwości doszukano się jednak zapewne religijnego podtekstu, zmieniono bowiem nazwę felietonu na „Kto chce, niech czyta". A chcieli wszyscy.

On sam filozofię swych dowcipów wywodził od belgijskiego zwanze, co wyjaśnił w książce „Kaskada Franchimont" (1962): „Prawdziwe zwanze powinno być bezinteresowne, zatajone, wytworne i zabawne. Innymi słowy, jest to wysublimowany żart, dla większości ludzi niezrozumiały, a tak osobisty, że pozostawia radość na całe życie".

Jego „Kwatera Bożych Pomyleńców" okazać się miała jedną z najpiękniejszych książek o powstaniu warszawskim, a już na pewno o udziale w nim ludności cywilnej. Opowiada o 63 dniach bohaterskiej walki stolicy z niemieckim wrogiem widzianych oczyma czterech przyjaciół, spotykających się na zapleczu wypożyczalni książek przy ulicy Żurawiej. Trudny czas zabijają wspominaniem młodości, rozprawianiem o rzeczach pogodnych i cudacznych wydarzeniach, przestrzegając przy tym czystości języka i harmonii narracji.

Mają grubo po pięćdziesiątce, są za starzy, by walczyć z Niemcami z bronią w ręku. Na ile jednak pozwala im zdrowie, służą pomocą powstańcom, świadomi swych obywatelskich powinności. Jak jeden z nich, Afrykander, ochotniczy pielęgniarz w powstańczym szpitalu, który w obliczu zagrożenia życia ciężko rannego żołnierza przypomina sobie o medycznym wykształceniu i nie waha się przeprowadzić (udanej!) operacji. By zaraz potem powrócić do noszenia wody, opatrywania rannych i grzebania umarłych, a także służenia do mszy, „w białym kitlu lekarskim ze znakiem Czerwonego Krzyża".

Gdy Afrykander zginie od pocisku snajpera, przyjaciele na jego biodrach odkryją powróż z surowej wełny. W latach młodości ten wytrawny podróżnik i światowiec był tercjarzem, franciszkaninem. Po jego śmierci Litanię do Najświętszej Marii Panny równie żarliwie odmawiać będą jego towarzysze: rzymski katolik, protestant i muzułmanin. Ta scena jest kulminacją książki (w pełnej, nieocenzurowanej wersji wydanej dopiero w roku 2008). Trzej gawędziarze, erudyci, inteligenci, w dawnym dobrym, najlepszym stylu wyruszają na tułaczkę, pozostawiając czwartego w mogile na Wspólnej. Drogę przebiega im „szkaradny czarny kot, mokry i ubabrany w błocie". Marnie to wróży na przyszłość, którą określą stojące na praskim brzegu Wisły wojska. Miały przyjść z odsieczą…

W 2009 r. „Kwaterę Bożych Pomyleńców" wystawił, w reżyserii Jerzego Zalewskiego, Teatr Telewizji. W doborowej obsadzie, z Janem Peszkiem, Danielem Olbrychskim, Jerzym Trelą i Jerzym Radziwiłłowiczem. Spektakl był świetny, ale reżyser (ten od „Obywatela poety") niepoprawny, „Polityce" wymowa przedstawienia nie przypadła do gustu, a w końcu i niektórzy wykonawcy zaczęli kręcić nosami, i tak po raz kolejny Zambrzycki okazał się autorem dla wtajemniczonych.

CHULIGAN LITERACKI
Anatol Stern (1899–1968)

Nazwisko Sterna przez lata wymieniane było jednym tchem z Aleksandrem Watem. Stern-Wat, Wat-Stern… Obaj futuryści, obaj Żydzi. Byli kolegami szkolnymi. Obaj lewicowali, z tym że Wat komunizował całą gębą, a Stern… powiedzmy, że do pryncypiów specjalnie się nie przywiązywał. Co Wat miał mu za złe.

W styczniu 1940 r. wraz z całą grupą polskich pisarzy zostali aresztowani we Lwowie. W śledztwie pytano Wata o Sterna, co potem w „Moim wieku" tak relacjonował: „Powiedziałem: »No, cóż chcecie od Sterna, to jest człowiek zupełnie niepolityczny, bon vivant«. Bo Stern jeszcze wtedy nie udawał starego bolszewika, nawet nie za czasów Bieruta, ciekawe, że za czasów Bieruta on wcale nie udawał starego bolszewika, zresztą śmieliby mu się w twarz. Ale gdy tylko zrobiła się

FOT. NAC

odwilż, gdy tylko nastał Gomułka, nagle pojawili się, jak grzyby po deszczu, starzy bolszewicy i Stern na ich czele. Więc o Sterna slediowatiel się na mnie cisnął: »Zgnilizna! Zgnilizna, co bon vivant, najostatniejsza zgnilizna. On zaraził tryprem komsomołkę, Żydówkę lwowską«. Więc ja mu na to, wcale rozsądnie, wtedy jakoś byłem twardy, w ogóle zupełnie nie byłem twardy na tym Zamarstynowie, ale sporadycznie, powiedziałem mu na to z humorem, nie patrząc na jego wściekłą gębę: »No, komsomołka nie powinna

eprasa.pl 000991d239

spać ze Sternem«. Trochę go to speszyło, nie wiedział, co odpowiedzieć".

Aleksander Wat wielokrotnie odcinał się od Sterna, a w tym, co o nim mówił, daleko odbiegał od prawdy. Niemniej warto zapamiętać tę jego opowieść, mocno podającą w wątpliwość prokomunistyczne poglądy kolegi futurysty: „»Ziemia na lewo«, napisana [przez Jasieńskiego] razem ze Sternem, to była po prostu cudza inicjatywa, dobrze to pamiętam. Było takie wydawnictwo komunistyczne, Książka, małe wydawnictwo, miało księgarnię wtedy przy Kruczej ulicy i prowadził to komunista, Olek Ostrowski, którego w kilka lat później oskarżyła partia o szpiegostwo, o dwójkarstwo. Za czasów, kiedy był kierownikiem Książki, zetknął się z Jasieńskim i ze Sternem i zaproponował im, żeby napisali taką właśnie jakąś książkę rewolucyjną. I wtedy, w roku 1924, była ta »Ziemia na lewo«". To, obok „Trzech salw", była właściwie pierwsza taka prawdziwa wypowiedź, którą można nazwać komunistyczną. Ale zaraz potem Anatol Stern poszedł do filmu i w ogóle stał się oportunistą i pisał katolickie wiersze, także katolickie artykuły w „Wiadomościach Literackich", a Bruno Jasieński pojechał do Lwowa i założył tam kabaret razem z Hemarem. Kabaret leciutko komunizujący, bo Hemar w swoim czasie we Lwowie lekko komunizował".

Stalinowskie wiersze Sterna nie wyróżniają się niczym – jeśli już, to swoim niskim poziomem. Byle jaki jest „Bolesław Bierut", byle jakie są wiersze o Stalinie i Leninie, jako kuriozum potraktować zaś należy „Przyjaźń". W tym to 13-strofowym dziele opowiedziany jest przypadek „pastucha bosonogiego", który wypasając bydło na łące, nastąpił na „ostrze zardzewiałe". Co się działo potem?

To na tej ziemi rzecz najprostsza –
Te stare szczątki żelastwa...
Lecz spójrz. Na widok tego ostrza
Jakiż mu uśmiech na twarz spływa.

On wie: ten kształt podłużny, wąski,
Jest inny niż bagnety wrogów –
Jak różne brzozy są gałązki
Od pełzających krzaków głogu.

No tak, on wie i my już wiemy: bagnet jest sowiecki, a ten przecież nie rani polskiego, bosonogiego pastuszka. A skąd!

On wie, choć nie zna nazw i imion:
To ostrze, straszną śmierć niosące,
Było wichurą serc olbrzymią,
Co wyzwalała z mroków słońce.
Wie jeszcze coś: to ze słów brata,
Co długo był pod Rokossowskim –
Że bagnet ten – nadzieja świata –
Ojczyzny był zbawieniem – Polski.

Dalej, już do samego końca, jest o przyjaźni z Sowietami, z którymi do spółki – zapowiada natchniony poeta – zdławimy „wszystko, co mordercze, by piękniej żyło to, co żyje".

POŻEGNANIE OJCZYZNY
Wiesław Helak (ur. 1948)

Od niemal 40 lat zawodowo zajmuję się literaturą. W pierwszym rzędzie, co oczywiste, literaturą polską. Jeden, jedyny raz w tym czasie, już w wolnej Polsce, czytając nową powieść rodzimego autora, poczułem, że obcuję z literaturą wprost nawiązującą do tego, co w annałach naszego narodowego piśmiennictwa najlepsze. Był to „Warunek" Eustachego Rylskiego, pisarza znanego z wydanego wcześniej, jeszcze w PRL – też znakomitego – „Stankiewicza". Nazwałem wtedy tę niewielką książeczkę arcydziełem, może nieco na wyrost, ale nie wycofuję się z tamtej oceny. Tyle że nie wiem, jak określić mam to, co w „Nad Zbruczem" (2017) napisał Wiesław Helak.

Bo jeśli „Warunek" był arcydziełem, to „Nad Zbruczem", powieść już samym tytułem nasuwająca oczywiste skojarzenia z „Nad Niemnem", jest arcydziełem do kwadratu. To powieść arcypolska, arcykatolicka – a to dziś prawdziwy ewenement – a przy tym krystalicznie piękna. Dziejąca się na przełomie XIX i XX stulecia, fabułą sięgająca po 1939 r. Cała osadzona w naszej przeszłości, a przecież przemawiająca do nas, tych z XXI w., tych dzisiejszych.

FOT. IPN

Arcydzielność tę potwierdza „W stronę Seretu" (2021) zwieńczenie trylogii Wiesława Helaka, za której początek uznać można „Nad Zbruczem" właśnie, a za rozwinięcie „Górę Tabor" (2020). Ten tryptyk jest zresztą nieoczywisty, choć proponowałbym czytelnikom lekturę tych utworów właśnie jako triady. W powieści „W stronę Seretu", relacjonując dramatyczne koleje losu swojego bohatera w powojennej Polsce, rozlicza się autor z PRL, ukazaną bez cienia relatywizmu jako czas zniewolenia i terroru, kłamstwa i zbrodni. Żegna się też definitywnie z dawną kresową ojczyzną. Gdy powieściowy Janio usłyszy, że „ziemie nasze będą się ciągnąć do Odry i Nysy, a dobremu Stalinowi będziemy to po wieczność zawdzięczać", pomyśli o tym jedynie, że:

„ – Bez Lwowa i Wilna, to nie jest moja Polska… Tamta została, gdzie Seret płynie, gdzie Zbrucz, gdzie Horyń i Ikwa…

Milczał przez wiele dni.

– Więc nie wrócę już nad Seret – powtórzył. – Dom ojca stracony na wieki.

I poczuł się oszukany przez Boga – jakby za nic Mu było przedmurze chrześcijaństwa".

Z Bogiem właśnie toczyć będzie bohater Wiesława Helaka nieustający dialog, a starając się żyć według jego przykazań, złamie jednak może najważniejsze z nich: „Nie zabijaj!". Choć gdy w maju 1926 r. z jego ręki zginie młody człowiek, to przysięgnie, że nigdy więcej krew nie obciąży jego sumienia. A jednak po wojnie będzie strzelał do komunistów i ich popleczników. Zapłaci za to straszliwą cenę. Ale tego nowego świata – odmienionego, w którym „wszystko było inne i nie do naprawienia, cały pejzaż z pięknych rzeczy ułożony, wszystko, czym żył jeszcze do niedawna, obróciło się w niwecz, rozpadło, sczezło…" – nie potrafi zaakceptować. A naprawdę nie będzie tego chciał, ponieważ ta powojenna wolność nie była jego wolnością, a to, z czym się stykał, napawało go wstrętem; było cudze i wrogie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Rozwiązła Jagienka

Krzysztof Masłoń

Sławę zyskać miała Jagienka Zychówna jako „niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w borze podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagła przysiędzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął".

Piętnaście lat miała ta córka szlachcica z mazowieckich Zgorzelic, którą Henryk Sienkiewicz w „Krzyżakach" charakteryzował tak, by wzbudzała zachwyt czytelników: „Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona, i piersi jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki bystro patrzące".

Nad pedofilskimi skłonnościami naszego, pożal się Boże, noblisty nie ma sensu się rozwodzić, bo te już dawno wypunktowali nieobciążeni narodowym (czytaj: nacjonalistycznym) brzemieniem literaturoznawcy. Postaci takiej np. z „Rodziny Połanieckich" czy obok Jagienki, drugiej bohaterki „Krzyżaków", Danusi Jurandówny same się tutaj nasuwają.

Co ciekawe, w „Krzyżakach", na pierwszy rzut oka religianckich, dewocji towarzyszy dewiacja. Nieletnie dziewczęta, dla niepoznaki „skrzatami" przez autora nazywane, za modlitewnym parawanem skrywają nieposkromione wręcz żądze. To, że pannie ze Zgorzelic marzyła się figura erotyczna z nią samą w roli głównej, jak również z Wilkiem z Brzozowej, Cztanem z Rogowa, no i Zbyszkiem z Bogdańca, jest oczywiste, ale wprost należy też postawić kwestię nieszczęsnego niedźwiedzia pozbawionego życia przez Zbyszka i Jagienkę pospołu. Bardzo prawdopodobne jest takie tragiczne rozwiązanie miłosnego trójkąta z udziałem kochliwego niedźwiedzia, a o co w tym wszystkim chodzić miało naprawdę, pokazał jeszcze w latach 70. zeszłego wieku Walerian Borowczyk w „Bestii". To samo opowiadanie Prospera Mériméego legło też u podstaw wcześniejszego filmu Janusza Majewskiego „Lokis", ale że PRL był pruderyjny, seks z niedźwiedziem pozostał w tym obrazie w sferze niedomówień. Naturalnie, gdy Aleksander Ford filmował „Krzyżaków" w roku 1960, tego rodzaju sugestie były bodaj jeszcze bardziej niedopuszczalne niż wtedy, gdy w końcu XIX w. Sienkiewicz, ten twórca lektur szkolnych zatruwających nieskalane myślą czoła naszych pociech, publikował w „Tygodniku Ilustrowanym" odcinki powieści, która jak żadna inna położyła cień na dobrosąsiedzkich stosunkach Polski z Niemcami.

Przypomnijmy choćby w tym miejscu, o co modlił się Zbyszko z Bogdańca, późniejszy mąż słynnej z łupania orzechów Jagienki: „Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi Królestwa tego i wszystkich narodów w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznawających". A już kończąca „Krzyżaków" rzekoma przepowiednia św. Brygidy: „Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa", w kontekście niesłusznie przypisywanych zakonowi krzywd, których doznał Jurand, brzmi skandalicznie.

Jednak też negatywny stosunek Henryka Sienkiewicza do Niemców znany jest z wielu jego utworów, od „Krzyżaków" i „Bartka Zwycięzcy" poczynając, poprzez obfitą na ten temat publicystykę, a na apelach i odezwach Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny z lat 1914–1918 kończąc. A jeszcze jesienią 1906 r. wystosował list otwarty do samego Wilhelma II, króla pruskiego, w obronie ponoć prześladowanych i przymusowo germanizowanych dzieci polskich w Poznańskiem, a w nim śmiał stwierdzić: „Miara przebrana wobec Boga i ludzi rodzi nienawiść i nie tylko gniew boski i ludzki, ale niesławę".

I po co te wielka słowa, którymi podpierają się dzisiaj PiS-owskie jełopy, domagając się reparacji wojennych, wyliczając jakieś sumy neapolitańskie, które należą się Polakom za zbrodnie i zniszczenia wojenne? Zamiast grzecznie podziękować za niemiecką ofiarę w postaci a to Stettina, a to Breslau czy Provinz Ostpreussen oddanych Polsce w czasową administrację. I nie wypominać tortur zadanych Jurandowi, bo kto wie, czy na nie nie zasłużył. Jacek Kleyff nie bez powodu śpiewał przecież: „Jurand ze Spychowa papierosy chowa/ nigdy nie częstuje, gdyż się izoluje".

Niewątpliwie piosenki w naszej popkulturze odgrywają pierwszorzędną rolę. Tym bardziej budzi oburzenie krzyżacka playlista z „Tandaradei" na czele. A Niemcy mają tyle innych ładnych pieśni, np. „Die Fahne hoch" z wyzwaniem „Die Strasse frei den braunen Bataillonen". Jasne, że pod Grunwaldem nie śpiewano jej jeszcze, „Hajli, hajlo, hajla" – jak się zdaje – także nie, ale co to szkodzi zaapelować: „Chorągiew wznieś", a przede wszystkim zakazać wykonywania uświęconych przez Sienkiewicza smętnych pojękiwań, jakże słusznie wyśmianych przez poetę Podsiadłę, a znanych jako „Bogurodzica".

FOT. INPLUS/EAST NEWS

Archaiczni pod każdym względem „Krzyżacy" propagują ksenofobię i obskurantyzm. „Stary Pakosz z Sulisławic – powiadał, dajmy na to, Maćko, stryj Zbyszkowy – ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają". No pewnie, dostanie taki „800+" na te wszystkie bachory i będzie z nimi zatruwał czyste niemieckie morze.

Szkoda słów. Sienkiewicza z nauki w nowoczesnej europejskiej szkole usunąć należy raz na zawsze. A już „Krzyżaków" od zaraz. Nie ma najmniejszego powodu, by czytać o takich postaciach jak Jagienka ze Zgorzelic. Wprawdzie miał rację Andrzej Waligórski, że „wiele z niej było pociechy, / bo tłukła pupą orzechy", ale to jeszcze niewystarczający powód, by powieść sławiącą tę babkę do – uwaga! – żydków i innych fistaszków utrzymywać w piśmienniczym kanonie. ©℗

eprasa.pl 000991d239

Brad Pitt nie wstydzi się zmarszczek, pokazuje udręczone fizycznym wysiłkiem ciało, emanuje potwornym zmęczeniem, gdy wychodzi z kokpitu bolidu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szybcy jak błyskawice

Piotr Gociek

„F1" to perfekcyjny film na lato. Jednak także coś więcej – w dodatku z konserwatywnym przesłaniem

Teoretycznie taki film nie miał prawa powstać we współczesnym Hollywood. To superprodukcja w starym stylu, a mówiąc „starym", mam na myśli tradycję kina rozrywkowego lat 80. i początku 90. Zresztą Hans Zimmer, który skomponował muzykę do nowej produkcji Josepha Kosinskiego, nawet wplótł w swoje kompozycje inspiracje muzyką z „Top Gun" czy soundtrackami Vangelisa.

W starym stylu to znaczy z wielką gwiazdą – tu charyzmatyczny Brad Pitt; z hymnem ku czci współzawodnictwa. Hołdem dla dobrej roboty, wezwaniem do samodoskonalenia, potępieniem egoizmu, szacunkiem dla hierarchii. Jest to opowieść o prawdziwej męskości (żadnych pojękiwań, że bywa toksyczna), która wieku się nie boi, bo jest to również opowieść o tym, jak starzeć się z godnością. Taki film mógłby kiedyś nakręcić John Ford. Dziś po prostu się takich nie robi.

CUD NAD CUDAMI

Niemożliwe stało się możliwe. Po wielkim sukcesie „Top Gun: Maverick" (2022), w którym wskrzesił militarny „buddy movie", Joseph Kosinski dokonał kolejnej rzeczy niezwykłej: wydał 300 mln dol. na film o wyścigach samochodowych i nie tylko nie stracił, lecz także nakręcił opowieść z duszą, do której wracać będziemy po latach (nawiasem mówiąc, jedną dziesiątą budżetu wziął jako honorarium Brad Pitt). W dodatku udało się Kosinskiemu zadowolić wszystkich: sponsorów, partnerów produkcyjnych (film powstawał we współpracy z Formułą 1), widzów i krytyków. Cud nad cudami.

Oczywiście to żadne kinowe arcydzieło, po prostu niesłychanie sprawnie nakręcona opowieść komercyjna, kino wakacyjne w najlepszym wydaniu. Jednak gdy Hollywood pokazuje swą najpiękniejszą twarz, potrafi dostarczyć rozrywkę przekraczającą granice zwykłej konfekcji – i tak jest z „F1: Film" (tak brzmi pełny tytuł, w oryginale „F1: The Movie"). Inna sprawa, że najbardziej lubimy piosenki, które już znamy. Sięga więc Kosinski po schematy, które sprawdziły się wielekroć. Mamy zatem starego mistrza robiącego miejsce dla młodego czempiona (niczym w rozmaitych wersjach „Narodzin gwiazdy"), mamy outsiderów, którzy osiągają niespodziewany sukces dzięki wytrwałości, pomysłowości i ciężkiej pracy (jak w fil-

eprasa.pl 000991d239

mie „Rocky” i jego rozmaitych klonach), mamy wreszcie dobrze znany w fabryce snów przekaz: każdy zasługuje na drugą szansę, zawsze jest w życiu na co czekać, nigdy nie wiadomo, kiedy koło fortuny obróci się na lepsze. Tyle że szczęście sprzyja tym, którzy sami mu pomagają.

Po kolei: do dawnej gwiazdy wyścigów samochodowych – to właśnie Brad Pitt jako Sonny Hayes – przybywa kumpel z dawnych lat, właściciel zespołu Formuły 1 APXGP (odchudzony i wygładzony Javier Bardem jako Ruben Cervantes). Zespołowi wiedzie się fatalnie, kierowcy kolejne wyścigi kończą w ogonie stawki, bolid rozsypuje się na zakrętach, w powietrzu wisi wrogie przejęcie, a także relegacja z Grand Prix. W tych mało sprzyjających warunkach Sonny Hayes dostaje swoją drugą szansę – kiedyś był wschodzącą gwiazdą Formuły 1, ale los pokrzyżował jego plany i ambicje. Teraz zaś – cóż szkodzi spróbować?

W teamie APXGP pracuje gromada oryginałów: pani inżynier, która porzuciła karierę w Lockheedzie, żeby budować samochody wyścigowe (Kerry Condon), niemiecki kierownik zespołu (brodaty Kim Bodnia), utalentowani, ale zdemobilizowani i sfrustrowani serią porażek członkowie ekipy technicznej. Przede wszystkim zaś młody kierowca Joshua Pearce (gra go Damson Idris), który zadziera nosa powyżej kasku, uważa, że zjadł wszystkie rozumy, ma miliony fanów w mediach społecznościowych, a Sonny’ego wyszydzał będzie jako dziadersa.

RÓB TO, CO KOCHASZ

Nie będę dalej streszczał, bo kto zna reguły tego typu opowieści, ten wie, czego się spodziewać. Magia „F1” polega na tym, że te znane motywy złożone są tak zręcznie, iż zapominamy, że już to wszystko znamy, i z całego serca kibicujemy bohaterom. A w odróżnieniu od większości nihilistycznego współczesnego kina jest tu komu kibicować. Dlaczego? Bo każdy chce być lepszą wersją siebie. Tu dochodzimy do sedna przesłania „F1”: rób to, co kochasz, a będziesz spełniony. Oczywiście lepiej byłoby też wygrywać, ale bez oddania, miłości i ciężkiej pracy wygrana nigdy nie przyjdzie. Możesz też wygrać w inny sposób: zdobyć serce kobiety, szacunek kolegi z zespołu, sympatię widzów, przyjaźń, której się nie spodziewałeś, itd.

Jest też „F1” policzkiem wymierzonym wszystkim miłośnikom zgubnych idei typu „nie ważne, kto wygra, liczy się sam udział”, tym wszystkim, którzy wychowali pokolenie płatków śniegu, chroniąc swoich nadwrażliwców przed prawdziwym światem, a teraz zdziwieni są, że dorasta pokolenie neurotycznych mimoz, kompletnie nieprzygotowanych do starcia z rzeczywistością. Otóż nie, odpowiada Kosinski, a właściwie w jego imieniu Brad Pitt: trzeba bić się o swoje, trzeba współzawodniczyć, wygrywać, starać się, doskonalić – tylko tak do czegoś dojdziesz. Że to bolesne? A owszem, w odróżnieniu od Toma Cruise’a 61-letni Brad Pitt nie wstydzi się swojej starości. Nie wstydzi się zmarszczek, pokazuje udręczone fizycznym wysiłkiem ciało, pokazuje blizny, emanuje potwornym zmęczeniem, gdy wychodzi z kokpitu bolidu i zanurza się w lodowatej wodzie. Tak, lat nam przybywa; tak, ciało dochodzi do granic wytrzymałości; tak, zwykle tych, którzy mają wielkie pieniądze, przechytrzyć musimy sposobem, doświadczeniem i inteligencją. To wszystko boli. No i co z tego? Alpiniści idą w góry, bo one są. Sonny Hayes ściga się, bo to kocha. A gdy robisz to, co kochasz, unosisz się w przestrzeni innym niedostępnej – jest taka wspaniała transcendentna scena w filmie Kosinskiego.

REŻ. JOSEPH KOSINSKI
„F1”
USA 2025

Czy to wyjątek we współczesnym Hollywood? A może oznaka zwrotu w kierunku normalności: wakacyjny blockbuster bez woke, bez toksycznego feminizmu, bez indoktrynacji? Za wcześnie wyrokować. Jednak jedno jest pewne: „F1” trzeba zobaczyć na dużym, jak największym ekranie, najlepiej w kinie IMAX, i zanurzyć się w wielkich emocjach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

SUBIEKTYWNY TOP 5 FILMÓW O WYŚCIGACH

Historia Hollywood pisana jest filmami o samochodowych wyścigach i pościgach – z okazji premiery „F1” przygotowałem ranking tych najbardziej atrakcyjnych. Film Kosinskiego sytuuje się u mnie na miejscu szóstym. A jak wygląda pierwsza piątka?

1. AUTA („Cars”, 2006), reż. John Lasseter
Kapitalna animacja studia Pixar wygrywa w moim rankingu – to jeden z najlepszych animowanych fimów wszech czasów, w dodatku mądry, zabawny i wzruszający. A kolejne dwie części – nie są gorsze.

2. LE MANS ’66 („Ford v Ferrari”, 2019), reż. James Mangold
Wybitny film z równie wybitną rolą Christiana Bale’a jako milkliwego geniusza samochodowej inżynierii. Mniej efektowny od „F1”, ale bardziej poruszający, bardziej nostalgiczny i wieloznaczny.

3. SENNA (2010), reż. Asif Kapadia
Bez wątpienia najlepszy w dziejach film dokumentalny o wyścigach samochodowych. Portret tragicznie zmarłego kierowcy Ayrtona Senny jest okazją do stworzenia niezwykle immersyjnego kinowego doświadczenia.

4. WYŚCIG („Rush”, 2013), reż. Ron Howard
Szybko zapomniany (niesłusznie!) i niedoceniony film o rywalizacji dwóch legend Formuły 1: Jamesa Hunta i Nikiego Laudy. Film tak dobry, że nawet tacy sobie aktorzy, Chris Hemsworth i Daniel Brühl, wypadli w nim świetnie.

5. LE MANS (1971), reż. Lee H. Katzin
Legendarny film z kultową rolą Steve’a McQueene’a, prywatnie zapalonego kierowcy szybkich bolidów. Projekt Johna Strugesa dokończony przez Katzina i wzbogacony oryginalnymi zdjęciami z wyścigu 24h Le Mans.

eprasa.pl 000991d239

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Amatorzy w akcji

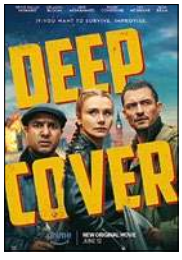

★★★★☆☆

REŻ. TOM KINGSLEY
„POD PRZYKRYWKĄ" („DEEP COVER")
USA 2020

wyst. Bryce Dallas Howard, Orlando Bloom, Nick Mohammed

Wakacyjna przyjemność da miłośników komedii w duchu „Trzech amigos" czy „Galaxy Quest" – aktorzy wierzący, że dadzą sobie radę poza planem filmowym, zawsze bawią. Tu rzecz jest o tyle świeża, że zamiast bezwiednie dać się wciągnąć w skomplikowaną intrygę, nasi bohaterowie po prostu zostają skaptowani przez londyńską policję. Sierżant Billing, walczący z plagą drobnych kradzieży i handlu przemycanymi papierosami, wynajmuje do pracy pod przykrywką najbardziej fajtłapowaty team w dziejach zwalczania przestępczości. Jest to trzech amatorów marzących o karierze aktorskiej – ucząca fachu Kat (Bryce Dallas Howard), poniżany w biurze, gdzie pracuje, Hugh (Nick Mohammed, znany jako asystent trenera Nate z serialu „Ted Lasso") oraz bezrobotny aktor Marlon (Orlando Bloom), który skutecznie niszczy każdą szansę na pracę, bo upiera się, by jego bohater był weteranem dotkniętym traumą.

Szczególnie Bloom dobrze się bawi, kiedy za wszelką cenę próbuje być poważnym aktorem zanurzającym się w rolę wedle metody Stanisławskiego (stąd jego filmowe imię – Marlon, znaczy nawiązanie do Marlona Brando). Ale reszta obsady też daje radę, a oprócz już wymienionych mamy przecież i inne ciekawe nazwiska: Paddy Considine czy Ian McShane. Reżyserem i pomysłodawcą całej opowieści jest zaś Tom Kingsley, reżyser filmu „Black Pond" i współtwórca kilku brytyjskich seriali telewizyjnych.

Najęci przez policję aktorzy wyłażą ze skóry, żeby wypaść wiarygodnie w rolach klientów wysłanych do nielegalnych handlarzy, ale szybko ponosi ich fantazja i zaczynają rozmawiać z grubszymi rybami przestępczego podziemia. Co dalej – nie zdradzę, wyjawiając jedynie, że choć rzecz oparta właściwie jest na jednym grepsie, to w kategorii lekkie kryminalne kino letnie „Pod przykrywką" sprawdza się bardzo dobrze. W tym roku wygląda zresztą na to, że Amazon Prime – obok Netflixa – najciekawiej dobrał premiery na wakacje; nie dość, że ma w repertuarze najlepsze filmy akcji znane z kin z pierwszej połowy roku („Nowokaina", „Fachowiec", „Księgowy 2"), to dołożył do tego bezpretensjonalne produkcje oryginalne: „Odliczanie", „Ballard" (spin-off „Boscha"), „Sojusznicy" czy właśnie opisaną ciut szerzej komedię „Pod przykrywką". ©℗

GRA TYGODNIA: „DEATH STRANDING 2"

★★★★★☆

Jednych zachwyci, innych wynudzi. Jedni nazwą arcydziełem, inni – piękną, lecz usypiającą produkcją. Jest to bezpośrednia kontynuacja części pierwszej i pomimo że gra przypomina fabułę jedynki, jej ukończenie jest wskazane przed odpaleniem „DS2". Sam znów buduje sieć chiralną mającą jednoczyć rozproszoną, odizolowaną od siebie ludzkość. Tym razem czyni to w Meksyku. Postapokaliptyczny świat stworzony przez Hideo Kojimę jest ostrzeżeniem przed posuniętym do skrajności indywidualizmem. Złożona i piękna gra, ale tylko dla fanów slow gamingu. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:** akcji, TPP*
- ***Platforma:** PS5*
- ***Producent; wydawca PL:** Kojima Productions; Sony*

eprasa.pl 000991d239

Zabójcza przyjaciółka

sky SHOWTIME

Od czasów nieszporów sycylijskich ojczyzna Pirandella i Archimedesa ma wizerunkowy problem. Kojarzy się z morderstwami. Ekranizacja, wydanej także u nas, książki Goliardy Sapienzy jeszcze ten banał umocni. Nie powtórzy jednak sukcesu „Genialnej przyjaciółki", ponieważ bohaterce od początku źle z oczu patrzy, a śmierć wydaje się podążać jej tropem. Modesta, jakby na przekór swemu imieniu, nie jest ani skromna, ani pobożna. To manipulatorka, która postanowiła zostać panią własnego losu, jeszcze zanim pożar strawił dom jej rodziny. Bystra sierota szybko pnie się w górę. Nie dozna zawrotu głowy w klasztorze zarezerwowanym dla szlachcianek czy na śliskich pałacowych posadzkach. Najkrótszą drogą zmierza do celu, którym jest tytułowa radość życia.

Pan Ripley w spódnicy? Modesta jest wyuzdana, lecz nie cyniczna. Ulega emocjom i popełnia błędy. Ba! Miewa nawet wyrzuty sumienia. Pięćdziesiąt lat temu powieść Sapienzy odrzucili wszyscy wydawcy ze względu na jej rozwlekłość i ostentacyjny amoralizm. To był cios dla kobiety, której ambicje sięgały wysoko: chciała podsumować najnowszą historię wyspy (nieprzypadkowo Modesta jest rówieśniczką XX w.). Zignorowana przez kręgi opiniotwórcze opuściła ten padół z poczuciem klęski. Na szczęście w nowym stuleciu gwałtownie wzrosło zapotrzebowanie na twórczość wyklętą przez męskich krytyków. Triumf niemieckich, francuskich i hiszpańskich tłumaczeń „L'arte della gioia" tudzież porównywanie pisarki z Katanii do D.H. Lawrence'a i Stendhala otworzył oczy rodakom i rodaczkom. Jak widać, mechanizm znany dobrze w Polsce (najpierw uznanie nad Sekwaną, dopiero potem nad Wisłą) funkcjonuje też pod błękitnym niebem Italii.

Co do serialu – odziedziczył on grzechy pierwowzoru, brakuje mu dynamiki, dobre momenty przeplata ze słabymi. Co do aktorów – dali z siebie zdecydowanie więcej, niż powinni. W sześciu odcinkach Golino zmieściła zaledwie jedną trzecią powieści. Z tego, co słychać, ciąg dalszy wkrótce nastąpi. Mam jednak podejrzenie, graniczące z pewnością, że większy skandal (czyli sukces) wywołałby film o Goliardzie S., która w życiu publicznym i prywatnym rzadziej znajdowała się na wozie niż pod wozem. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆
REŻ. VALERIA GOLINO
„THE ART OF JOY" („L'ARTE DELLA GIOIA")
WŁOCHY 2024

wyst. Tecla Insolia, Jasmine Trinca, Valeria Bruni-Tedeschi

SCHIZA I SPAGHETTI

KINO

Wojna płci wiecznie żywa. Paolo Genovese, zaprzysięgły fan anglosaskiego pop-rocka oraz kina gadanego, proponuje slalom, w którym słupkami są damsko-męskie stereotypy. Panowie zgrywają twardzieli, mało myślą i oczywiście nie wiedzą, czego chcą kobiety. Panie to egoistki, które pod wpływem feministycznej propagandy wyzbyły się instynktu macierzyńskiego i wcielają w życie strategię: „Bądź singielką i podbij świat". Piero (mężczyzna z przeszłością) i Lara (kobieta po przejściach) już wiedzą, że wolność szczęścia nie daje. W tańcu godowym przeszkadzają im jednak głosy wewnętrzne, międlące dylematy typu: Czy wypada zaprosić do domu faceta, którego zna się raczej słabo? Czy w drodze na pierwszą randkę warto zaopatrzyć się w prezerwatywę? Włochom łatwiej przejść przez takie pole minowe, bo zawsze pogodzą się w kuchni. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. PAOLO GENOVESE
„FOLLEMENTE. W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA"
WŁOCHY 2025

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Mickiewicz – obecny

Gdyby nie pobyt Adama Mickiewicza w Wielkopolsce, »Pan Tadeusz« wyglądałby inaczej! Gdyby nie wizyta Adama Mickiewicza w Poznańskiem, historia tego regionu z pewnością miałaby inne oblicze! Gdyby nie Śmiełów, pamięć o wieszczu nie byłaby tak silna!". Śmiałe tezy stawiają autorzy wystawy „50 – Śmiełów – Mickiewicz – Muzeum", która ma być tych tez potwierdzeniem.

Motywem przewodnim ekspozycji zorganizowanej z okazji 50-lecia istnienia Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiełowie jest obecność wieszcza rozumiana wielorako: od obecności w polskiej tradycji kulturowej do dosłownej obecności w Śmiełowie. Ukazuje go jako ikonę oraz jako człowieka z krwi i kości. To za sprawą osobistych przedmiotów i pamiątek.

Wśród blisko 140 eksponatów są takie, które nie były dotychczas prezentowane w Polsce. Wypożyczono je z Biblioteki Polskiej w Paryżu i Muzeum Adama Mickiewicza przy Uniwersytecie Wileńskim. ©℗

FOT. WOJCIECH LUCHOWSKI

GDZIE? ***Muzeum Adama Mickiewicza w Śmiełowie***
KIEDY? ***do 23 grudnia***

eprasa.pl 000991d239

MOJA PÓŁKA

Widzieć jasno, w zachwyceniu

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Janowi, ironicznie nazwanemu kosmopolitą bohaterowi najnowszej powieści Wiesława Helaka, zabrano wszystko, zakłamano każdą cząstkę jego życia, karmiąc żałosnymi namiastkami poronionych idei. O ich miałkości przekonywał się stopniowo, powoli odnajdując prawdziwe wartości tkwiące w tym, co tworzy przynależną na pozór do zamierzchłej epoki triadę: rodzinie, ojczyźnie, Bogu.

Od Sartre'a, jednego ze swoich fałszywych – jak miało się okazać – duchowych przewodników, usłyszy: „Jako intelektualista nie mogłem mieć przekonania, że zdołam zmienić świat tylko dzięki mej własnej myśli. Zobaczyłem siły społeczne w historii, które również do tego dążyły. I dlatego uznałem, że moje miejsce jest wśród nich… A kto nie pojmuje marksizmu, nie ma prawa go oceniać".

Ileż – jednocześnie – pychy i głupoty jest w tym zdaniu. A dla tytułowego bohatera powieści pozostanie odtąd Sartre oszustem i intelektualnym konformistą, który – gdy mu to będzie wygodne – wszystkiemu zaprzeczy i wszystko porzuci. Choć będzie „Stalina do końca popierał, jego mordowanie towarzyszy i obozy pracy, które według niego były koniecznością!".

Jako historyk sztuki dociekał Jan, jak patrzeć na dzieło sztuki. Czym jest prawda w nim zawarta – zapyta Józefa Czapskiego, którego odwiedził w Maisons-Laffitte (fragment obrazu tego malarza reprodukowany jest na okładce „Kosmopolity"). „– Nie wiem – odpowiada artysta, arystokrata i żołnierz w jednej osobie, cudownie ocalony od śmierci w Katyniu. – Na początku zawsze jest samotne przeżycie…

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

Uczciwość – powtórzył, a Jan zanotował to słowo i zapadło mu głęboko w pamięć.

– A o sztuce trzeba pisać, jakby patrzył… człowiek pierwotny. Nie moja to myśl, ale wydaje mi się trafna. Mniej teorii… Z serca bardziej niż z głowy, z błysku, w którym widzimy zarys zaledwie, a nie kształt skończony. Bo cóż to jest?... Dotknąć palcami nie płótna, ale człowieka, który maluje… W duszy jego być jak chłonie świat… jak Proust widzieć jasno, w zachwyceniu".

Chłonie też świat wszystkimi zmysłami Jan, ów Helakowy kosmopolita. Wraz z nim odbywamy podróże m.in. do Indii i Armenii. Wszędzie tam szukać będzie odpowiedzi na nurtujące go kwestie filozoficzne, estetyczne, a przede wszystkim moralne. I znajdzie je nie w fundamentalnych, jakby się zdawało, pracach naukowych, lecz w koralikach zwyczajnego drewnianego różańca. I w miłości, do której zawsze był gotowy, a której przyszło mu szukać tak długo.

Rozliczy się także z komunistyczną przeszłością, co w jego przypadku nie będzie proste, fanatyczną komunistką była bowiem jego matka czy też ta, którą za matkę uważał. Pełen goryczy obserwował Jan ostatni zjazd przewodniej siły narodu w styczniu 1990 r., na który najbliższa mu osoba była delegatką, a tam, za murami Pałacu Kultury, „dzielili płótno, i już je szarpali, już ciągnęli, już wyrywali – gracze wytrawni, szubrawcy, co przez pół wieku rządzili z łaski Stalina". Co wspólnego miała z nimi wszystkimi prosta kobieta, która trzymała się kurczowo komunizmu, bo bez wiary nie umiała żyć? I to, że na koniec odnalazła Boga, religię, w której wychowywała ją matka, było dla niej szczęściem najwyższym. Odpokutowała bowiem swoje grzechy i mogła liczyć na rozgrzeszenie. A on?

Dla czytelników znakomitej trylogii Wiesława Helaka – „Nad Zbruczem", „Góra Tabor", „W stronę Seretu" – jego jego nowa książka będzie lekturą obowiązkową. To jest dla mnie oczywiste jak dwa razy dwa. Pisarstwo tego prozaika jest mianowicie czymś podobnym do szklanki czystej wody wypitej w sytuacji, gdy wokół nas wszystkie studnie są zatrute. Jak u Malczewskiego, o którego sztuce znajdziemy zresztą w „Kosmopolicie" stosowne fragmenty.

Mamy tu także dopełnienie losów postaci znanych z wcześniejszych książek Helaka, choć „Kosmopolita" to powieść w pełni integralna, od której można zacząć przygodę z tą literaturą będącą klasą samą dla siebie.

I jeszcze jedno. Autora „Nad Zbruczem" nazbyt pospiesznie zaszufladkowano jako piewcę ziemiaństwa kresowego. To, że dusza pisarza wciąż przebywa na ziemiach, skąd wygnani zostali jego przodkowie, to oczywiste, ale przynależy on do czegoś, co w istocie nie ma żadnych granic: do literatury polskiej. A ta – rzadko, bo rzadko – bywa wielka. ©℗

★★★★★★
WIESŁAW HELAK „KOSMOPOLITA" ARCANA, KRAKÓW 2025

eprasa.pl 000991d239

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Po prostu Janusz Zajdel

Nigdy go nie spotkałem, zmarł, zanim zacząłem jeździć regularnie na konwenty miłośników fantastyki w latach 80. Znam go bardzo dobrze, bo każdą z jego książek czytałem po kilka razy, a niektóre – jak „Limes inferior" – sam już nie wiem, jak często. Czterdzieści lat po przedwczesnej śmierci Janusza A. Zajdla (odszedł 19 lipca 1985 r.) wracam do jego powieści i opowiadań. I polecam to innym.

Niesłusznie szufladkowany jako autor fantastyki aluzyjnej, nazbyt uwikłanej w demaskowanie PRL poprzez nakładanie nań masek społeczeństw wyimaginowanych, był Zajdel w istocie pisarzem nie mniej współczesnym od Tadeusza Konwickiego czy Marka Nowakowskiego. Tak, wybrał inną formę wypowiedzi: fantastykę, jednak sednem tego, nad czym się zastanawiał, była kwestia: „Czy można wyjść z sytuacji bez wyjścia?". Gdy czytaliśmy socjologiczne analizy rozdzielone po książkach „Wyjście z cienia", „Limes inferior", „Paradyzja" i „Cała prawda o planecie Ksi", wydawało się, że komunizm trwał będzie jeszcze długo. I że wyjścia nie ma, bo sytuacja geopolityczna, bo potęga Sowietów, bo po 1981 r. naród, zamiast podnosić się z kolan, grzęźnie w beznadziei. Zajdel pytał: Co dalej?

Nie interesowały go problemy wyimaginowane i czysto fantastyczne pejzaże. W „Wyjściu z cienia" zastanawiał się nad spustoszeniem, jakie system zniewolenia czyni w ofiarach, zamieniając je we współsprawców. W „Paradyzji" przewidział świat, w którym jedynym sposobem na oszukanie wszechobecnej elektronicznej inwigilacji są językowe gry nieczytelne dla algorytmów – dziś Wojciech Szewko, pragnąc przechytrzyć cenzurę YouTube, wprost deklaruje, że mówi koalangiem – językiem luźnych skojarzeń nie do wychwycenia i zablokowania przez sztuczną inteligencję. W „Limes inferior" opisał zniewolenie poprzez dobrobyt, a przy okazji nie krył pogardy dla warstwy rządzącej, która wybiera kolaborację z okupantem w imię mniejszego zła. Akcja jego ostatniej powieści rozgrywa się na planecie Ksi, ale w istocie jest pytaniem, czy da się z człowieka sowieckiego usunąć jego sowieckość, przywrócić go normalnemu społeczeństwu. Wszystkie te problemy pozostają aktualne dziś, a tzw. pisarze współcześni nazbyt chętnie je omijają. Zajdel jest niedzisiejszy – i dlatego współczesny. ©℗

FOT. IPN

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wybitna mediewistka, autorka biografii m.in. Aliénor z Akwitanii, królowej Blanki czy Heloizy, łączy siły ze znawczynią czasów i życia Joanny d'Arc (M.V. Clin). Francuski bestseller po trzech dekadach wreszcie w Polsce.

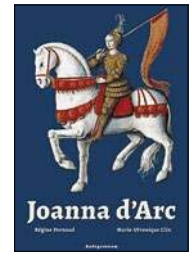

MARIE-VÉRONIQUE CLIN, RÉGINE PERNOUD „JOANNA D'ARC" ANDEGAVENUM

Inaczej o początkach państwowości ruskiej – w sposób, który bardzo nie spodobał się na Kremlu. Nowe, poprawione wydanie jednej z najważniejszych archeologicznych prac polskich naukowców minionego ćwierćwiecza.

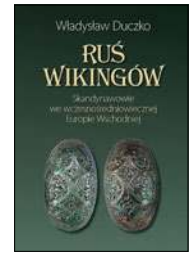

WŁADYSŁAW DUCZKO „RUŚ WIKINGÓW" WYDAWNICTWA UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Czołowy postmodernista amerykański w nieustannej dekonstrukcji literackich tradycji; tu bawi się mitami o Perseuszu i o Bellerofoncie oraz „Opowieściami z tysiąca i jednej nocy". Przekład i posłowie: Krzysztof Majer.

JOHN BARTH „CHIMERA" PIW

Nie „Drużyna Pierścienia", lecz „Powrót Cienia" – tak pierwotnie brzmiał tytuł pierwszej części „Władcy Pierścieni". Szósty tom „Historii Śródziemia" to też pierwszy tom dwuczęściowej opowieści o powstawaniu arcydzieła Tolkiena. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

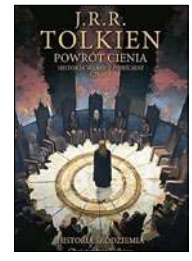

J.R.R. TOLKIEN „POWRÓT CIENIA" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: CHWAŁA KRÓLOWI!

Niech się święci tysiąclecie polskiej Korony – oto komiks o Bolesławie Chrobrym, którego autorami są twórcy znani z odświeżonej serii „Kajko i Kokosz". Oczywiście tu kreska jest realistyczna, a scenariusz – poważny, więc komiks o Chrobrym wygląda jak brakujący album z dawnej serii „Legendy Polskie" Rosińskiego. Tyle że – na nasze szczęście – Chrobry był bohaterem prawdziwym. ©℗

Piotr Gociek

MACIEJ KUR, PIOTR BEDNARCZYK „CHROBRY" STORYHOUSE EGMONT 2025

eprasa.pl 000991d239

Spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem elektem Karolem Nawrockim, Pałac Prezydencki w Warszawie, 3 czerwca 2025 r. FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Czy Nawrocki uniknie błędów Dudy?

Jan Fiedorczuk

W mijającej dekadzie prezydent Andrzej Duda nie ustrzegł się błędów, często dotyczących spraw kluczowych dla interesów państwa. Czy Karol Nawrocki – tak różny od swojego poprzednika – zdoła ich uniknąć? Ostatnie miesiące dają ostrożną nadzieję na prawdziwą „dobrą zmianę" w Pałacu Prezydenckim

Już 6 sierpnia 2025 r. Andrzej Duda przestanie pełnić funkcję głowy państwa, a zastąpi go Karol Nawrocki. Będzie to pierwszy raz w historii III RP, gdy odchodzący prezydent i jego następca wywodzą się z tego samego obozu politycznego, co w naturalny sposób musi prowokować do porównań między oboma politykami piastującymi najwyższy urząd w państwie. Obaj, mimo że w wyborach popierani przez tę samą partię, zdają się znacząco różnić w po-

eprasa.pl 000991d239

glądach na co najmniej kilka kluczowych tematów. Analizując rozbieżności ideowe i charakterologiczne między nimi, powinniśmy się zastanowić, na ile zaważą one na kształcie prezydentury w kolejnych pięciu latach oraz czy nowa głowa państwa ma szansę uniknąć przynajmniej części z błędów poprzednika.

ODCIĄĆ PĘPOWINĘ

Temat, który w oczywisty sposób wybija się na pierwszy plan, dotyczy przyszłych relacji Belwederu z Nowogrodzką. Przez całą dekadę – a szczególnie w pierwszej kadencji – nad prezydenturą Andrzeja Dudy wisiało widmo Jarosława Kaczyńskiego, czego efektem było nie tylko utożsamienie interesów państwa z interesami partii, lecz także despekt, który głowie państwa okazywał prezes PiS. Znamienną sytuacją był tutaj spór o Jacka Kurskiego, którego prezydent chciał się pozbyć z fotela prezesa TVP w 2020 r. Po jego dymisji prezydent podpisał głośną ustawę o 2 mld zł dla mediów publicznych, którą do tamtej pory blokował, jednak ledwie kilka tygodni później Kurski wrócił na stanowisko prezesa telewizji.

Genezy zależności prezydenta od partii należy szukać w pierwszych miesiącach po objęciu urzędu, gdy Duda został „zmuszony" przez Jarosława Kaczyńskiego do udziału w przejęciu Trybunału Konstytucyjnego oraz w całej wojnie z prawniczym establishmentem, co zaważyło na kolejnych latach jego prezydentury. Oczywiście, by oddać prawdę, należy przyznać, że wbrew temu, co twierdzili zajadli przeciwnicy Dudy, prezydent potrafił się postawić partii, blokując wiele ważnych dla PiS projektów. Zależność od Nowogrodzkiej pozostawała jednak ewidentnym mankamentem.

Tutaj też ujawnia się wyjątkowa pozycja Karola Nawrockiego, która odróżnia go od sytuacji Andrzeja Dudy z 2015 r. Duda swoją prezydenturę zaczynał jako były europoseł i były wiceminister, postać z drugiego szeregu polityków PiS. Nawrocki tymczasem wychodzi z zupełnie innego środowiska, a jego dotychczasowe kontakty ze światem polityki były mimo wszystko pobieżne. Brak obycia politycznego jest z jednej strony minusem, gdyż w naturalny sposób wpędza go w ramiona PiS jako jedynej siły zdolnej do zapewnienia mu odpowiedniego zaplecza personalnego, z drugiej jednak – jako człowiek spoza partii nie posiada wielu obciążeń, które w naturalny sposób doskwierały jego poprzednikowi. Nawet podczas formowania składu kancelarii prezydenckiej widzimy, że Nawrocki, owszem, korzysta z doświadczenia polityków, ale na ile to możliwe, chętnie ściąga swoich współpracowników z IPN. Dominować będą zapewne działacze PiS, ale to wydaje się naturalnym ruchem – Pałac Prezydencki stanie się głównym polem bitwy z Donaldem Tuskiem, a zarazem przyczółkiem do budowy ewentualnej koalicji PiS z Konfederacją, do tego zaś – priorytetowego – zadania bardziej pomocni będą doświadczeni posłowie niż koledzy z IPN.

W debacie publicznej mało kto zwraca jednak uwagę na to, że po raz pierwszy od 2005 r. wybory wygrał polityk spoza duopolu PO-PiS. Nawrocki, mimo wszystkich związków z partią Kaczyńskiego, nigdy nie był jej członkiem, a fakt, że bywa określany jako „kryptokonfederata", też nie jest tu bez znaczenia. Pierwsze ustawy, które planuje zgłosić nowy prezydent, dotyczą obniżenia podatku VAT do 22 proc., zerowego PIT dla rodzin z co najmniej dwojgiem dzieci, podwyższenia drugiego progu podatkowego oraz likwidacji podatku Belki. Są to postulaty, które spokojnie mogłaby głosić Konfederacja. Równie znamienne było spotkanie, do którego pod koniec czerwca doszło między Nawrockim a Sławomirem Mentzenem. „Zapowiada się nam owocna współpraca ponad podziałami dla dobra naszego kraju" – napisał lider Konfederacji po rozmowie.

Niedługo po wyborach prezydenckich do mediów dotarła plotka, jakoby Nowogrodzka próbowała „zainstalować" w kancelarii Marka Kuchcińskiego, na co jednak sam Nawrocki się wyraźnie nie zgodził. Z kolei Joanna Miziołek z „Wprost", która była obecna na wieczorze wyborczym PiS, relacjonowała sytuację, gdy po ogłoszeniu pierwszych wyników dających zwycięstwo Trzaskowskiemu najważniejsi politycy PiS zaczęli się gromadzić wokół Kaczyńskiego, aby przedyskutować możliwe scenariusze. Nawrocki ponoć jedynie przekazał prezesowi PiS, że jest przekonany, iż w nocy wyniki się odmienią, podziękował za współpracę, po czym… pojechał do rodziny. Obie historie są znamienne i pozwalają wnioskować, że obecna sytuacja będzie jednak odmienna od tej z roku 2015, a relacje między prezydentem a prezesem PiS będą bardziej równorzędne.

„Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy" – to hasło, które odwołuje się do sloganu „America first" Donalda Trumpa

W ostatnim czasie Jarosław Kaczyński miał ponoć zaproponować Nawrockiemu przejście na „ty" – czas pokaże, czy ten ruch zapowiada partnerskie podejście wobec prezydenta czy właśnie próbę „sklejenia" głowy państwa z obozem PiS.

PO PIERWSZE POLSKA?

„Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy" – to hasło wyborcze Karola Nawrockiego, które jest dosłownym powtórzeniem niedawnego sloganu Ruchu Narodowego, ale które odwołuje się też do hasła „America first" Donalda Trumpa. Ten ton kładący nacisk na interesach własnego narodu pobrzmiewał w wielu innych wystąpieniach Nawrockiego, co pozwala mieć nadzieję, że nowy prezydent nie powtórzy błędów Andrzeja Dudy, który zbyt często myślał kategoriami romantycznego zawołania „za wolność naszą i waszą".

Najbardziej oczywistym przykładem jest tutaj oczywiście podejście Prawa i Sprawiedliwości do tematu Ukrainy. Andrzej Duda tak bardzo zidentyfikował się z interesami Kijowa, że nawet gdy Wołodymyr Zełenski na forum ONZ stawiał Polskę wśród sojuszników Władimira Putina, polski prezydent nie potrafił się postawić swemu ukraińskiemu odpowiednikowi. Z całym szacunkiem dla głowy państwa, ale można odnieść wrażenie, że Andrzej Duda momentami zapominał, iż nie reprezentuje wyłącznie siebie, a jego głównym priorytetem

eprasa.pl 000991d239

powinien być zdrowo pojęty egoizm narodowy, a nie wymienienie uścisków z Zełenskim.

Nawrocki reprezentuje tutaj podejście zdecydowanie bardziej pragmatyczne, a nie ideologiczne czy emocjonalne. Po agresji rosyjskiej jako szef IPN podkreślał konieczność pomocy zaatakowanej Ukrainie, ale równie mocno wskazywał na potrzebę rozliczenia się Ukraińców z ich przeszłością. Wielokrotnie mówił – także już w trakcie kampanii – że Kijów musi zezwolić na przeprowadzenie ekshumacji i godne upamiętnienie ofiar ludobójstwa na Wołyniu, jeżeli chce mieć poprawne relacje z Warszawą. „To, co robi prezydent Ukrainy wobec Polski w sprawie ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej, jest nieprzyzwoite" – te słowa Nawrockiego padły zaledwie kilka miesięcy temu.

Jeszcze długo zanim wziął udział w „przepytywance" na kanale Sławomira Mentzena między pierwszą a drugą turą wyborów, prezes IPN podkreślał, że jest przeciwny wejściu Ukrainy do Unii Europejskiej oraz NATO dopóty, dopóki Kijów nie rozwiąże kwestii wołyńskiego ludobójstwa. Wypowiedzi ówczesnego kandydata na urząd prezydenta były ostro komentowane przez Ukraińców, a sam Zełenski stwierdził, że jeżeli Ukraina nie otrzyma gwarancji bezpieczeństwa, to „pan Nawrocki powinien już zacząć ćwiczyć, bo może się okazać, że będzie musiał wziąć broń do ręki". Jednocześnie prezydent Ukrainy spotykał się z Rafałem Trzaskowskim i było oczywiste, któremu kandydatowi Kijów kibicuje w prezydenckim wyścigu w Polsce.

Gdy już po ogłoszeniu wyników wyborów Zełenski wysłał kurtuazyjne gratulacje, Nawrocki odpisał w wielce wymowny sposób, wskazując, że dalsze partnerstwo między dwoma państwami wymaga „nie tylko dobrego dialogu, ale także rozwiązania zaległych problemów historycznych".

STRAŻNIK SUWERENNOŚCI?

W podobnie znamienny sposób prezydent elekt odpisał na gratulacje złożone przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen: „Doceniam Pani wiadomość i również czekam na dobrą współpracę dla sukcesu naszej Unii – wspólnoty niezależnych, suwerennych państw. Nasze europejskie dziedzictwo musi zawsze opierać się na wzajemnym zaufaniu, szacunku dla suwerenności narodowej i wartości chrześcijańskich".

Jeżeli Nawrocki myśli o reelekcji, to musi być szczególnie wyczulony na środowiska, które zaufały mu w 2025 r., mimo że w ostatnich latach tak często krytykowały PiS z pozycji konserwatywnych i narodowych

Zarówno w przypadku Wołodymyra Zełenskiego, jak i przewodniczącej Komisji Europejskiej są to na razie jedynie słowa, więc nie przywiązując nadmiernej wagi do nich, warto jednak przyjmować je z umiarkowanym optymizmem. Prawo i Sprawiedliwość w trakcie swych dwóch kadencji prowadziło względem Unii Europejskiej absolutnie kuriozalną politykę, co na łamach „Do Rzeczy" wielokrotnie opisywałem – z jednej strony mieliśmy buńczuczną, patriotyczną retorykę polskich polityków (w duchu „nie oddamy ani guzika"), którzy jednocześnie w zaciszu brukselskich gabinetów godzili się na destrukcyjne europejskie projekty, na czele z Zielonym Ładem, wspólnym pocovidowym długiem oraz związanym z nim mechanizmem „pieniądze za praworządność".

Andrzej Duda może się bronić, że europejska polityka była w gestii rządu, ale z tym podejściem wiąże się kilka problemów. Po pierwsze, prezydent udowodnił na odcinku amerykańskim, ukraińskim czy nawet chińskim, że gdy mu zależało, to potrafił forsować własną agendę w polityce zagranicznej. Po drugie, prezydent nie jest bezbronny. Dzięki groźbie weta może po prostu wymuszać konkretne rozwiązania na rządzie, a przynajmniej ma silne narzędzie negocjacyjne. Dla Polski lepiej byłoby, gdyby Andrzej Duda zagroził PiS sparaliżowaniem prac legislacyjnych, odpuścił kilka innych kwestii (nawet to nieszczęsne TVP, które dla funkcjonowania państwa miało jednak drugorzędne znaczenie), ale za to postawił jasną granicę w postaci „non possumus" dla Zielonego Ładu, który zuboży miliony Polaków, oraz „pieniędzy za praworządność", który to mechanizm stanowi największe zagrożenie dla polskiej suwerenności od czasów traktatu lizbońskiego. Po trzecie wreszcie, konstytucja mówi jasno, że głowa państwa „stoi na straży suwerenności" – to jego naczelny obowiązek i nie ma usprawiedliwienia dla prezydenta, który z tych zobowiązań się nie wywiąże.

INTERESY PARTII I RACJA STANU

Czy Karol Nawrocki będzie potrafił w tych fundamentalnych kwestiach stanąć po stronie polskiej racji stanu? Prezydent elekt w trakcie kampanii obiecywał, że „wypowie Zielony Ład" (ale już nie tłumaczył, jak zamierza to zrobić), oraz krytykował postępującą integrację UE, budowę unijnych sił zbrojnych oraz wskazywał, że „Polska jest bardziej potrzebna Europie niż Europa Polsce". Patrząc na wypowiedzi i działania Nawrockiego z ostatnich lat, wydaje się, że jest to jego szczere stanowisko, jednak aby być mu wiernym w ciągu kolejnych pięciu lat, konieczne może się okazać to, o czym była mowa na początku – zerwanie pępowiny łączącej go z Prawem i Sprawiedliwością. Jeżeli bowiem PiS powróci do władzy, to oczywiste jest, że interesy partii oraz racja stanu Rzeczypospolitej mogą czasami kolidować ze sobą.

Pod wieloma względami Nawrockiemu powinno być łatwiej usamodzielnić się względem PiS, niż było to w przypadku Andrzeja Dudy. Świadczą o tym zarówno koneksje osobiste, jak i uwarunkowania charakterologiczne obu polityków. Warto też pamiętać, że o wyniku wyborów prezydenckich przesądzili zwolennicy Sławomira Mentzena oraz Grzegorza Brauna. Jeżeli Nawrocki myśli o reelekcji, to musi być szczególnie wyczulony na środowiska, które zaufały mu w 2025 r., mimo że w ostatnich latach tak często krytykowały PiS z pozycji konserwatywnych i narodowych. Te uwarunkowania pozwalają żywić ostrożną nadzieję, że przynajmniej na kilku polach nadchodząca prezydentura będzie „dobrą zmianą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Polityka przeciw prawu i konstytucji

Romuald Kmiecik

Zgodnie z rotą przysięgi prezydent elekt obejmuje urząd Prezydenta RP „z woli Narodu". Źródłem władzy prezydenta jest naród, a nie Zgromadzenie Narodowe, które biernie uczestniczy w akcie składania przysięgi i nie decyduje o dopuszczalności tego aktu

Pogrążeni w politycznym amoku niektórzy znani prawnicy tracą na własne życzenie resztki autorytetu. Zachęcają marszałka Sejmu do konstytucyjnego bezprawia, chcą, aby wbrew Konstytucji RP uniemożliwił prezydentowi elektowi złożenie przysięgi. Czy wiedzą, w co się bawią, narażając marszałka Sejmu na odpowiedzialność karną? Czy pomyśleli o reakcji społeczeństwa? Pomysł „przerwy" w posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego jest równie absurdalny, co przeciwskuteczny. Bezprawne niedopuszczenie prezydenta elekta do złożenia przysięgi wobec Zgromadzenia Narodowego wcale nie zapewni marszałkowi Sejmu kompetencji prezydenckich. Wiadomo bowiem, że „bezprawie nie może rodzić prawa", w tym wypadku prawa do czasowego wykonywania przez marszałka Sejmu obowiązków Prezydenta RP. Tę regułę w wersji łacińskiej zna każdy prawnik („Ex iniuria non oritur ius").

Na szczęście marszałek Sejmu, mimo braku prawniczego wykształcenia, pojął, co grozi państwu i jemu samemu w razie „wmanewrowania się" w tego rodzaju bezprawie – konstytucyjny delikt i karnoprawne przestępstwo. Nikt nie chciałby przejść do historii, jak ów marszałek Sejmu warszawskiego (rozbiorowego) z 1773 r., Adam Poniński (1732–1798), który wzbudzał odrazę nawet wśród targowiczan. A że chodzi tu o bezprawie konstytucyjne, wystarczy tylko uważnie przeczytać art. 131 ust. 2 Konstytucji RP.

Marszałek Sejmu mógłby wykonywać obowiązki prezydenta „tymczasowo do czasu wyboru nowego Prezydenta" tylko w dwóch wypadkach. Po pierwsze, gdyby urzędujący prezydent z przyczyn prawnych lub losowych „opróżnił" urząd przed upływem kadencji. Obecnie Prezydent RP czuje się znakomicie i nic nie wskazuje na to, aby zamierzał zrzec się urzędu. Po drugie, wybrany niedawno prezydent elekt mógłby utracić swój status elekta wtedy i tylko wtedy, gdyby wybór okazał się nieważny w świetle uchwały Sądu Najwyższego (co, jak już wiemy, nie nastąpiło) lub gdyby pojawiła się inna przyczyna uniemożliwiająca objęcie urzędu, podobna do tych, które powodują opróżnienie urzędu Prezydenta RP (zły stan zdrowia, zrzeczenie się etc.). Tymczasem nie ma takiej „przyczyny" w rozumieniu art. 131 ust. 2 pkt 3 Konstytucji RP, dla której prezydent elekt nie mógłby objąć „urzędu po wyborze" („Non causa pro causa"). Zarówno próba uniemożliwienia złożenia przysięgi, jak i ewentualne wykonywanie obowiązków prezydenta RP przez marszałka Sejmu byłoby w tych warunkach rażącym naruszeniem Konstytucji RP, a ze strony marszałka Sejmu – karygodną uzurpacją.

Z WOLI NARODU

Co by się jednak stało, gdyby wskutek jakiejś „pomroczności jasnej", wbrew wszelkim normom konstytucyjnym, Zgromadzenie Narodowe „przerwało" lub „zawiesiło" posiedzenie i nie odebrało przysięgi od prezydenta elekta, decydując się na rodzaj zamachu konstytucyjnego (niebędącego jeszcze „zamachem stanu", o ile nie zastosowano by przymusu fizycznego)? Odpowiedź wymaga wykładni. Konstytucja RP została napisana bowiem dla tych obywateli, którzy chcą jej przestrzegać i strzec porządku konstytucyjnego („Vigilantibus iura scripta sunt"), a nie dla tych, którzy nawołują do jej naruszania lub obchodzenia („In fraudem legis"), nie mówiąc o stosowaniu znanej z historii reguły Bismarcka wobec Polaków („siły przed prawem").

Tymczasem nie wiadomo, jak – mimo zwołania Zgromadzenia Narodowego 6 sierpnia bieżącego roku – zachowają się posłowie i senatorowie reprezentujący obecnie większość parlamentarną. Ważność przysięgi złożonej wobec Zgromadzenia Narodowego nie wymaga żadnej uchwały, a tym samym odpowiedniego quorum – nie ma więc znaczenia liczba parlamentarzystów uczestniczących w tej uroczystości.

Gdyby w celu uniemożliwienia prezydentowi elektowi złożenia przysięgi uchwalono „przerwę" lub „zawieszenie" posiedzenia, uchwała taka – jako sprzeczna z Konstytucją RP – będzie nieważna i nieskuteczna. Prezydent elekt złoży wówczas przysięgę wobec tych członków Zgromadzenia Narodowego, którzy, choćby w mniejszości, pozostaną obecni, mimo wspomnianej nieważnej uchwały. Zgodnie z rotą przysięgi prezydent elekt obejmuje urząd Prezydenta RP „z woli Narodu", a nie z woli Zgromadzenia Narodowego. Źródłem władzy prezydenta jest naród, jako zwierzchni podmiot władzy w Rzeczypospolitej, a nie Zgromadzenie Narodowe, które biernie uczestniczy w akcie składania przysięgi i nie decyduje o dopuszczalności tego aktu (art. 4 ust. 1 w zw. z art. 130 ust. 1 Konstytucji RP).

Miejmy nadzieję, że w sierpniu bieżącego roku Zgromadzenie Narodowe zachowa się jednak zgodnie z Konstytucją RP, a uroczyste zaprzysiężenie prezydenta elekta odbędzie się w warunkach godnych państwa prawnego o ponadtysiącletniej historii i wspaniałej tradycji parlamentarnej sięgającej I Rzeczypospolitej.

Prawnicy – autorzy niewydarzonych koncepcji interpretacyjnych obliczonych na anarchizowanie porządku konstytucyjnego – powinni się zreflektować. Pożar łatwo wzniecić, dużo trudniej ugasić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, profesorem doktorem habilitowanym, emerytowanym profesorem zwyczajnym.

eprasa.pl 000991d239

Filip Memches

Semici czy „biali ludzie”?

Kadr z izraelskiego serialu fabularnego „Dolina łez” (2020) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Izrael to państwo utworzone głównie przez Żydów aszkenazyjskich. A mentalność tych ludzi ukształtowała kultura europejska. Dlatego w oczach Palestyńczyka Żyd o niemiecko czy polsko brzmiącym nazwisku to kolejny kolonizator z Zachodu

Od drugiej wojny światowej na jakąkolwiek krytykę pod adresem Żydów cieniem kładzie się pamięć o Holokauście. Stąd również, gdy obnażana jest brutalna polityka Izraela wobec ludności palestyńskiej, rodzi to podejrzenia o to, że w ten sposób dają o sobie znać uprzedzenia antyżydowskie.

Dzieje się tak niezależnie od tego, że i wśród samych Żydów nie brak głosów negatywnie oceniających działania wojska izraelskiego w stosunku do Palestyńczyków. Przykładowo, już w roku 1949 ukazała się nowela S. Jizhara „Chirbet Chiza” uważana za kanoniczne dzieło literatury izraelskiej (niedawno wyszła po polsku). Porusza ona temat wojny o niepodległość Izraela lat 1948–1949. Narrator to żołnierz izraelski (alter ego autora), który uczestnicząc w akcji wypędzania Palestyńczyków z ich domostw (w tytułowej wiosce), miota się wewnętrznie, dając świadectwo tego, co zobaczył: „Moje wnętrzności krzyczały. Kolonizatorzy, krzyczały […]. Chirbet Chiza nie jest nasze […]. Tych, których my wypędzamy – to jest zupełnie inna sprawa. Poczekaj: dwa tysiące lat wygnania […]. Teraz to my jesteśmy Panami” (przekład: Daria Boniecka-Stępień).

LEWICA KOCHA MARTWYCH ŻYDÓW

Mimo takich głosów można jednak powiedzieć, że w świecie rozpowszechnił się bałamutny pogląd, iż Żydzi, jako naród doświadczony na przestrzeni dziejów prześladowaniami i w dodatku w pewnym momencie zagrożony unicestwieniem, stoją zawsze – niezależnie od okoliczności – po dobrej stronie historii. Takie postawienie sprawy okazało się w Europie (w tym również w Polsce) pułapką na tę część prawicy, która postanowiła uwiarygadniać się moralnie potępianiem antysemityzmu. Dotyczy to zarówno polityków, jak i publicystów.

Żeby wyjaśnić, w czym rzecz, trzeba cofnąć się o ćwierć wieku. Na przełomie stuleci XX i XXI w europejskiej debacie publicznej zaczął krążyć termin „nowy antysemityzm”. Odnosił się on do antyizraelskiej retoryki środowisk lewicowych na Zachodzie.

W tym kontekście pod pojęciem „stary antysemityzm” rozumiano poglądy, o których szerzenie wcześniej oskarżano prawicę. Żyd miał się jawić jako figura „Innego”, czyli odmieńca, który w kręgu „cywilizacji białego człowieka” pada ofiarą ksenofobicznych i rasistowskich stereotypów. Żydzi w diasporze pielęgnowali przecież swoją religijną, kulturową i obyczajową odrębność. Nawet wyglądem zewnętrznym (choćby ubiorem) wyróżniali się na tle społeczeństw, w których przyszło im żyć. W Europie byli pod pewnymi względami znakiem obecności bliskowschodniej egzotyki. A przecież konieczność równego i inkluzywnego traktowania „Innego” to podstawowy dogmat lewicy.

Rzecz w tym, że – by sparafrazować tytuł książki amerykańskiej pisarki Dary Horn – lewica kocha Żydów, lecz tylko martwych (chodzi o zbiór esejów „People Love Dead Jews”). Jest bowiem w stanie ich hołubić wyłącznie jako ofiary antysemityzmu, którego szczytową fazą okazał się Holokaust. Wtedy bowiem może snuć swoją ulubioną opowieść o tym, jak ustanowione przez „białych heteroseksualnych mężczyzn” opresyjne struktury władzy gnębią „Innego”. W roku 1948 globalna rola Żydów jednak się zmieniła. Wywalczyli oni – zarówno dyplomacją, jak i czynem zbrojnym – własne suwerenne państwo, w dodatku bazujące na syjonizmie, czyli żydowskim nacjonalizmie (świeckim, choć politycznie wykorzystującym judaizm). Tym samym z upływem czasu stali się dla lewicy zagwozdką. Bo ciemiężony przez izraelskiego żołnierza Palestyńczyk również zaczął się jawić jako figura „Innego” (podobnie zresztą jak „ubogacający kulturowo” Europę imigrant z kraju muzułmańskiego żywiący antyżydowskie resentymenty).

W efekcie – by opisać lewicową idiosynkrazję względem Izraela – ukuto termin „nowy antysemityzm”. Podchwyciła go część prawicy – żeby właśnie rzucać nim w lewicę i moralnie się uwiarygadniać. Zaserwowała ona przekaz,

eprasa.pl 000991d239

że Izrael to zaprzeczenie europejskiej lewicowej „zgnilizny" – przyczółek cywilizacji zachodniej na Bliskim Wschodzie i zarazem godne podziwu silne suwerenne państwo, które wbrew wszelkim przeciwnościom mężnie forsuje swoje interesy narodowe. Ta część prawicy wysunęła argument, że lewica, krytykując politykę Izraela w stosunku do ludności palestyńskiej, tak naprawdę daje upust własnym – skrywanym i tłumionym – negatywnym emocjom wobec Żydów. Od tamtej pory środowiska lewicowe obrywają z tej samej broni, której używały wobec prawicy, i w efekcie zmuszone są wyjaśniać, dlaczego nie kierują się antysemityzmem.

Rzecz w tym, że nie należy stawiać znaku równości między Izraelem a Żydami mieszkającymi w diasporze. Krytyka pod adresem Izraela i wrogość wobec Żydów to nie jest to samo. Trzeba tu dokonać istotnego rozgraniczenia.

Przez blisko dwa tysiąclecia przebywania wśród rozmaitych narodów Żydzi stali się wspólnotą kulturowo mocno zróżnicowaną. Choć zachowywali swoją odrębność, to zarazem nie byli impregnowani na oddziaływanie czynników lokalnych.

Tak było choćby z Aszkenazyjczykami, czyli Żydami zamieszkującymi kraje Europy Środkowej i Wschodniej. W ich kręgu wykształcił się nowy język – jidysz – zawierający mnóstwo naleciałości z języka niemieckiego. Dania Żydów aszkenazyjskich różnią się od smakołyków podawanych na Bliskim Wschodzie. Cechują się bowiem dużą obecnością węglowodanów, co charakteryzuje – ze względu na regionalny klimat – kuchnię środkowo- i wschodnioeuropejską. Do tej specyfiki można dorzucić sztrajmel, czyli czapkę futrzaną zakładaną w żydowskie święta religijne przez chasydów polskich – wyznawców jednego z mistycznych nurtów judaizmu, który narodził się w I Rzeczypospolitej na przełomie stuleci XVII i XVIII. To nakrycie głowy wywodzi się z polskiego stroju szlacheckiego.

Z kolei procesy asymilacyjne, które ruszyły w XVIII w., sprawiły, że wielu Żydów aszkenazyjskich po prostu przemieniło się w Niemców czy Polaków. To w tym gronie namnożyło się mnóstwo różnych politycznych marzycieli. Wśród nich byli i tacy, którzy nadal uważali siebie za

Część prawicy, interpretując antyizraelskie wystąpienia na lewicy jako przejaw „nowego antysemityzmu", demagogicznie zaciemnia rzeczywistość

Żydów, tyle że nowoczesnych, jak choćby publicysta z Austro-Węgier Theodor Herzl. Nie mówił on w jidysz i nigdy nie opanował języka hebrajskiego. Jego napisany po niemiecku manifest „Państwo Żydowskie" z roku 1896 stał się tekstem programowym ruchu syjonistycznego. Ideowi spadkobiercy Herzla doszli do wniosku, że Żydzi mają upodobnić się do innych narodów, a więc zrzucić chałaty i przebrać się w mundury, aby osiedlać się na ziemi swoich przodków i budować podwaliny pod własne nowoczesne państwo.

Tyle że powrót po blisko dwóch tysiącleciach z wygnania na Bliski Wschód oznaczał konfrontację z tamtejszą ludnością arabską (skądinąd sam Herzl miał szlachetne intencje – wyobrażał sobie, że Żydzi będą pokojowo współistnieć z arabskimi sąsiadami na wspólnej ziemi). Konflikt ten podgrzewali Brytyjczycy, którzy po pierwszej wojnie światowej sprawowali nad Palestyną mandat.

„BRZEMIĘ BIAŁEGO CZŁOWIEKA"?

Tak więc Izrael to państwo utworzone głównie przez Żydów aszkenazyjskich. A mentalność tych ludzi ukształtowała kultura europejska. Przybyli oni na Bliski Wschód – oczywiście w sensie funkcjonalnym – nie jako Semici, lecz jako „biali ludzie". Dlatego w oczach Palestyńczyka Żyd o niemiecko czy polsko brzmiącym nazwisku to kolejny kolonizator z Zachodu.

Żeby to zilustrować, można przywołać izraelski serial fabularny „Dolina łez" – o wojnie Jom Kippur (toczyła się między Izraelem a Syrią i Egiptem krótko w roku 1973). Oto w jednej ze scen oficer syryjski pastwi się okrutnie nad jeńcem izraelskim. Okazuje się, że Izraelczyk jest rodem z Maroka, a więc to Mizrachijczyk, czyli Żyd z kraju arabskiego. Podczas przesłuchania Syryjczyk tłumaczy mu, że Arabowie i mizrachijscy Żydzi żyliby w zgodzie, gdyby nie przybycie z Europy syjonistów – to ich polityczny projekt (Izrael) jest źródłem bliskowschodniego konfliktu.

Gwoli wyjaśnienia: do Mizrachijczyków zaliczana jest też rdzenna ludność żydowska Palestyny zamieszkująca ją, zanim na Bliski Wschód przybyli syjoniści. W jakimś stopniu Żydom mizrachijskim bliżej do Arabów niż do Żydów aszkenazyjskich (niegdyś w Izraelu bywało, że Mizrachijczycy byli przez Aszkenazyjczyków traktowani jak obywatele gorszej kategorii – zresztą ta kwestia jest poruszona w „Dolinie łez" również). Znakomicie obrazuje to fragment powieści izraelskiego prozaika Benjamina Tammuza pt. „Minotaur". Główny bohater tego utworu – tajny agent izraelskich służb specjalnych – wyznaje, że w głębi duszy targa nim sprzeczność: więcej go łączy z wrogimi mu Arabami niż z sojuszniczymi narodami Zachodu. Choć sam pochodzi z rodziny aszkenazyjskiej, to wychował się już na brytyjskim terytorium mandatowym w Palestynie – można powiedzieć: jako Mizrachijczyk – i w dzieciństwie miał arabskich kolegów, których wspomina bardzo ciepło.

Przy czym jeśli mowa o kolonializmie, to w każdym przypadku należy to zjawisko rozpatrywać w całej jego złożoności, a nie z góry je piętnować, ulegając lewicowym przesądom. Na przykład można się zastanawiać nad tym, gdzie dziś niejednemu Arabowi żyje się swobodniej i dostatniej – w Izraelu pod władzą dźwigających „brzemię białego człowieka" kolonizatorów czy w emancypującej się względem nich Autonomii Palestyńskiej. Nie zmienia to jednak tego, że kiedy prawica interpretuje antyizraelskie wystąpienia na lewicy jako przejaw „nowego antysemityzmu", demagogicznie zaciemnia rzeczywistość.

Przyglądając się zatem z dystansu wydarzeniom na Bliskim Wschodzie (przeprowadzonej przez wojsko izraelskie masakrze Strefy Gazy, aktom terroru dokonywanym przez bojowników palestyńskich), pozostaje być „symetrystą". Obie strony konfliktu mają bowiem i swoje racje, i swoje winy. To po prostu istny tragiczny węzeł gordyjski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Z Sári Pontifex, węgierską działaczką pro-life
rozmawia Piotr Motyka

Pokazujemy człowieczeństwo nienarodzonego dziecka

PIOTR MOTYKA: Jak się pani zainteresowała tematem ochrony życia i walki z aborcją?

SÁRI PONTIFEX: Kiedy miałam 14 lat, musiałam napisać esej na kontrowersyjny temat na zajęcia z języka angielskiego, przedstawiając obie strony problemu. Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś powodu wybrałam temat aborcji. Gdy dowiedziałam się, czym jest aborcja, wstrząsnęło to mną do głębi. Od tamtej pory ten problem porusza mnie jak nic innego. Nie mogę „nie wiedzieć" tego, co wiem o aborcji, i odwrócić się od tej kwestii. Naprawdę uważam, że moją misją jest walka o położenie kresu tej wielkiej niesprawiedliwości.

Jak wygląda obecnie prawo aborcyjne na Węgrzech?

Aborcja jest legalna na Węgrzech od 1956 r. Stało się tak głównie za sprawą wpływów sowieckich. Obecnie wykonuje się ponad 21 tys. aborcji rocznie, co oznacza, że na Węgrzech 58 dzieci dziennie umiera w wyniku aborcji. To kwestia praw człowieka numer jeden w naszych czasach, ponieważ aborcja jest główną przyczyną śmierci na całym świecie – to ponad 40 mln przypadków rocznie. Na Węgrzech aborcja jest legalna do 12. tygodnia ciąży z dowolnego powodu, ale nawet do narodzin, w określonych sytuacjach, również można jej dokonać. Dwanaście tygodni to taka średnia europejska, co może sprawiać, że wydajemy się umiarkowani w tej kwestii. Ale, po pierwsze, zezwalanie na jakiekolwiek aborcje jest skrajnym stanowiskiem, ponieważ w każdym przypadku oznacza odebranie życia niewinnej istocie ludzkiej, czego nie można usprawiedliwić. Po drugie, widzimy, że do większości aborcji i tak dochodzi w pierwszym trymestrze, więc to w zasadzie umożliwia jej dokonanie w większości przypadków. W USA ponad 90 proc. aborcji jest przeprowadzanych w pierwszym trymestrze. Badania wykazały, że surowsze przepisy dotyczące

eprasa.pl 000991d239

Mindenki Születésnapja (Marsz dla wszystkich, którzy mają urodziny) w Budapeszcie, 2024 r.
FOT. MINDENKI SZÜLETÉSNAPJA/FACEBOOK

aborcji zawsze ratują życie, więc popieramy każde działanie, które do tego zmierza. Na koniec: na Węgrzech aborcja jest częścią finansowanej przez podatników opieki zdrowotnej, co jest szokujące, ponieważ nie jest to w żadnym razie procedura opieki zdrowotnej. Płodność i ciąża są oznaką dobrego zdrowia, nie jest to choroba, którą należy leczyć. W rzadkich przypadkach, gdy życie kobiety jest zagrożone z powodu ciąży, lekarze mogą pomóc wcześniej urodzić dziecko poprzez indukcję porodu lub cesarskie cięcie, a następnie walczyć o to, aby dziecko również przeżyło. Nie ma potrzeby odbierania życia dziecku.

Jakie jest stanowisko poszczególnych węgierskich partii politycznych w sprawie ochrony życia?

W 2012 r. obecny rząd koalicji Fidesz-KDNP zmienił naszą konstytucję, w której stwierdza się, że życie ludzkie zasługuje na ochronę od momentu poczęcia. To samo w sobie jest bardzo pozytywne, ale nasze prawo aborcyjne jest całkowicie sprzeczne z naszą konstytucją. W 2022 r. uchwalono również tzw. ustawę o biciu serca. Ustawa ta stanowi, że teraz przed aborcją kobieta musi usłyszeć bicie serca swojego dziecka. I jesteśmy z tego powodu bardzo zadowoleni, ponieważ w oczywisty sposób pokazuje to człowieczeństwo dziecka. Bicie serca jest silnym sposobem komunikowania, że „ja żyję". Wiele było krytycznych głosów w tej sprawie, ale niedługo po wprowadzeniu ustawy osobiście byłam na wykładzie z ginekolog-położnikiem i powiedziała ona, że już zna kobietę, która wybrała życie, ponieważ słyszała bicie serca swojego dziecka. W partii Mi Hazánk, która jest również partią narodową, mamy Dórę Dúró, wiceprzewodniczącą Zgromadzenia Narodowego, która przez lata pracowała w parlamencie, aby uchwalić tę ustawę o biciu serca. Előd Novák, członek parlamentu, również z tej samej partii, niedawno sfinansował kampanię billboardową pro-life. Oto rzeczy, które przychodzą mi na myśl. Chcielibyśmy, aby więcej polityków stanęło w obronie tej sprawy. Musimy odważnie działać, aby nasze prawo chroniło każde życie, i uświadamiać te działania ludziom, pokazując im, czym jest aborcja i kto jest jej poddawany, a także jednocześnie robić jeszcze więcej, aby zwiększyć świadomość zasobów dostępnych dla rodziców w potrzebie oraz działać na rzecz zwiększenia tych zasobów. Chciałabym zobaczyć więcej odwagi wśród polityków. Musimy chronić dzieci i ich matki przed przemocą, jaką jest aborcja, ponieważ szkodzi ona kobietom. Badanie „The British Journal of Psychiatry" wykazało, że po aborcji ryzyko wystąpienia różnego rodzaju problemów ze zdrowiem psychicznym wzrasta u kobiet o 81 proc. Amerykański ruch pro-life odniósł większy sukces w uczynieniu ochrony życia ważną wartością dla politycznego konserwatyzmu. Trzynaście stanów ma całkowity lub prawie całkowity zakaz aborcji. Polska również wykonała niesamowitą pracę, aby chronić najmłodszych

Węgierska konstytucja stwierdza, że życie ludzkie zasługuje na ochronę od momentu poczęcia. Ale nasze prawo aborcyjne jest sprzeczne z naszą konstytucją

z nas. Tęsknię za tego rodzaju śmiałością w tej sprawie na Węgrzech, niezależnie od tego, czy z prawej czy z lewej strony. Temat aborcji jest fundamentalną kwestią praw człowieka, więc będziemy wspierać rozwiązania pro-life niezależnie od tego, kto je proponuje.

W jaki sposób organizacje, dla których pani pracuje, edukują ludzi na temat aborcji?

Większość ludzi słyszy tylko popularne, ładnie brzmiące hasła na ten temat. Wierzę, że ludzie mają prawo znać fakty i prawdę. Byłam świadkiem, jak zmieniają się ich poglądy, gdy im się to przekaże. W kwestii aborcji są dwa główne pytania. Po pierwsze: Kto jest abortowany? Obiektywnie rzecz biorąc, w każdej sytuacji jest to dziecko. Naukowcy wiedzą, kiedy zaczyna się ludzkie życie. To pytanie leży w obszarze specjalizacji biologów. Badanie University of Chicago wykazało, że 95 proc. biologów twierdzi, iż życie zaczyna się w momencie zapłodnienia. Tak więc w każdym przypadku – niezależnie od tego, czy dziecko jest zdrowe czy chore, chciane czy niechciane, poczęte w małżeństwie czy w wyniku gwałtu – aborcja kończy życie niewinnego dziecka. Ponadto kluczowe jest przedstawienie podstawowych faktów dotyczących rozwoju płodu. Na przykład to, że od trzeciego tygodnia życia zaczynają bić zaczątki serca, że w szóstym tygodniu dziecko zaczyna się ruszać lub że ok. ósmego tygodnia można wykryć fale mózgowe.

Poza tym inne podstawowe pytanie brzmi: Co dzieje się podczas aborcji? Kiedy informujesz ludzi, czym jest aborcja – co najczęściej oznacza odcięcie dopływu tlenu i składników odżywczych do dziecka w przypadku pigułek poronnych lub rozerwanie dziecka na strzępy przez odsysanie kleszczami lub spowodowanie zawału serca – są w szoku. Wielu widzi,

eprasa.pl 000991d239

jak bardzo jest to złe, i zmienia zdanie. Niektórzy obrońcy życia mogą być raczej niechętni do przedstawiania rzeczywistości aborcji, ale myślę, że jest możliwość, aby to zrobić w sposób, który ludzie mogą przyjąć. Nie krzyczymy ludziom w twarz ani nie złościmy się, tylko przedstawiamy fakty takimi, jakie są. Myślę więc, że kluczowe jest, abyśmy przekazywali te informacje ludziom, i to właśnie robimy w Fiatalok az Élet Szolgálatában (Młodzież w Służbie Życiu), czyli organizacji, w której pracuję jako wolontariusz. Najpierw szkolimy młodych ludzi pro-life, którzy po zdobyciu najważniejszych informacji na ten temat udają się wszędzie tam, gdzie jesteśmy zapraszani, aby o tym mówić. Zazwyczaj wygłaszamy prelekcje i prowadzimy stoiska podczas wydarzeń. Organizujemy również pokazy filmu „Nieplanowane", przedstawiającego życie byłej dyrektor kliniki aborcyjnej Abby Johnson, która stała się pro-life. Film jest świetny, ponieważ naprawdę zawiera sedno przesłania dotyczącego ochrony życia. Oczywiście wiele osób jest on-line i nie ma innego sposobu, aby do nich dotrzeć, więc mamy naszą stronę na Facebooku. Mamy też kanał na YouTube o nazwie „Egy Élet" („Jedno Życie"). Lubimy przedstawiać historie ludzi, którzy wybrali życie, zmienili zdanie na temat aborcji lub są osobami, które przeżyły aborcję. Ważne jest, aby przemawiać do rozumu – pokazując, jak pro-life jest pronaukowe – a także do serca – za pomocą prawdziwych historii, które ilustrują stanowisko pro-life. Oprócz edukowania społeczeństwa na temat aborcji nasza organizacja Együtt az Életért (Razem dla Życia) pomaga również kobietom w obliczu nieplanowanej ciąży, ponieważ sednem ruchu za życiem jest zawsze edukacja oraz praktyczna pomoc dla potrzebujących.

Czy może pani coś powiedzieć o inicjatywie Marszu dla Życia w Budapeszcie?

Nasz pierwszy duży, profesjonalny Marsz dla Życia odbył się we wrześniu 2024 r. Przybyło ok. 3 tys. osób, co było ogromnym sukcesem jak na pierwszy raz. Nazwa naszego marszu to Mindenki Születésnapja (Marsz dla wszystkich, którzy mają urodziny). Stajemy w obronie 21 tys. dzieci, które umierają każdego roku na Węgrzech, ponieważ ich życie jest cenne i zasługuje na ochronę. Ale świętujemy również wartość każdego ludzkiego życia. To radosny dzień. Mieliśmy piękną trasę wzdłuż Dunaju, przez most Łańcuchowy, szliśmy z kolorowymi balonami i transparentami, a zakończyliśmy w parku, gdzie odbywały się organizowane przez nas koncerty, były przemówienia znanych osobistości i wspólny poczęstunek. To było tak wyjątkowe, ponieważ byli tam również ludzie z Anglii, Hiszpanii i Rumunii. Marsz jest bardzo ważną inicjatywą, gdyż skłania opinię publiczną do zastanowienia się nad tym, czym jest aborcja, która w przeciwnym razie mogłaby wydawać się nieuniknioną częścią życia społecznego na Węgrzech. Zwraca również uwagę mediów na kwestię pro-life. W tym roku odbędzie się kolejny marsz 13 września 2025 r., na który zapraszam.

Co sądzi pani o współpracy organizacji pro-life w Europie Środkowej?

Zdecydowanie chciałabym, aby tak się stało, ponieważ jesteśmy ruchem globalnym. Chcemy, aby wszystkie dzieci i kobiety były chronione przed przemocą związaną z aborcją bez względu na to, z jakiego są kraju. A jeśli chcemy być jak najskuteczniejsi, to musimy ze sobą rozmawiać o naszych sukcesach i porażkach. Oczywiście każdy kraj ma swoją lokalną specyfikę, którą należy wziąć pod uwagę, ale wciąż wiele możemy się od siebie nauczyć. Na przykład niedawno współpracowaliśmy z amerykańską organizacją Live Action, która jest twórcą numer jeden w zakresie treści cyfrowych pro-life na świecie. Uzyskaliśmy pozwolenie na stworzenie węgierskich wersji dwóch przełomowych filmów, które wyprodukowali. Pierwszy film to najbardziej realistyczna animacja rozwoju dziecka w łonie matki. A drugi, również animowany, wyjaśnia, jak przeprowadza się aborcję w pierwszym trymestrze, co zmieniło poglądy wielu osób w tej sprawie. Chciałabym również współpracować z polskimi obrońcami życia. To niesamowite, co osiągnęli.

Jakie znaczenie mają pieniądze w promowaniu aborcji?

To ten aspekt tematu, który bardzo rzadko jest poruszany, mimo że za promowaniem aborcji stoją wyraźne motywacje finansowe. W USA np. widzimy, że zarabia się ogromne pieniądze na zabiegach aborcyjnych. W swoim rocznym raporcie za lata 2021–2022 Planned Parenthood, sieć klinik aborcyjnych wykonująca najwięcej aborcji w USA, wykazała aktywa netto w wysokości 2,3 mld dol. Podczas gdy liczba wykonywanych aborcji rośnie, liczba faktycznych usług opieki zdrowotnej, takich jak badania piersi i testy cytologiczne, spada. Ponadto kilka lat temu David Daleiden i jego Centrum Postępu Medycznego odkryli, że ta organizacja sprzedaje również organy dzieci, które zostały abortowane. Osiąga ogromne zyski z bieżących zabiegów, a także ze sprzedaży organów później. Na Węgrzech sytuacja jest mniej jasna. Ale zdecydowanie w USA, a także na arenie międzynarodowej Planned Parenthood jest bardzo potężną i bogatą organizacją lobbingową. W Argentynie Międzynarodowa Federacja Planned Parenthood finansowała grupy proaborcyjne wiele lat przed legalizacją aborcji w tym kraju. Rząd Wielkiej Brytanii przekazał im 1,5 mln funtów na „usługi zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego" na Ukrainie, co obejmuje także aborcje.

Dlaczego warto walczyć o świat bez aborcji?

Prawo do życia jest najbardziej podstawowym prawem. Jeśli nie masz prawa do życia, to nie masz niczego. Każde ludzkie życie jest cenne i niezastąpione. Dlatego za każdym razem, gdy tracimy człowieka, jest to tragedia. Dlaczego dbamy o czyste powietrze, czystą wodę i redukcję odpadów, jeśli nie po to, aby zachować naszą planetę w jak najlepszym stanie dla następnego pokolenia? Dlatego te rzeczy są ważne, ponieważ ludzie są ważni. I myślę, że nie możemy zapominać o tym, że właśnie dlatego robimy te rzeczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sári Pontifex *jest węgierską działaczką ruchu obrony życia dzieci nienarodzonych, rzeczniczką węgierskiego Marszu dla Życia (Mindenki Születésnapja). Jest także członkiem zarządu organizacji Razem dla Życia (Együtt az Életért Egyesület) oraz międzynarodową korespondentką kanału YouTube „Jedno Życie" („Egy Élet"), przeprowadzającą wywiady z czołowymi członkami międzynarodowego ruchu pro-life.*

eprasa.pl 000991d239

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WAKACYJNE CUDA II RZECZYPOSPOLITEJ

Od Helu do Okopów św. Trójcy – Przedwojenna Polska była turystycznym rajem, oferując urlopowiczom przyrodnicze i kulturowe bogactwo

Automobilowe szaleństwo – Samochód był w II RP bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach

Krucjata Morela – Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu przez władcę Belgii. Zorganizował kampanię społeczną, która pokrzyżowała jego plany

Polska królowa pędzla i palety – Olga Boznańska przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

Jana Parandowskiego sztuka mimikry – Miano olimpijczyka przylgnęło do niego m.in. dlatego, że ten wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

„Król" zagłębiowskich Żydów – Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 000991d239

Koniec wojen liturgicznych?

Paweł Chmielewski

Liturgia powinna być w Kościele katolickim tą przestrzenią, która jest całkowicie wyjęta z wewnętrznych sporów. Niestety, od lat dzieje się zupełnie inaczej. Czy Leon XIV to wreszcie zatrzyma?

FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Od roku 1970 katolicka liturgia jest przedmiotem ostrej i bezkompromisowej walki między samymi katolikami. W tamtym roku papież Paweł VI opublikował nowy Mszał Rzymski, odstawiając na półkę jego poprzednią wersję, uświęconą wiekami tradycji. Reformy Pawła VI zostały zaakceptowane przez większość katolików w Kościele, ale część duchownych i świeckich powiedziała im kategoryczne „nie". Uważali, że to żadna reforma, ale raczej brutalna rewolucja i zniszczenie świętości. Nie bez racji, co zresztą przyznawał jeden z następców Pawła VI – Benedykt XVI. Ratzinger pisał, że jeszcze nigdy nie było czegoś takiego w Kościele: gwałtownie zmieniać Mszę Świętą, zakazywać jej dotychczasowego kształtu!

Dlatego papież z Niemiec krótko po objęciu pontyfikatu wydał swoje słynne regulacje, starając się raz na zawsze zażegnać spory. Już w 2007 r. ogłosił list „Summorum Pontificum", gdzie stwierdził, że w Kościele jest miejsce na dwie formy tego samego rytu rzymskiego: starą i nową, łacińską i zreformowaną. Wydawało się, że rozstrzygnięcie Benedykta rzeczywiście kładzie kres wewnętrznej wojnie Kościoła.

NOWE CIĘŻKIE DZIAŁA

Papież Franciszek postanowił jednak zerwać liturgiczny pokój i wytoczył nowe, ciężkie działa przeciwko łacińskiej Mszy Świętej. Dzięki swobodzie przyznanej mu przez Benedykta obóz zwolenników tradycyjnej liturgii rósł w siłę. Dlatego w lipcu 2021 r. ogłosił własny list „Traditionis custodes", którym odwołał decyzje swojego poprzednika i wprowadził surowe zakazy. Docelowo – wskazywał Franciszek – w Kościele ma być tylko jedna forma rytu rzymskiego, to znaczy nowa – starej można pozwolić jeszcze chwilę pożyć, ale już niedługo. Papież Bergoglio wprowadził tyle obostrzeń, że grupy tradycjonalistyczne zaczęły po prostu umierać – albo przenosić się pod skrzydła wspólnot, nad którymi Watykan nie ma bezpośredniej kontroli, jak Bractwo Kapłańskie św. Piusa X.

Franciszek twierdził, że był „zmuszony" do odwołania decyzji Benedykta. Jak pisał, kierował się m.in. radą oraz opinią biskupów z całego świata. W roku 2020 nakazał, żeby najważniejszy urząd doktrynalny Stolicy Apostolskiej, czyli Kongregacja Nauki Wiary, zapytał globalny episkopat o jego ocenę stanu liturgii po zmianach papieża Ratzingera. Kongregacja wypełniła zadanie i rozesłała do biskupów na całym świecie dziewięciopunktową ankietę. Hierarchowie odpowiedzieli, Kongregacja sporządziła na tej podstawie prawie 250-stronicowy raport i przekazała go Franciszkowi. Kiedy papież zadekretował odsuniętą w czasie egzekucję dawnej liturgii, twierdził, że czyni tak, bo obraz wyłaniający się z jego konsultacji z biskupami był „niepokojący" i „zasmucający", mając wskazywać na liczne nieprawidłowości: pychę, arogancję, brak jedności. To wszystko miało szerzyć się właśnie we wspólnotach związanych z liturgią tradycyjną, dlatego dla dobra

eprasa.pl 000991d239

Kościoła – argumentował papież – należy ukrócić swobodę liturgii tradycyjnej.

Problem w tym, że to nieprawda. Już w 2021 r. amerykańskie media opublikowały informacje, z których wynikało, że opinia światowego episkopatu na temat decyzji Benedykta XVI o „uwolnieniu" dawnej liturgii nie była wcale taka krytyczna. 1 lipca 2025 r. otrzymaliśmy na to dowody czarno na białym. Dziennikarka Diane Montagna zamieściła w sieci fragmenty raportu Kongregacji Nauki Wiary, do którego dostęp miał dotąd tylko papież Franciszek. Kongregacja pisała zupełnie wprost, że większość (sic!) biskupów na świecie uważa, iż swoboda odprawiania dawnej liturgii i uczestnictwa w niej dobrze służy Kościołowi. Chociaż nie kwestionowali istnienia pewnych problemów, to hierarchowie wskazywali, że we Mszy Świętej w rycie trydenckim uczestniczą chętnie młodzi ludzie, często wielodzietne rodziny, bardzo pobożne i zaangażowane w życie Kościoła. Kongregacja wskazywała, że tam, gdzie biskupi nawiązali ścisłą współpracę z tradycyjnymi katolikami, sprawy układają się bardzo dobrze i udało się zażegnać spory. Według Kongregacji biskupi stanowczo odradzali wprowadzanie jakichkolwiek nowych ograniczeń, wyraźnie przestrzegając, że zaszkodzi to Kościołowi i nie przyniesie w sumie niczego dobrego. Sama Kongregacja zaleciła papieżowi, żeby nie zabierał wiernym dawnej Mszy Świętej, ale – wprost przeciwnie – zadbał o odpowiednią edukację księży, tak by poznali jej piękno i bogactwo, co miałoby doprowadzić do dalszej poprawy stanu liturgii na całym świecie.

Papież Franciszek zdecydował się jednak działać wbrew radom biskupów i wprowadzić ograniczenia, jednocześnie na tych biskupów się powołując. Jak to możliwe? Czy Ojciec Święty działał po prostu cynicznie i manipulował opinią publiczną? Nie jesteśmy w stanie tego wykluczyć, choć możliwa jest również inna, przychylniejsza interpretacja. Jest do pomyślenia, że Franciszek w ogóle nie zapoznał się z treścią raportu Kongregacji, prosząc po prostu jakichś zaufanych biskupów o to, by mu ten raport zreferowali i doradzili, co robić dalej. Doradcy mogli skrajnie wyolbrzymić wszystkie negatywne elementy zawarte w raporcie, pomijając większość tego, co pozytywne. W efekcie przekonali papieża, że jest źle i trzeba działać. Jak było, pewnie nigdy się nie dowiemy – dość jednak, że „Traditionis custodes" zostało oparte na całkowitym kłamstwie, niezależnie od tego, czy jego autorem był sam papież czy też raczej jego nieuczciwi doradcy.

PRZEKRACZANIE GRANIC

Leon XIV ma wszelkie narzędzia do tego, by naprawić ten wielki bałagan i wydać rozstrzygnięcia, które przywrócą status quo wypracowane przez Benedykta XVI – albo chociaż wycofać najostrzejsze obostrzenia Franciszka, jak np. zakaz sprawowania tradycyjnej Mszy Świętej w kościołach parafialnych czy ścisłe koncesjonowanie pozwoleń dla młodych księży na odprawianie dawnej liturgii. Czy tak zrobi, tego wciąż nie wiemy, bo jego poglądy liturgiczne nie są publicznie znane. Jest w każdym razie pewne, że niektórzy kardynałowie będą go namawiać do podjęcia stosownych kroków na rzecz tradycjonalistów. Na razie jednak nowy papież przyczynił się raczej do wzrostu zamieszania wokół liturgii – i to w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Oby „Msza ekologiczna" nie stała się początkiem nowej tendencji polityzacji katolickiej liturgii

3 lipca Stolica Apostolska zaprezentowała nowy formularz mszalny w postaci tzw. Missa pro conservatio creationis, czyli Mszy za ocalenie stworzenia. Rzecz została określona w mediach jako „Msza ekologiczna", bo do tego właśnie się sprowadza. To pełna kontynuacja wysiłków Franciszka na rzecz uczynienia z ekologii jednego z centralnych tematów zaangażowania Kościoła. Papież Bergoglio „kombinował" z nowymi wersjami Mszy Świętej, np. autoryzując w listopadzie 2024 r. cały zespół adaptacji liturgicznych przeznaczonych dla ludności indiańskich Majów w południowym Meksyku. Za jego pontyfikatu ruszyły też prace nad opracowaniem zupełnie nowego rytu – amazońskiego. W obu przypadkach chodzi nie tylko o to, by docenić doświadczenie rdzennych społeczności, lecz także o to, żeby podkreślić związek pomiędzy liturgią a przyrodą. Franciszek wydał też ekologiczną encyklikę („Laudato si'") oraz adhortację („Laudate Deum"), przestawiał Watykan na zieloną energię, angażował się w szczyty klimatyczne. Próbował też wprowadzić do Kościoła nowy grzech – grzech ekologiczny, czyli świadome działanie niekorzystne dla środowiska naturalnego.

W tym sensie „Msza ekologiczna" Leona XIV jest logiczną kontynuacją tego, co rozpoczął Franciszek. Problem w tym, że stanowi przekroczenie kolejnej granicy. Od reform posoborowych istnieją w Kościele różne „okolicznościowe" formularze mszalne, np. za ludzką pracę, na czas wojny albo o deszcz. Dotyczą jednak kwestii bardzo ogólnych, w żaden sposób niepoddanych sporom politycznym. W przypadku ekologii jest zupełnie inaczej. Ochrona środowiska jako taka jest przecież ważna, ale dziś nie da się o niej dyskutować bez kontekstu ideologicznego. Wprowadzenie „Mszy ekologicznej" wystawia liturgię na poważne napięcia i grozi jej instrumentalizacją. Prezentujący ją w Watykanie duchowni, kard. Michael Czerny i abp Vittorio Viola, nie kryli, że chodzi o swoistą odpowiedź na „kryzys klimatyczny". Wprawdzie Leon XIV nie jest inicjatorem nowego formularza, bo rzecz zaczęto opracowywać jeszcze za Franciszka; nie ma z tym jednak problemu – sam postanowił odprawić Mszę Świętą za ochronę stworzenia 9 lipca w Castel Gandolfo.

Ta decyzja Leona XIV nie wróży zbyt dobrze przyszłości jego duszpasterskiego programu liturgicznego, stawiając pod wielkim znakiem zapytania nadzieje, które wiązali z nowym pontyfikatem konserwatywni katolicy. Zamiast liturgicznego pokoju między zwolennikami liturgii „zreformowanej" i tradycyjnej mogą zostać otwarte nowe pola bitewne – między katolikami, którzy chcą zadbać o sakralność liturgii, a tymi, którzy widzą w niej narzędzie realizacji celów społeczno-politycznych. To wielkie niebezpieczeństwo. Oby wprowadzenie „Mszy ekologicznej" nie stało się początkiem nowej tendencji polityzacji katolickiej liturgii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 000991d239

Lech Mażewski

Dopiero uwzględnienie szerokiego kontekstu pozwoli nam na ocenę szans na poszerzenie unii polsko-litewskiej o Moskwę i próbę odpowiedzenia na pytanie, dlaczego do tego nie doszło

Unia polsko-litewsko-moskiewska?

Profesor Andrzej Nowak w taki sposób rozpoczyna swoją relację o niedoszłej unii polsko-litewsko-moskiewskiej: „Przełom wieku XVI i XVII był w dziejach stosunków polsko-moskiewskich, potem polsko-rosyjskich, okresem bodaj największej przewagi Rzeczypospolitej". Tu krakowski historyk stawia pytanie: „Czy w chwili triumfu nie zmarnowaliśmy jakiejś szansy?". Spróbuję na nie odpowiedzieć. Tamten czas cechował się nie tylko próbą doprowadzenia do powstania unii polsko-litewsko-moskiewskiej, lecz także udziałem polskiej szlachty w burzliwych, często krwawych wydarzeniach po wygaśnięciu dynastii Rurykowiczów, a także wojną toczoną przez Zygmunta III Wazę, której celem było odzyskanie ziem utraconych przez Litwę na rzecz Moskwy w XVI w. Dopiero uwzględnienie tego szerokiego kontekstu pozwoli nam na ocenę szans na poszerzenie unii polsko-litewskiej o Moskwę i próbę odpowiedzenia na pytanie, dlaczego do tego nie doszło.

PROPOZYCJA LWA SAPIEHY Z 1600 R.

Na wieść o śmierci cara Fiodora I, syna Iwana IV Groźnego, kanclerz koronny i hetman wielki Jan Zamoyski, wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł Piorun i kanclerz litewski Lew Sapieha uradzili, że należy podjąć starania w sprawie zawarcia unii polsko-litewsko-moskiewskiej. 4 grudnia 1600 r. przedstawiono w Moskwie projekt unii. Kanclerz litewski mówił o daleko idącej współpracy między Warszawą, Wilnem i Moskwą, było to znacznie więcej niż unia w Krewie z 1385 r., choć mniej niż unia lubelska z 1569 r. Takie połączenie obu państw miało być etapem przejściowym, do czasu powstania jednego bytu państwowego. Symbolem tego byłoby noszenie przez obu monarchów identycznych koron, odlanych na nowo. Jeśli jako pierwszy umrze bezpotomnie car Borys Godunow, to jego następcą miał zostać Zygmunt Waza, w razie śmierci króla władcę wybieraliby naród szlachecki oraz posłowie moskiewscy. Pierwszeństwo w drodze do tronu miał królewicz, a jeśli Zygmunt nie zostawiłby męskiego potomka, to należało wybrać cara. Co ciekawe, zawierało się w tym sprowadzenie wolnej elekcji do prawa aprobaty.

Zarówno następca Rurykowiczów, jak i bojarzy projekt kanclerza litewskiego odrzucili. Być może przeważyła obawa o utratę własnej tożsamości kulturowej, mówiąc dzisiejszym językiem. „Moskwa chciała pozostać Moskwą" – mimo zrozumienia konieczności modernizacji Wielkiego Księstwa. Profesor Nowak w jakimś stopniu podziela taką postawę, ale nie kryje też wątpliwości, co widoczne jest na stronach „Dziejów Polski".

eprasa.pl 000991d239

„Polska załoga Kremla kapituluje przed księciem Pożarskim w 1612 r.". Obraz Ernsta Lissnera z 1938 r.

FOT. MUZEUM HISTORII MOSKWY

Krakowski historyk tak ocenia propozycje Sapiehy: „Był to więc projekt naprawdę dalekowzroczny, kompromisowy – niezwykłe świadectwo dojrzałej myśli politycznej i cywilizacyjnej elit państwa polsko-litewskiego". Jest to opinia dla nas bardzo pochlebna, aczkolwiek dość odosobniona w polskiej historiografii. Nie wiem jedynie, dlaczego podnosi się, że przypominało to „projekt zjednoczonej Europy". Jeśli już, to należałoby stwierdzić, że chodziło o koncept utworzenia imperium polsko-litewsko-moskiewsko/rosyjskiego, hegemona północnej Eurazji, dla którego być może tylko kwestią czasu byłoby zdominowanie półwyspu europejskiego.

„DO INDIÓW"

Pod koniec panowania Stefana Batorego ukazała się anonimowa broszura, której autor pisze, że polska szlachta nie musi się udawać „do Indiów", przebywając Atlantyk, bo nasze Indie leżą na wschód od Rzeczypospolitej; chodzi oczywiście o Wielkie Księstwo Moskiewskie. Ta sama myśl zostanie powtórzona w broszurze „Kolęda moskiewska" wydanej w Krakowie na przełomie lat 1608 i 1609. Wzywa się tam szlachtę do wyprawy na Moskwę, podobnie jak to czyniła szlachta kastylijska, angielska czy francuska w odniesieniu do Nowego Świata. Różnica polegałaby jedynie na tym, że nie chodziłoby o kolonizację terenów wschodniej Europy czy nawracanie na katolicyzm, a jedynie o udział w wojnach domowych, które tam się toczyły, i związaną z tym okazję do wzbogacenia się.

Dobrze to przedstawia w swoim pamiętniku „Początek i progres wojny moskiewskiej" hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski, opisując choćby okoliczności zajęcia monasteru św. Pafnotija w Borowsku: „Chłopstwo zaczęli uciekać w monaster wielkim nawałem, tak że bramy nie możono zamknąć. Na nich zaś wpadli nasi w monaster. Kniazia Wołkońskiego, który tam był od Szujskiego (car Iwan IV Szujski) wojewodą, w cerkwi zabili, czerńce i wszystek on gmin wysiekli, monaster i cerkiew splądrowali". Rzecz tyczyła działań oddziałów polskich pozostających na służbie Łżedymitra. Natomiast nieco później w Moskwie zaatakowana została najważniejsza świątynia w mieście: „Cerkiew Świętej Trójcy, która jest in summa veneratione […] i tej hultajstwo nie przepuściło, wydarli ją, wyłupili".

O tym wszystkim bardzo oględnie traktuje prof. Nowak. Zdaje się, że byłby to po prostu nieunikniony koszt niesienia do Moskwy swobód obywatelskich. Krakowski historyk pisze wręcz, że Polacy znaleźli się tam „przecież nie jako zdobywcy, ale jako strażnicy nowej unii". Ale o jakiej unii mowa, skoro propozycja Sapiehy była już nieaktualna? W to miejsce pojawia się w 1610 r. myśl o secundogeniturze polskich Wazów, a w najlepszym razie walka o interes państwa polsko-litewskiego. Inaczej pozostaje jedynie wyprawa „do Indiów", co nie byłoby niczym nadzwyczajnym na tle szlachty innych państw europejskich. Niektórzy zachodni historycy uważają nawet, że właśnie wtedy ukształtowała się antyokcydentalna tożsamość nowożytnej Rosji. Jest to jednak przesada, bo w takiej sytuacji nie mógłby nastąpić na początku XVIII w. zwrot Piotra Wielkiego w kierunku Europy w poszukiwaniu modelu modernizacji państwa, z pominięciem rozkładającej się Rzeczypospolitej.

DWA UKŁADY Z 1610 R.

1 października 1609 r. wojska polsko-litewskie na czele z królem stanęły pod murami Smoleńska. W trakcie oblężenia twierdzy pojawili się w polskim obozie przedstawiciele bojarów, którzy rozpoczęli negocjacje na temat kształtu stosunków między Rzecząpospolitą a państwem moskiewskim. Proponowali oddanie tronu nie królowi Zygmuntowi, ale królewiczowi Władysławowi. Ponadto oczekiwano wdania się przez stronę polsko-litewską w trwającą wojnę domową, co oznaczało zaprzestanie oblężenia Smoleńska. Na to ostatnie nie zgodził się polski władca. Ostatecznie 24 lutego 1610 r. został zaprzysiężony przez bojarów list układ, sformułowany przez Zygmunta. Zawarta w nim była zgoda na elekcję syna i koronację w Moskwie przez patriarchę, odrzucono możliwość pracy misyjnej w państwie moskiewskim, poręczono prawa i przywileje Cerkwi, a także Polacy i Litwini nie mieli sprawować w Wielkim Księstwie urzędów. Nie rozstrzygnięto jednak wyznania nowego cara Władysława ani linii granicznej między oboma państwami. W sumie zamiast unii, nawet personalnej, mieliśmy uzyskać przyjazne sąsiedztwo między Rzecząpospolitą a Moskwą. Doszłoby w ten sposób do urealnienia propozycji Sapiehy z 1600 r.

4 lipca 1610 r. Żółkiewski rozgromił pod Kłuszynem wojska moskiewskie idące na odsiecz Smoleńska. To jedno z najwspanialszych zwycięstw polskiego oręża, w którego efekcie hetman rozpoczął rozmowy z przedstawicieli bojarów. Miały nastąpić detronizacja cara Wasyla IV Szujskiego, elekcja Władysława, wraz z jego przejściem na prawosławie, i odstąpienie od oblężenia Smoleńska. To różniło lipcową deklarację hetmana od lutowego układu zaproponowanego przez Zygmunta.

28 sierpnia 1610 r. lipcowa deklaracja Żółkiewskiego została potwierdzona w układzie zawartym przez hetmana w imieniu króla. Monarcha, zapoznawszy się z tym układem, oświadczył, że te warunki są nie do przyjęcia, bo dają korzyść jedynie Wazom, a nie

eprasa.pl 000991d239

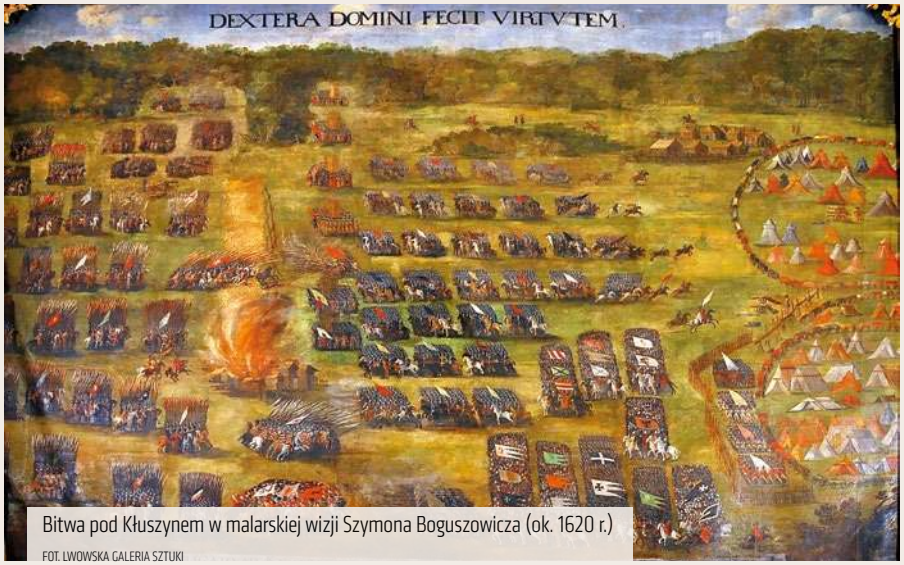

Bitwa pod Kłuszynem w malarskiej wizji Szymona Boguszowicza (ok. 1620 r.)

FOT. LWOWSKA GALERIA SZTUKI

państwu polsko-litewskiemu. Zdaniem prof. Henryka Wisnera zwycięzca spod Kłuszyna „wstał od stołu rokowań jako wielki przegrany i może uczyniwszy wielkimi przegranymi króla i Rzeczpospolitą". Być może należałoby się zgodzić z prof. Władysławem Konopczyńskim, że Żółkiewski „ścigał przepiękne widziadła, nie doceniając głębi polsko-moskiewskiego rozbratu i nie troszcząc się o uchwytne gwarancje". Sam zaś Władysław, jako dobry katolik, nigdy nie złożył obietnicy przejścia na prawosławie.

Wkrótce nastąpiło wejście Polaków do Moskwy, wspominane do dziś jako zajęcie Kremla. Słusznie zauważa prof. Wisner: „U jednych czasem rodziło wspomnienie dawnej potęgi, wiarę w odrodzenie i zwycięstwo, u drugich żądzę odwetu". Ale najgorsze przed nami. Dopiero po stuleciach Hanna Malewska opublikowała w „Listach staropolskich z epoki Wazów" relację chorążego mozyrskiego Józefa Budziłły, jednego z obrońców Kremla. Opisuje on przerażające przypadki kanibalizmu, z którym mieliśmy wtedy do czynienia w obozie cara Władysława. Po kapitulacji sił polsko-litewskich przeżyli tylko ci, którzy dostali się w ręce Rosjan, Kozacy dońscy resztę wymordowali.

Swoje intencje w toczącym się konflikcie Zygmunt przedstawił hetmanowi wielkiemu litewskiemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi: „Jako najprędzej tę ekspedycję skończyć i osiodłać traktatami Moskwę". Nie było zatem mowy o żadnej unii ani nawet koronie carskiej dla Władysława, a jedynie o próbie wymuszenia pokoju i zawarcia ewentualnego sojuszu przeciwko Szwecji. Ale nawet i na realizację tego Warszawa i Wilno okazały się za słabe.

2 marca 1613 r. obradujący w Moskwie Sobór Ziemski dokonał wyboru nowego władcy, przechodząc do porządku nad pretensjami Władysława. Następcą Rurykowiczów został Michał Romanow, syn więzionego w Polsce metropolity Filareta. Był to triumf stronnictwa narodowego i moskiewskiego, a tym samym klęska obozu propolskiego, a zarazem prozachodniego. Nie znaczyło to jednak kresu wysiłków na rzecz powstania unii polsko-rosyjskiej, z tym że teraz to Moskwa miała dominować w tym związku.

Nie było mowy o żadnej unii ani nawet koronie carskiej dla Władysława, a jedynie o próbie wymuszenia pokoju i zawarcia ewentualnego sojuszu przeciwko Szwecji. Ale nawet i na realizację tego Warszawa i Wilno okazały się za słabe

DLACZEGO NIE POWSTAŁA UNIA POLSKO-LITEWSKO-MOSKIEWSKA?

Od samego początku odmiennej odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie powstała unia polsko-litewsko-moskiewska, udzielają Polacy i Rosjanie. Nie powinno dziwić, że są to istotnie różniące się stanowiska.

W trakcie negocjacji w Dywilinie w 1618 r. w sprawie rozejmu między Moskwą a Rzecząpospolitą Fiodor Szeremietiew tak mówił: „Żołnierz wasz nie znał miary w obelgach i zbytkach. Zabrawszy wszystko, co dom zawierał, jeszcze wymuszał – złoto, srebro, drogocenne przedmioty. Musieli mężowie patrzeć na gwałt żon, matki na hańbę nieszczęsnych córek [...]. Nie mogliście powstrzymać rąk od Bożych chramów". I dalej: „Jątrzyliście najobraźliwszą pogardą. Nigdy nie nazywaliście inaczej, jak: psy, moskale, złodzieje, zdrajcy". I na koniec: „Nie chcemy ani waszego braterstwa, ani waszych wolności". To dobrze oddaje sens wyprawy polskiej szlachty „do Indiów", niewiele różniący się od opisów znajdujących się w pamiętniku Stanisława Żółkiewskiego. W trakcie negocjacji w Polanowie w 1634 r., kończących konflikt między Warszawą, Wilnem i Moskwą, rosyjski poseł dorzucił jeszcze: „Nie chcemy waszej wolności, zachowajcie ją sobie, bo u nas jest jeden tylko car, a u was co bojar, to tyran". To oczywiste nawiązanie do wyradzania się demokracji szlacheckiej w oligarchię możnowładczą, ekspandującą z Litwy i województw ukrainnych na terytorium całego państwa.

Profesor Nowak nie jest w stanie dokonać refutacji rosyjskich zarzutów. Zauważa jedynie, że po śmierci Zygmunta prawosławny car Władysław mógłby starać się o wybór na króla Rzeczypospolitej, a to z kolei wiodłoby do realizacji dawnych zamierzeń związanych z unią z – teraz już – Rosją. Ponadto wierząc w siłę polskiej tożsamości kulturowej, a przede wszystkim kultury politycznej, zakłada zwycięstwo w starciu z tradycją moskiewskiego samodzierżawia. Ale gdyby tak rzeczywiście było, to Zygmunt III Waza nie oponowałby, aby Władysław stał się następcą Rurykowiczów. W rezultacie gra o panowanie w północnej Eurazji, z udziałem państwa polsko-litewskiego, zostałaby podjęta. W przypadku powodzenia nie wisielibyśmy dziś u klamki Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Fałszywki

Dziś, gdy fałszywe informacje, dokumenty i przede wszystkim obrazki wszelkiego rodzaju stały się czymś „normalnym" (a większość odbiorców nie potrafi ich weryfikować), zapominamy, że to nie jest pomysł nowy. Dezinformacja była, jest i zapewne będzie.

Dezinformacja w postaci tzw. fałszywek stosowana była dość powszechnie podczas okupacji niemieckiej. Z jednej strony były to subtelne akcje, dostosowane do potencjalnych odbiorców, mające na celu siać niepokój w szeregach wroga, czyli Niemców. W tym celu zastosowano tzw. Akcję „N" (czyli „Niemcy"), polegającą na dość masowym produkowaniu pisemek i ulotek o treści antyhitlerowskiej, pochodzących rzekomo ze środowisk nieprzychylnych przywódcy III Rzeszy. Były one kolportowane (w tym przypadku głównie podrzucane) w miejscach masowych skupisk wroga. Na dworcach kolejowych, rozkładane w wagonach „Nur für Deutsche", przerzucane do koszar itp. Najważniejsze było to, że wytwarzane były na najwyższym poziomie, jeśli chodzi o język i treść, aby wytworzyć wśród Niemców przekonanie, że istnieje wśród nich jakiś masowy ruch oporu.

Ale fałszywki pojawiały się również w okupowanej Polsce, przeznaczone do dezinformacji politycznej. Stosowali je komuniści z PPR i GL-AL, szkalując np. NSZ w taki sposób, aby czytelnik myślał, że to ulotki tej organizacji, omawiające ich własny program. Były one prymitywne i trafiały głównie do zwolenników komunizmu, miały ich utwierdzać w ich przekonaniach. Oto jedna z nich (z maja 1944 r.), zatytułowana: „NARODOWE SIŁY ZBROJNE W WALCE O SPRAWIEDLIWĄ POLSKĘ". To nic, że ich treść kompromitowała ich wytwórców, ale to dobrze oddawało mentalność konspiracyjnej komuny.

Oto próba owej tfu-rczości dotyczącej NSZ: „Kto z honorem zbójeckim lepiej potrafi mordować i zabijać? JAK NIE MY! Kto lepiej potrafi okradać? JAK NIE MY! Kto lepiej szanuje władze niemieckie? JAK NIE MY!".

W ulotce tej zawarte są również elementy rzekomego „programu" NSZ: „Nie dać chłopu i robotnikowi oświaty […]. Utrzymać chłopów i robotników w ciemnocie […]. Chłop i robotnik żyje po to, aby pracowali na nas […]. Robotnikowi w fabrykach tyle będziemy płacić, ażeby nie zdechł z głodu […]. Za najmniejszy opór chłop i robotnik będzie surowo karany".

Była to jednak propaganda całkowicie bezskuteczna, a w szeregach konspiracji narodowej (podczas okupacji i później w Polsce Ludowej) działali ludzie ze wszystkich warstw społecznych. Zgodnie z ówczesną strukturą społeczeństwa podstawą oporu antykomunistycznego byli głównie chłopi, którzy nie dali się otumanić. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ratusz we Lwowie

Spotkanie ze Lwowem najlepiej rozpocząć na rynku miejskim – prawdziwym sercu dawnego miasta. Pamiętam, że gdy znalazłem się tutaj po raz pierwszy, po kilku minutach kochałem już gród nad Pełtwią. Trudno się dziwić, ponieważ Lwów zupełnie przypomina Kraków, a nawet jest jeszcze piękniejszy. A linia tramwajowa przecinająca rynek tylko dodaje mu uroku.

Niemal kwadratowy plac (142 na 129 m) zdominowała ciężka bryła ratusza (1827–1835). Siedziba magistratu wygląda we Lwowie na intruza, może w innym mieście – mniej obfitującym w architektoniczne perełki – nie raziłaby swoim wyglądem. Klasycystyczny gmach kojarzy się raczej z zabudową koszarową i stanowi dobry przykład biurokratycznej architektury austriackiej. Wielka szkoda, że nie zachował się poprzedni budynek magistratu, którego dzieje sięgały aż XIV w. (najstarsza wzmianka o nim pochodzi z 1382 r.). Wielokrotnie przebudowywany należał do najciekawszych architektonicznie obiektów w mieście, a dumni z niego lwowianie nazywali go pałacem pretoriańskim.

Kryzys Rzeczypospolitej w XVIII stuleciu odbił się jednak na losach ratusza. Zabrakło środków na utrzymanie magistratu, w miarę regularnie konserwowano jedynie zegar, ale i w tym przypadku unikano poważniejszych nakładów. Nowy mechanizm zegarowy zamontowany w 1721 r. po upływie kilkudziesięciu lat zastąpiono zegarem pochodzącym z wieży kościoła zlikwidowanego zakonu jezuitów (1788). Czasomierz ten towarzyszył gmachowi ratusza aż do jego rozbiórki.

Na początku XIX w. władze austriackie postanowiły uporządkować sytuację siedziby rady miejskiej. Zaniedbany i zrujnowany gmach miał zostać zburzony, a na jego miejscu planowano wzniesienie nowego. Rozpatrywano różne projekty, których wspólną cechą było wkomponowanie starej wieży w nowy budynek. Nie zwracając uwagi na jej fatalny stan techniczny, uznano, że jest ona symbolem Lwowa od stuleci wtopionym w panoramę tego miasta. Ostatecznie zatwierdzono projekt Józefa Markla i Franciszka Treschera oraz wyznaczono termin rozpoczęcia prac. 14 lipca 1826 r. obaj architekci oraz dyrektor miejskiego zarządu budowlanego Nimstetter podpisali dokument potwierdzający dobry stan techniczny wieży, po czym udali się na jej inspekcję. W trakcie oględzin, które miały potwierdzić bezpieczeństwo budowli... wieża się zawaliła. Członkowie komisji uszli z życiem, jednak w katastrofie zginęło osiem osób – wśród nich byli robotnicy, żołnierze, miejski trębacz oraz jego córka. Jak widać, fałszowanie dokumentów budowlanych nie jest wynalazkiem naszej epoki. ©℗

eprasa.pl 000991d239

Wojna o umysł Ameryki

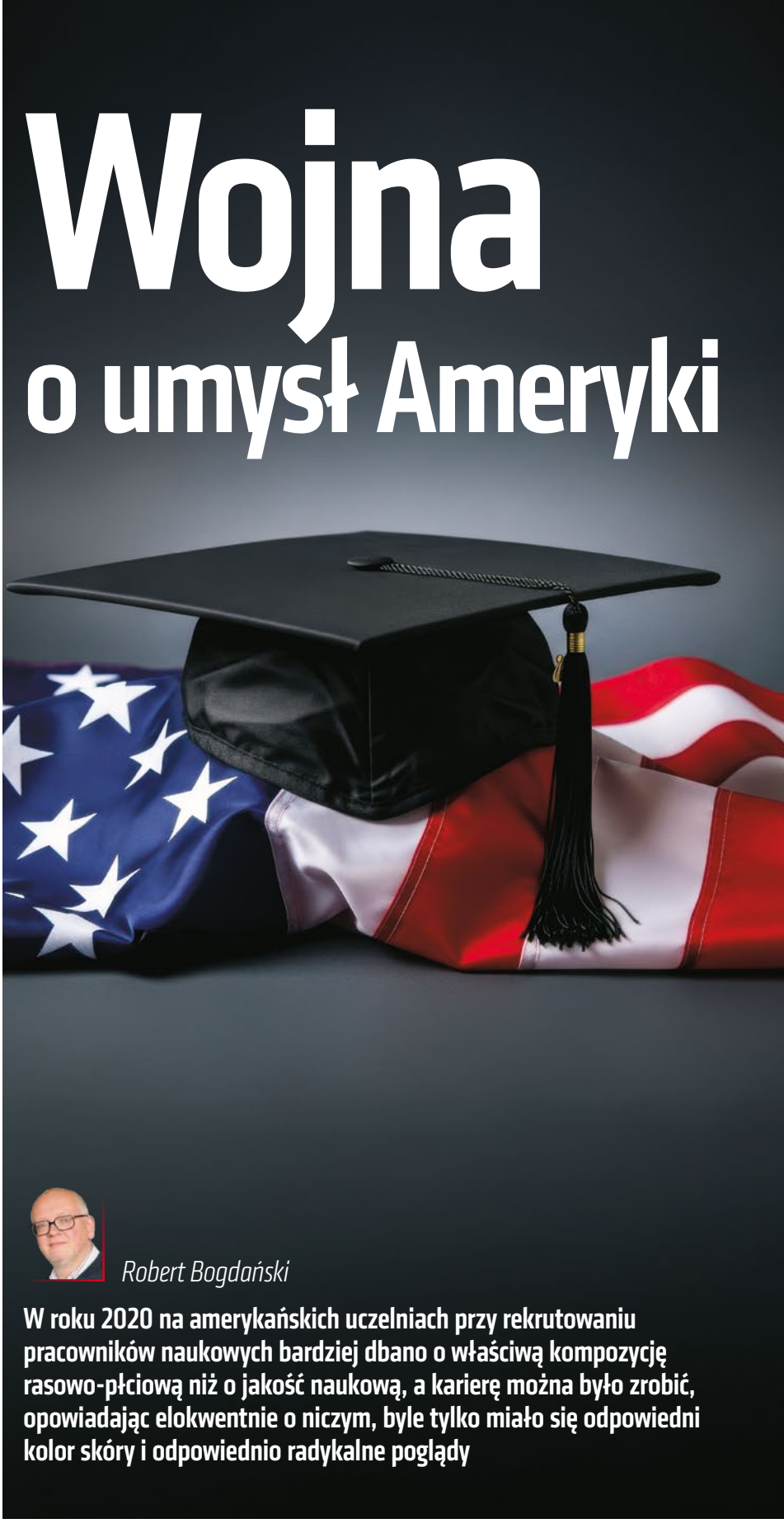

Robert Bogdański

W roku 2020 na amerykańskich uczelniach przy rekrutowaniu pracowników naukowych bardziej dbano o właściwą kompozycję rasowo-płciową niż o jakość naukową, a karierę można było zrobić, opowiadając elokwentnie o niczym, byle tylko miało się odpowiedni kolor skóry i odpowiednio radykalne poglądy

FOT. ADOBE STOCK

Potęgę Stanów Zjednoczonych zbudowały wyższe uczelnie. Nie wyłącznie rzecz jasna, ale bez nich Ameryka nie byłaby tak zdolna do adaptacji w zmieniającym się świecie i tak silna intelektualnie. Wolfgang Münchau, autor niedawno wydanej książki o niemieckiej gospodarce, wdzięcznie zatytułowanej „Kaput", jedną z przyczyn obecnych niemieckich problemów widzi w odpływie kadry naukowej z hitlerowskich Niemiec w latach 30. właśnie do Stanów Zjednoczonych. To dlatego, jego zdaniem, współczesne Niemcy są tak słabe w nowoczesnych technologiach. Ci, którzy mogli uczyć myśleć swoich, uciekli uczyć myśleć gdzie indziej. Wyrwa uczyniona przed prawie wiekiem nadal nie została w jego opinii zasypana, bo w nauce wszystkie głębokie zmiany powodują długotrwałe skutki, które są widoczne jeszcze po dziesięcioleciach, niczym kręgi na wodzie.

Dotyczy to jednak wszystkich – nie tylko Niemiec, lecz także Ameryki. Skoro przecież uznamy, że to uczelnie zbudowały jej potęgę, to mogą też przyczynić się do jej upadku – to logiczne. A wygląda na to, że w ostatnich dekadach zrobiono wiele, aby zmarnować to, co Ameryka dostała przez cały ten okres, gdy wysysała życiodajne intelektualne soki z innych krajów. Naukowe podwaliny światowego imperium mogą stracić swoją spoistość przez zjawisko zainfekowania ideologią. Donald Trump i jego obóz natychmiast po przyjściu do władzy postanowili się temu przeciwstawić i otworzyli bodaj najważniejszy front wojny, którą wytoczyli Ameryce uformowanej przez liberałów. I natychmiast, jak na prawdziwej wojnie, rejon starcia otoczyła „mgła wojny", która często uniemożliwia jasne zrekonstruowanie obrazu. Zwłaszcza że zaatakowane środowiska mają nie tylko wielką umiejętność kształtowania narracji, lecz także ogromne interesy finansowe.

FAULE I WYNATURZENIA

O co chodzi w tej wojnie? Według obrońców status quo – o niezależność wyższych uczelni, co jest doskonałym argumentem, bo na całym świecie większość ludzi zapytanych o to, czy władze powinny się mieszać do działalności uniwersytetów, odpowie odruchowo, że nie. Autonomia uczelni jest wartością, która każe ludziom zachodniej cywilizacji przy-

eprasa.pl 000991d239

mykać oko na rozmaite faule i wynaturzenia, które mają miejsce ma kampusach. W imię czego należy strzec tej autonomii? W imię wolności nauki oczywiście. Tu kończy się dialog, bo każdy, kto by chciał wieść z tym stanowiskiem spór, zostanie natychmiast zakwalifikowany jako niebezpieczny populista i – rzecz jasna – wróg nauki.

Jak zwykle na wojnie kluczowe informacje można pozyskać niekoniecznie z sejfów, w których trzyma się tajne plany, ale z prowadzonych przy włączonych mikrofonach rozmów oficerów drugiej linii. Oto dwoje dziennikarzy liberalnego „The Atlantic" postanowiło zdemaskować plany trumpistów, a przy okazji pokazało, jak wygląda pożądane przez nich status quo. Ciekawym założeniem tej rozmowy jest to, że wzorem dla ludzi Trumpa są orbanowskie Węgry. Jakichże czasów dożyliśmy – wydają się wzdychać – to nie wielka Ameryka wskazuje drogę, tylko zacofany europejski kraik wpływa na to, w jakim kierunku idzie wolny niegdyś świat, aktualnie jęczący w okowach szalonego prezydenta. Specjalista od edukacji Adam Harris wymienia ze zgrozą węgierskie priorytety: życie rodzinne, wiara chrześcijańska, pamięć historyczna i umocowanie w niej postaci konstytuujących społeczną świadomość. Zwłaszcza to ostatnie jest poważnym problemem dla rozmawiających, przywiązanych do akcji obalania pomników postaci, które zbudowały Amerykę, a którym następnie wytknięto rozmaite grzechy. „Oni chcą wzmocnić coś, co uważają za kulturowy fundament" – powiada Harris, a prowadząca rozmowę Hanna Rosin, autorka słynna ze swoich tekstów krytykujących obrzezanie, karmienie piersią i męską dominację, z niepokojem mu przytakuje.

Rozmówcy załamują ręce nad tym, że zmiany spowodują odejście od ideałów akademickich, a w pewnym momencie Harris powiada, że od lat umacnia się w opinii publicznej przekonanie, iż uczelnie nie uczą studentów, jak myśleć, tylko co myśleć. Rosin dopowiada, że w ten sposób konserwatyści krytykują liberalne uczelnie, ale za chwilę zgodnie odwracają narrację i przypisują tę ideę administracji Trumpa. Bo trumpiści zażądali pozbycia się ideologicznego gorsetu z języka i curriculum stosowanych przez uczelnie. Czynią to, używając nacisku administracyjnego i to właśnie jest przedstawiane jako ingerencja w akademicką wolność. Pewien europejski badacz, specjalizujący się w Chinach i graffiti, opublikował nawet artykuł, w którym porównał Donalda Trumpa do przewodniczącego Mao, który zamknął na 10 lat chińskie uniwersytety w czasie „rewolucji kulturalnej". Zdaniem tego naukowca Trump, wprowadzając zmiany w finansowaniu amerykańskich uczelni, aby je zmusić do rezygnacji z praktyk dyskryminacyjnych, robi w gruncie rzeczy to samo, co robił Mao: gwałci wolność akademicką. Jest w tej konstrukcji urocza mimowolna śmieszność: bezpośrednie porównanie swobód akademickich w Chinach czasów Mao i w liberalnej Ameryce. Chyba pan naukowiec nie dokończył myśleć...

„Nie możemy przyjąć białego" – usłyszał pewien członek uczelnianej komisji rekrutacyjnej z Princeton od przedstawiciela władz tego uniwersytetu

Nie ma oczywiście powodu, aby porównanie to traktować dosłownie, ale jeżeli uznamy, że w obu przypadkach chodzi o podporządkowanie świata nauki jednolitej ideologii, to coś będzie na rzeczy. Współczesną ideologią jest – ironicznie rzecz ujmując – różnorodność, która objawia się jako jednolitość. Równość, która ukrywa faworyzowanie niektórych. Wreszcie: inkluzywność, która po bliższym przyjrzeniu okazuje się dyskryminacją. W skrócie DEI: Diversity, Equality, Inclusion (Różnorodność, Równość, Inkluzywność).

NIE MOŻNA BYĆ NEUTRALNYM

W ubiegłym roku rektor Uniwersytetu Princeton, Christopher Eisgruber, został w czasie publicznej dyskusji zapytany, kto oprócz wymienionego z nazwiska naukowca ma u niego na uczelni poglądy konserwatywne. Przez dłuższą chwilę próbował znaleźć odpowiedź, ale zrezygnował, wywołując na sali wesołość, bo obecni wiedzieli doskonale, że już sam Eisgruber zadbał, żeby na jego uczelni było jak najmniej uczonych o „niewłaściwych" poglądach. Jest on jednym z najsłynniejszych w środowisku akademickim ludzi oskarżających uczelnie o „systemowy rasizm". Wystąpił z takim oskarżeniem przed pięciu laty, na fali protestów ruchu Black Lives Matter. Było to w czasie kampanii prezydenckiej, która zakończyła się wygraną Joe Bidena, i zostało wykorzystane przez demokratów do przekonania wzburzonych młodych ludzi, że tylko liberałowie są w stanie wyciągnąć Amerykę z rasistowskiego bagna, w które mieli wtrącić ją republikanie. To był czas, kiedy 20 proc. wyborców uznawało „stosunki rasowe" za najważniejszą kwestię społeczną i polityczną, więc grunt był podatny. Na amerykańskich uczelniach przy rekrutowaniu pracowników naukowych bardziej dbano więc o właściwą kompozycję rasowo-płciową niż o jakość naukową, a karierę można było zrobić, opowiadając elokwentnie o niczym, byle tylko miało się odpowiedni kolor skóry i odpowiednio radykalne poglądy.

Ot, taki były profesor uniwersytetu w Bostonie, przystojny i nieskazitelnie ubrany Ibram X. Kendi, po 2020 r. zrobił błyskawiczną i zawrotną karierę, mówiąc Amerykanom, że w wojnie z rasizmem nie można być neutralnym, bo kto nie jest antyrasistą, ten jest rasistą. Liberalna Ameryka ochoczo uwierzyła, że stosowanie tej zasady przeniesie ją nareszcie w świat w pełni inkluzywny, Kendi zebrał 55 mln dol. na centrum badania rasizmu, a elity tak go pokochały, że zdołał nawet wypuścić zaprojektowaną przez siebie serię ubrań, a „New York Times" regularnie zamieszczał teksty o jego lekturach do poduszki. Po kilku latach czar prysł, miałkość intelektualna nie wytrzymała próby czasu, centrum zamknięto, Kendi przeniósł się na inną uczelnię, a liberalni czytelnicy stracili zainteresowanie lekturami dawnego guru. Świat akademicki nie usunął go więc, a wchłonął. Już nie będzie zajmował statusu najwyższego autorytetu, będzie natomiast jako jeden z wielu kształtował obraz życia uniwersyteckiego. Jest w gronie tych, którzy mogliby się przeciwstawić jakimś praktykom, ale tego – z pełnym przekonaniem – nie uczynią.

A mogliby się przeciwstawić choćby praktykom rekrutacyjnym, które budują tkankę, z jakiej składa się społeczność akademicka. Pewien członek

eprasa.pl 000991d239

uczelnianej komisji rekrutacyjnej z Princeton, wypowiadając się oczywiście anonimowo z obawy przed reakcją „inkluzywistów", zacytował proste zdanie, które usłyszał od przedstawiciela władz uczelni: „Nie możemy przyjąć białego". Gdyby postąpił wbrew temu zaleceniu, zostałby zapewne, w myśl zaleceń pana Kendiego, okrzyknięty rasistą. Z lektury instrukcji dotyczącej polityki rekrutacyjnej innej czołowej uczelni, Uniwersytetu Harvarda, wynika wyraźnie, że celem rekrutacji pracowników naukowych jest nie tyle zatrudnienie najlepszych w branży, ile zadbanie o to, aby dostatecznie były wśród nich reprezentowane mniejszości etniczne i kobiety. Instrukcja mówi, że to ich aplikacje mają być czytane na początku, aby członkowie oceniającej komisji nie ulegli uprzedzeniom, a przewodniczący ma obowiązek, żeby na każdym etapie rekrutacji monitorować, czy skład etniczny listy kandydatów jest odpowiedni i czy jest na niej dostatecznie wiele kobiet. Harvard zaleca przy tym członkom komisji stosowanie dość wyrafinowanego narzędzia psychologicznego, aby oceniający mogli wykryć u siebie przejawy „nieuświadomionych uprzedzeń", mogących – o zgrozo! – wiązać np. w umyśle postać kobiety z rodziną, i to nawet gdy wyuczony politycznej poprawności członek komisji będzie przysięgał, że on rodziny to bynajmniej nie poważa.

JAK W ZWIĄZKU SOWIECKIM?

Brzmi to nieco jak owa słynna „schizofrenia bezobjawowa", na którą masowo zapadali dysydenci w ZSRS w czasach, gdy nie wypadało już wysyłać ludzi do łagrów, za to swobodnie można ich było zamknąć w psychuszkach na podstawie diagnoz przedstawianych przez ludzi z dyplomami lekarskimi. Badanie stosowane w Harvardzie nie jest oczywiście samo w sobie naukową szarlatanerią. Pozwala ono pokazać niejako drugie dno ludzkich poglądów, czyli to, co nie zawsze chcemy ujawniać, bo obawiamy się reakcji otoczenia, ale czemu możemy ulegać przy podejmowaniu decyzji. Problem nie w tym, że psychologowie takie badanie wymyślili i stosują w pracy naukowej, a w tym, że to badanie jest niemal obowiązkowo zalecane dla członków komisji rekrutacyjnych i może służyć ich dyscyplinowaniu. Jest to potencjalnie potężne narzędzie manipulacji, bo zawsze można powiedzieć, że jakaś ich decyzja wynika z ukrytych i nieuświadomionych uprzedzeń, i przed takim postawieniem sprawy nie będzie się można bronić. Bo niby jak, skoro są nieuświadomione? Jest to zresztą wygodne dla obu stron, bo z jednej strony pozwala władzom podejmować arbitralne decyzje, a z drugiej zdejmuje z delikwenta odpowiedzialność, skoro wszystko zachodzi w podświadomości. Jest to wygodna furtka dla kształtowania wśród pracowników naukowych zachowań konformistycznych: zamiast bronić swojego stanowiska, lepiej skorzystać z dobrodziejstwa nieświadomości i dać się bezboleśnie nawrócić na dobrą drogę.

Innym narzędziem kontroli są deklaracje DEI. Harvard uznał co prawda w ubiegłym roku, że nie będzie ich wymagał od wykładowców, ale nadal je zaleca, więc nacisk – choć bardziej subtelny – pozostaje. Sama deklaracja z pozoru wygląda dość niewinnie, jednak gdy jej się przyjrzeć bliżej, wzbudza niepokój: „Pochwalamy, akceptujemy i honorujemy wszystkie rodzaje środowisk, kultur, ras, tożsamości, doświadczeń życiowych, punktów widzenia, przekonań i wartości". Pod pozorem wszechogarniającej tolerancji deklaracja ta tworzy w istocie aksjologiczną pustkę. Widać tu abdykację od wartościowania, gdy przecież nauka musi wartościowanie stosować, by jej ustalenia były mierzalne i mogły podlegać krytyce. Brak tu też przedstawienia wartości pozytywnych, skoro jedyną wartością pozytywną jest akceptacja wszystkiego. Jest przy tym wątpliwe, czy uczelnia naprawdę stosuje się do tych zasad i faktycznie akceptuje wszystko i wszystkich. No przecież nie konserwatystów...

Fala protestów i przemocy na czołowych uczelniach, która przetoczyła się po zamachu na Izrael 7 października 2023 r. i po rozpoczęciu wojny w Gazie, pokazuje raczej, że akceptacja dotyczy głównie co bardziej radykalnych zwolenników Hamasu. Uczelnie pod wpływem propalestyńskich aktywistów zamieniły się w miejsca, gdzie studenci żydowscy (nie izraelscy) czuli się zagrożeni, a wszelkie próby dyskusji na argumenty były zakrzykiwane. Było to tym skuteczniejsze, że protestujący nie mieli wielkiego pojęcia o realiach. Pewien wykładowca z Uniwersytetu Kalifornijskiego postanowił sprawdzić, czy jego zaangażowani w sprawę palestyńską studenci wiedzą, co znaczy slogan „From the river to the sea, Palestine will be free" (Od rzeki do morza Palestyna będzie wolna). Zadał im więc pytanie, o jaką rzekę i jakie morze chodzi. Mniej więcej połowa sądziła, że chodzi o Missisipi i Atlantyk.

Do studentów przyłączali się wykładowcy. Ciekawym przykładem naukowego aktywizmu może być działalność prof. Jennifer Manly z Uniwersytetu Columbia, która przebrana w odblaskową kurtkę demonstrowała rok temu pod hasłem „Palestyna jest wszędzie", domagając się pozbawienia Izraela dostępu do amerykańskiej broni i próbując nie dopuścić do likwidacji blokady uniwersyteckiej biblioteki. Pani Manly jest neuropsychologiem. Broni ona np. tezy, że rasizm powoduje takie schorzenia jak choroba Alzheimera czy demencja. Te schorzenia występują w środowiskach czarnoskórych statystycznie częściej i badaczka dowodzi, że powodem tego są rasistowskie zachowania, których doznają. Można powiedzieć, że w jej osobie objawia się pewien ideał liberalnych środowisk akademickich: badacza poszukującego skutków rasizmu w obszarach, w których nikt normalny się ich nie spodziewa, a jednocześnie broniącego przed domniemaną opresją środowisk, których w danej chwili powinno się bronić (nie trzeba dodawać, że bierze ona aktywny udział w badaniach nad dobrostanem zdrowotnym środowisk LGBT+).

W ciągu ostatnich 20 lat Columbia otrzymała na działalność prof. Manly ok. 100 mln dol., co dowodnie pokazuje, jak dobrze, także w wymiarze finansowym, funkcjonuje sklejenie postępowości ze światem nauki. Na skutek działalności administracji Trumpa granty na tego typu badania mogą teraz przestać płynąć, więc trudno się dziwić, że ludzie tacy jak prof. Manly będą zaciekle protestowali, obawiając się utraty pieniędzy. Rząd federalny w ciągu ostatnich kilku miesięcy odebrał lub zamroził fundusze dla uczelni w kwocie wielu miliardów dolarów. Pewne uniwersytety postanowiły się ugiąć, pewne – jak Harvard – podjęły walkę prawną, której wynik jest niejasny. Szok, który wywołały te działania, może jednak stać się punktem zwrotnym i odwrócić ideologiczne szaleństwo. Czy odwróci?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

FOT. EXETER CITY COUNCIL/FACEBOOK

ŚMIECIARKA W OGNIU

Jeden mały akumulator do e-papierosów jest w stanie wyrządzić szkody o wartości ok. 25 tys. funtów. Tak się stało w Exeter (Wielka Brytania). Akumulator trafił do śmieci. Następnie wraz z nimi został załadowany do śmieciarki. I nic nie byłoby w tym nadzwyczajnego, gdyby się w niej nie zapalił. Wybuchł pożar, który w pojeździe stopił metalowe ściany pojemnika na odpady. Żywioł udało się strażakom szczęśliwie okiełznać. Władze miasta zaapelowały do jego mieszkańców o utylizację elektroniki.

KONOPIE W WALCU

Marihuanę o równowartości ok. 1 mln 250 tys. dol. odkryli policjanci w warsztacie w Itaúna (Brazylia). Narkotyk przechowywany był w walcu budowlanym. Znaleziono 1884 opakowania w kształcie tabliczek, w których były ukryte konopie. Łącznie ich waga wyniosła w przybliżeniu półtorej tony. Zatrzymano dwóch mężczyzn. Kilka dni wcześniej w pobliżu São Paulo drogówka zarekwirowała 800 kg marihuany przewożonej w ciężarówce ze złomem. Kierowca trafił do aresztu.

OBRAŻONY WSPÓŁLOKATOR

W serwisie społecznościowym Reddit jego użytkownik poskarżył się na swojego współlokatora, że ten notorycznie podbierał ze wspólnej lodówki zakupione przez tamtego produkty i nie uzupełniał w niej braków. W tej sytuacji mężczyzna, który poczuł się stratny, postanowił zabezpieczyć swoją żywność. Przełożył ją po prostu do własnej lodówki w swoim pokoju. Jego współlokator zarzucił mu, że jest drobiazgowy i psuje atmosferę.

ALARM BEZ POWODU

Aż 2,5 tys. berlińczyków systematycznie dzwoni pod numer alarmowy straży pożarnej – wynika z raportu tej służby. Jak się okazuje, w wielu przypadkach robią to bez znaczącego powodu. Tym samym blokują linie alarmowe i niepotrzebnie ściągają strażaków, kiedy ci są potrzebni gdzie indziej. Statystycznie w roku 2024 takich incydentów było przeciętnie ok. 80 każdego dnia.

ZAKAZANE LEKI

Posiadanie popularnych leków skutkuje w niektórych krajach odsiadką – ostrzega Brytyjczyków serwis The Sun. Okazuje się, że to, co dozwolone jest na Wyspach, gdzie indziej może się okazać zabronione. Lista jest długa, więc oto tylko dwa przykłady. I tak w Japonii można trafić za kratki, gdy podczas kontroli na lotnisku w bagażu zostaną znalezione przeciwhistaminowe leki na alergię. Z kolei w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zakazany jest środek na bezsenność temazepam. ©℗

Filip Memches

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Unijna strefa stagnacji

JACEK PRZYBYLSKI

To już pewne. Bułgaria od 1 stycznia 2026 r. będzie nowym członkiem strefy euro. Sprawozdanie potwierdzające, że kraj ten spełnia wszystkie kryteria, przyjął w ubiegłym tygodniu Parlament Europejski.

Euroentuzjaści świętują, choć najnowsze sondaże pokazują, że w samej Bułgarii wciąż minimalnie więcej jest przeciwników porzucenia narodowej waluty niż zwolenników przejścia na euro (46,8 proc. wobec 46,5 proc.). Argumentów przeciwko przechodzeniu na euro jest wiele. Główny brzmi: wiele państw, jedna stopa procentowa. Dlaczego? Wystarczy spojrzeć na dane z krajów, które przeszły na euro. Na przykład z Włoch. Kraj, w którym do początku XXI w. trwał „cud gospodarczy", przez dekady dotrzymywał kroku Niemcom.

Włoska waluta mogła bowiem dewaluować w stosunku do marki (i innych walut), co pozwalało na utrzymanie konkurencyjności włoskiej gospodarki. Efekt? Włochy były w latach 90. szóstym największym eksporterem towarów na świecie. Po przyjęciu euro cud nagle się skończył, we Włoszech odnotowano ujemny bilans handlowy. Za problemy obwinia się Włochów (biurokrację, korupcję, mafię etc.). Być może coś jest na rzeczy. Problem w tym, że po przyjęciu euro poziom zamożności spadł też np. na Słowacji.

Stagnacja panująca od miesięcy w strefie euro jest czynnikiem hamującym nawet polską gospodarkę (która na tle Niemiec czy Włoch jest już prawdziwym tygrysem). Niestety, 1 stycznia 2026 r. członkami Eurolandu będzie już 21 państw. Poza strefą pozostanie tylko sześć krajów: Polska, Dania, Czechy, Rumunia, Szwecja i Węgry. Presja ze strony eurokratów na dołączenie do unijnej strefy stagnacji może się więc nasilać... ©℗

eprasa.pl 000991d239

Wakacje w cieniu wojny

Maciej Pieczyński

Słoneczne plaże Odessy, zabytki Lwowa i Kijowa, piękno huculskiej przyrody oraz pełen atrakcji, komercyjny kurort górski Bukowel. Ukraina oferuje wiele ciekawych miejsc, w których można latem wypocząć i na chwilę zapomnieć o wojnie

Chociaż na froncie sytuacja jest trudna, a alarmy przeciwlotnicze niemal codziennie wybrzmiewają na terenie większości obwodów, to sezon wakacyjny nad Dnieprem trwa w najlepsze. Przed 2014 r. perłą ukraińskiej turystyki nadmorskiej był oczywiście Krym, odwiedzany przez licznych gości zagranicznych, zarówno z Zachodu (choćby z Polski), jak i z Rosji. Dziś na półwysep przyjeżdżają jedynie ci ostatni. I to tłumnie. Most Kerczeński jest permanentnie zakorkowany. Turystów nie odstraszają ani wojna, ani wyjątkowo zimna woda na czarnomorskim wybrzeżu Krymu (w czerwcu temperatura wahała się między 10 a 18 st. C, podczas gdy średnia z ostatnich lat to 21 st. C), ani wysokie ceny w kurortach, ani grudniowy wyciek mazutu z dwóch rosyjskich tankowców, którego skutki na florę i faunę wokół półwyspu odczuwalne są do dziś.

Jednak Krym, choć de iure ukraiński, de facto jest i najpewniej pozostanie rosyjski. Po aneksji półwyspu letnią stolicą kraju stała się więc Odessa. Zanieczyszczone i raczej przemysłowe niż turystyczne wybrzeże Morza Azowskiego z Mariupolem czy Berdiańskiem nie miałyby szans, by konkurować z położoną nad Morzem Czarnym metropolią i jej okolicami. Od początku pełnoskalowej inwazji Odessa była częstym obiektem rosyjskich ataków z powietrza, a także z morza. Tak jest również obecnie. Alarmy rozbrzmiewają prawie codziennie. W 2022 r. plaże w regionie były oficjalnie zamknięte, część z nich ogrodzona, co niektórych śmiałków nie powstrzymało przed ryzykiem. Rok później sytuacja nieco się zmieniła. W sierpniu 2023 r. otwarto część plaż, zakazując przy tym kąpieli w morzu. Odeskie kurorty zaczęły wracać do normalności w trzecim roku wojny. Turyści mogli nie tylko się opalać, lecz także wchodzić do wody na wybranych plażach. Dokładnie tak samo jest od początku bieżącego sezonu letniego. Według stanu na 8 lipca wakacyjną przygodę można przeżyć na 11 plażach w samej Odessie, a także w Czarnomorsku i niewielkiej wiosce Prymorśke. W trakcie sezonu zapewne zostaną dopuszczone do użytku kolejne. Jedną z otwartych odeskich plaż jest pierwsza na Ukrainie plaża inkluzywna, czyli dostosowana do osób niepełnosprawnych, które na wózkach inwalidzkich mogą po specjalnym podjeździe wjechać wprost do wody. Odwiedza ją wielu weteranów wojennych.

MINY ZAMIAST DELFINÓW

Każda otwarta oficjalnie plaża musi mieć nie więcej niż 500 m do najbliższego schronu przeciwlotniczego. Przed udostępnieniem dla turystów przybrzeżne wody oczyszczane są z min morskich i innych niebezpiecznych przedmiotów – odłamków rakiet itp. W praktyce jednak urlopowicze często ignorują oficjalne zakazy i odpoczywają również na plażach oficjalnie zamkniętych. Oblegane są m.in. Zatoka i Karolino-Buhaz – niezwykle popularne przed wojną kurorty, malowniczo położone na mierzei oddzielającej Morze Czarne od limanu Dniestru. Teoretycznie całkowicie zamknięte plaże w praktyce są po prostu plażami niestrzeżonymi. W tym jednak wypadku wypoczynek dla plaży niestrzeżonej jest niebezpieczny nie tylko z uwagi na brak ratownika, lecz także z tego względu, że w pobliżu nie ma schronu, a nieoczyszczone z ładunków wybuchowych morze jest pływającym polem minowym. Niektórzy nieodpowiedzialni plażowicze już się o tym przekonali. 7 czerwca podczas kąpieli w Zatoce dwóch mężczyzn (w tym jeden ukraiński żołnierz) zginęło od wybuchu miny morskiej.

Jednak nawet tam, gdzie władze pozwoliły korzystać z uroków Morza Czarnego, nie jest 100-procentowo bezpiecznie. W Egipcie na plażach umieszczane są tablice informacyjne, z których można się dowiedzieć, jakie rodzaje egzotycznych ryb można spotkać w wodzie. W Odessie na podobnych tablicach zamiast zdjęć delfinów (choć te akurat tam występują, a czasem nawet przypływają bardzo blisko brzegu) widnieją ostrzegawcze obrazki przedstawiające rodzaje min morskich. Po nocnych atakach morze bywa pełne zestrzelonych dronów, których odłamki fale znoszą na brzeg.

W Internecie można znaleźć mnóstwo nagrań przedstawiających, jak się bawią Ukraińcy nad Morzem Czarnym. Z perspektywy widza trudno nie zapomnieć, że tak wygląda nadmorski kurort w kraju ogarniętym wojną. Piękne plaże, słoneczna pogoda, tłumy ludzi, leżaki, parasole, punkty gastronomiczne. Temperatura wody niewiele ponad 20 st. C (8 lipca: 22,6 st. C). Niektórzy youtuberzy, pokazując Odessę, nawet słowem nie wspominają o wojnie. Do tej grupy nie należą Irina i Wiktoria, dwie siostry prowadzące kanał Na Pozytywnie. Na ich kanale można obejrzeć kilka filmów o tegorocznym sezonie. Na jednym z nich kobiety spacerują nad

eprasa.pl 000991d239

Na plaży w Czarnomorsku (obwód odeski) ludzie odpoczywają w pobliżu zasieków przeciw rosyjskim wojskowym okrętom desantowym, 9 lipca 2024 r.

FOT. NINA LIASHONOK/REUTERS/FORUM

brzegiem morza, a między jednym a drugim zdaniem na temat atrakcji turystycznych mimochodem wspominają o tym, że są niewyspane, bo w nocy kilka razy musiały wraz z sąsiadami schodzić do schronu z powodu nalotów, ale niemniej jednak, jak widać po tłumach na plaży, ludzi to nie odstrasza. „Wszyscy są zmęczeni, wszyscy chcą odpocząć, przyjechać na plażę, jakby strasznie nie było, odetchnąć i poopalać się" – to zdanie jednej z youtuberek jest kluczem do zrozumienia Ukraińców, którzy starają się normalnie żyć w nienormalnej sytuacji.

Ciekawy reportaż z Odessy nakręciła pod koniec czerwca ukraińskojęzyczna redakcja Deutsche Welle. O świcie nad miastem latały rosyjskie drony, a po południu nad morzem ogromne tłumy. Jedna z turystek w rozmowie z dziennikarzami radzi, którą z licznych odeskich plaż najlepiej wybrać: „Polecam Lanżeron, bo Arkadię ostrzeliwują". Inna, młoda uśmiechnięta kobieta z dzieckiem na rękach rozbrajająco stwierdza: „Tu jest bardzo komfortowo. Gdyby nie nocne czy poranne ataki (lotnicze), to w ogóle byłoby super". Humor dopisuje też starszej plażowiczce, która zachwyca się urokami kurortu, dostrzegając przy tym jednak pewne „minusy": „Jest przepięknie, tylko bardzo się boimy wybuchów. Wczorajszej nocy, między godziną drugą a trzecią, naliczyliśmy 42 wybuchy". Na pytanie dziennikarki o reakcję na alarm przeciwlotniczy padają odpowiedzi: „Zostaję na plaży. Wierzę w swoje szczęście"; „Nie uciekam. Przyzwyczaiłem się"; „Jak walnie, to walnie. Nic nie zrobisz". Wielu wierzy w skuteczność ukraińskiej obrony przeciwlotniczej. Wiceszef Obwodowej Administracji Wojskowej Ołeksandr Charłow przewiduje, że w tym roku Odessę odwiedzi dwa razy więcej turystów niż w poprzednim.

RZEKI, ZABYTKI I DZIKA PRZYRODA

Ukraińcy plażują również nad słodkowodnymi akwenami, w tym nad Dnieprem. Na południe od Kijowa w czasach sowieckich rzeka została przegrodzona zaporą, wskutek czego powstał Zbiornik Krzemieńczucki nazywany też morzem. Długi na 149 km i szeroki średnio na 25 km stał się jedną z ciekawszych atrakcji przyrodniczych kraju. W licznych miejscowościach nad jego brzegiem plaże pełne są turystów, którzy ryzykują z pewnością mniej niż w Odessie, nie mówiąc już o Zatoce. Z kolei mieszkańcy Kijowa nie muszą nawet opuszczać stolicy, żeby ochłodzić się w letnie dni. Na wyspach między lewym a prawym brzegiem Dniepru położone są liczne, bogate w infrastrukturę plaże. Na najpopularniejszą z nich – Hidropark – z Majdanu Niezależności w samym centrum miasta jedzie się cztery przystanki metrem.

Na początku lata Kijów, podobnie jak Odessa, jest szczególnie mocno nękany nocnymi bombardowaniami, ale w dzień (również tak samo jak czarnomorski kurort) miasto funkcjonuje w miarę normalnie. Jeśli kogoś nie przeraża ryzyko noclegu w schronie, to może zwiedzać kulturowe bogactwo dawnej stolicy Rusi – od Złotych Wrót, przez XI-wieczny sobór św. Zofii, monumentalny pomnik Matki Ojczyzny, monaster Ławra Kijowsko-Peczerska, aż do słynnego Majdanu. Natomiast ktoś, kto chce zwiedzać piękne miasto i czuć się przy tym bezpiecznie, powinien jednak wybrać pełen polskich (ale nie tylko polskich) śladów Lwów, którego centrum podczas wojny niemal nie ucierpiało.

Ukraina oferuje również wiele atrakcji dla wielbicieli turystyki górskiej. W tamtejszych Karpatach każdy może znaleźć coś dla siebie. Amatorzy dzikiej przyrody, stroniący od komercji i tłumów, mogą wybrać malowniczo położone nad Prutem Jaremcze. Również nad Prutem leży Kołomyja – ośrodek wciąż bardzo bogatej kultury ludowej Hucułów. A jeśli ktoś szuka zgiełku i pstrokatej, szerokiej palety atrakcji, to znajdzie to wszystko w Bukowelu. To największy na Ukrainie kurort narciarski, który oferuje mnóstwo możliwości również latem. Okoliczne góry można nie tylko zwiedzać w pieszych wędrówkach, lecz także podziwiać przy okazji, korzystając z takich rozrywek jak diabelski młyn, widokowy wyciąg linowy, tyrolka czy tor saneczkowy. Bukowel to także nowoczesne parki wodne, pełne basenów i zjeżdżalni, czy największe na Ukrainie sztuczne Jezioro Młodości, gdzie można zarówno pływać, jak i uprawiać sporty wodne. Od trzech lat w kurorcie funkcjonuje specjalny program rehabilitacji dla weteranów. Żołnierze ukraińscy przyjeżdżają tutaj z rodzinami na urlop, korzystając z darmowego noclegu, wyżywienia i atrakcji.

POUDAWAĆ NORMALNE ŻYCIE

„Wojna trwa, a Ukraińcy się bawią". Dla jednych to stwierdzenie zabrzmi jak rosyjska propaganda. Niesłusznie, bo nawet media nad Dnieprem chętnie nagłaśniają informacje o kolejnych otwieranych plażach czy atrakcyjnych kierunkach urlopowych. Drudzy dojdą do następującego wniosku: „Skoro mają czas, siłę i pieniądze, żeby odpoczywać, to znaczy, że ta ich wojna nie jest wcale taka straszna, a zatem nie powinniśmy im pomagać". I będzie to wniosek błędny, oparty na złej woli, braku wiedzy lub wyobraźni. Nawet podczas o wiele straszniejszej drugiej wojny światowej zarówno cywile, jak i żołnierze (również w Polsce) znajdowali czas, by odetchnąć, pobawić się, potańczyć. W powstańczej Warszawie AK-owcy masowo brali śluby, pomimo ostrzału. Trudno się dziwić Ukraińcom, że w przerwie między jednym a drugim nalotem dronów chcą odpocząć i przez moment chociażby poudawać normalne życie – żeby nie oszaleć i nie stracić nadziei. Mowa przecież nie o tych, którzy uciekli za granicę, ale o tych, którzy zostali, nie opuścili kraju pomimo wojny. Ukraińcy w dzień wygrzewają się na plaży, bo wiedzą, że to może być ich ostatni dzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Dopiero pod koniec czerwca w końcu udało się przegłosować wotum zaufania dla gabinetu premiera Ilie Bolojana

FOT. GUVERNUL ROMÂNIEI 2025

Prymus w tarapatach

Jacek Przybylski

Polityczny chaos, wysoki deficyt budżetowy, rosnący deficyt handlowy i coraz wyższe zadłużenie doprowadziły niedawnego unijnego lidera rozwoju i ulubieńca światowych inwestorów na krawędź przepaści. Skutki? Gospodarcza stagnacja, wysoka inflacja, podwyżki podatków, zamrożenie emerytur i masowe zwolnienia w budżetówce. Tym razem chodzi o Rumunię

Tętniący życiem Bukareszt, nazywany ze względu na piękną architekturę „małym Paryżem", przez ostatnie lata był świadkiem wyjątkowo prężnego rozwoju rumuńskiej gospodarki. W całym kraju w ciągu dekady do końca roku 2023 PKB na mieszkańca wzrosło średnio o ok. 50 proc. Takim wynikiem nie mogło się w tym czasie pochwalić żadne inne państwo członkowskie UE, choć Polska w tej kategorii znalazła się tuż za Rumunią.

Jeszcze wyższy wzrost Rumuni osiągnęli pod względem siły nabywczej dochodu na mieszkańca. W latach 2014–2023 wystrzelił on aż o 109 proc., podczas gdy w Polsce wzrost ten wyniósł „tylko" 67 proc. Według Eurostatu pod względem PKB na mieszkańca z zachowaniem parytetu siły nabywczej kraj ten zajął 20. miejsce, wyprzedzając nie tylko Węgry, Chorwację, Słowację, Łotwę, Grecję czy Bułgarię, lecz także Polskę. Według zachodnich analityków to właśnie Rumuni stali się najgroźniejszymi konkurentami Polaków w regionie. To bowiem kraj z dużą liczbą osób ambitnych i pracowitych z wyższym wykształceniem, a jednocześnie z istotnie niższymi cenami energii niż nad Wisłą i z niższymi płacami.

Władze Rumunii popełniły jednak fundamentalny błąd. Po wygranej kandydata uważanego za „skrajnie prawicowego" „ultranacjonalistę" i eurosceptyka w pierwszej turze wyborów prezydenckich Sąd Konstytucyjny podjął decyzję o unieważnieniu tego głosowania, nie pokazując jednak publicznie podstaw do takiego działania. Wywołał tym ogromne niezadowolenie społeczne, podsycił antyrządowe nastroje i nakręcił, nie taką wcale bezpodstawną, narrację o manipulacjach wyborczych po stronie władz w Bukareszcie. Niepokoje stały się jeszcze większe, gdy antysystemowemu kandydatowi Călinowi Georgescu nie pozwolono wystartować w powtórzonych wyborach. I chociaż w maju obecnego roku ostatecznie o włos z kandydatem prawicy George'em Simionem wygrał prozachodni kandydat Nicuşor Dan, to polityczny thriller wcale się nie zakończył.

Dopiero pod koniec czerwca, po trwających tygodniami politycznych przepychankach, w końcu udało się przegłosować wotum zaufania dla gabinetu premiera Ilie Bolojana, czyli lidera centroprawicowej Partii Narodowo-Liberalnej (PNL). Zatwierdzenie nowego szefa rządu w Bukareszcie zakończyło rządy techniczne. Rumuński premier znajduje się bowiem w sytuacji nie do pozazdroszczenia. W związku z fatalną sytuacją finansów publicznych nawet rząd składający się z tzw. prounijnych polityków – czyli głównie z reprezentantów Partii Narodowo-Liberalnej oraz Partii Socjaldemokratów – otwarcie wskazuje na naciski z Brukseli jako na główną przyczynę wprowadzenia pakietu fiskalnego, który ma znacząco ograniczyć deficyt sektora finansów publicznych.

WYGNANI Z RAJU... PODATKOWEGO

Lista bolesnych reform, które mają sprawić, że Rumunia spróbuje uniknąć gospodarczego krachu, jest długa. Rząd planuje podwyższenie stawki podatku VAT z 19 aż do 21 proc., stawki liniowego podatku dochodowego z 10 do 16 proc., podwyższenie akcyzy, wprowadzenie nowego podatku od hazardu, likwidację aż 167 tys. miejsc pracy w administracji publicznej (co oznacza wyrzucenie nawet co piątego pracownika budżetówki), a także zamrożenie wysokości emerytur

eprasa.pl 000991d239

oraz wynagrodzeń w sektorze publicznym. Euroentuzjaści z rządu w Bukareszcie zamierzali także ograniczyć dodatki i dni wolne za pracę w warunkach niebezpiecznych, ale zaprotestowali przeciw temu nawet pracownicy kancelarii premiera, więc na razie debatę w tej sprawie odroczono.

UTRATA ZAUFANIA INWESTORÓW

Pakiet reform ma być wprowadzany stopniowo. Pierwsze zmiany wejdą w życie już w sierpniu tego roku. Kolejne – ograniczenie wspomnianych wyżej dodatków do wynagrodzeń, zmniejszenie liczby stypendiów dla uczniów, wprowadzenie modelu współpłacenia za korzystanie z opieki zdrowotnej czy nowe zasady wyliczania zasiłków chorobowych – od stycznia 2026 r. Od początku nowego roku podwyższone zostaną kolejne podatki: tym razem kolejny raz wzrośnie podatek od dywidend (od stycznia 2025 r. wzrósł z 8 do 10 proc., a od stycznia 2026 r. ma wynosić aż 16 proc., co raczej nie będzie zachęcało do inwestycji na giełdzie w Bukareszcie). Na żądanie Komisji Europejskiej w górę pójdą też podatki lokalne, m.in. od samochodów i nieruchomości.

Podwyżki kolejnych podatków sprawiają, że zagraniczni inwestorzy nie będą już mogli postrzegać Rumunii jako europejskiego raju podatkowego. Proponowane przez rząd w Bukareszcie gorzkie lekarstwo, polegające głównie na bardzo mocnym zaciskaniu pasa, jest szczególnie bolesne w kraju, który od kilku miesięcy jest niechlubnym liderem pod względem tempa wzrostu cen w Unii Europejskiej. W kwietniu inflacja konsumencka wynosiła w Rumunii 4,9 proc. w skali roku, a w maju wzrosła do 5,5 proc., czyli najwyższego poziomu od ponad roku. Owoce zdrożały rok do roku o 18,8 proc., a warzywa o 14,4 proc. Rumuński bank centralny podniósł na razie prognozę inflacji do 5,1 proc. na koniec drugiego kwartału. Podwyżka stawek VAT i akcyzy jeszcze bardziej nakręci inflacyjną spiralę. Konsumenci bardzo boleśnie odczują również wprowadzone od lipca odmrożenie cen prądu dla gospodarstw domowych.

Gwałtowny wzrost kosztów życia jest wynikiem m.in. wyraźnego osłabienia rumuńskiej waluty (leja), do którego doprowadziła utrata zaufania wśród zagranicznych inwestorów, wynikająca z poważnego kryzysu politycznego oraz fatalnych decyzji kolejnych rządów w Bukareszcie. Niskie podatki, wysokie wydatki, brak dyscypliny finansów publicznych, podwyżki wynagrodzeń dla pracowników sektora publicznego, ulgi podatkowe dla pracowników branży IT, rolnictwa, przemysłu spożywczego i budownictwa oraz zbyt hojne transfery socjalne doprowadziły rumuński deficyt budżetowy do poziomu 9,3 proc. PKB. I to nie jest wcale ostatnie słowo nieodpowiedzialnych rządzących w Bukareszcie. Wprawdzie to już teraz najgorszy wynik wśród wszystkich krajów Unii Europejskiej, dalszy wzrost deficytu jest jednak coraz bardziej prawdopodobny (choć deficyt budżetowy w krajach UE nie powinien przekraczać 3 proc. PKB).

Rumunia procedurą nadmiernego deficytu objęta jest już od pięciu lat i mimo prounijnego rządu może wkrótce stracić dostęp do środków – zarówno z polityki spójności, jak i Instrumentu

REKLAMA

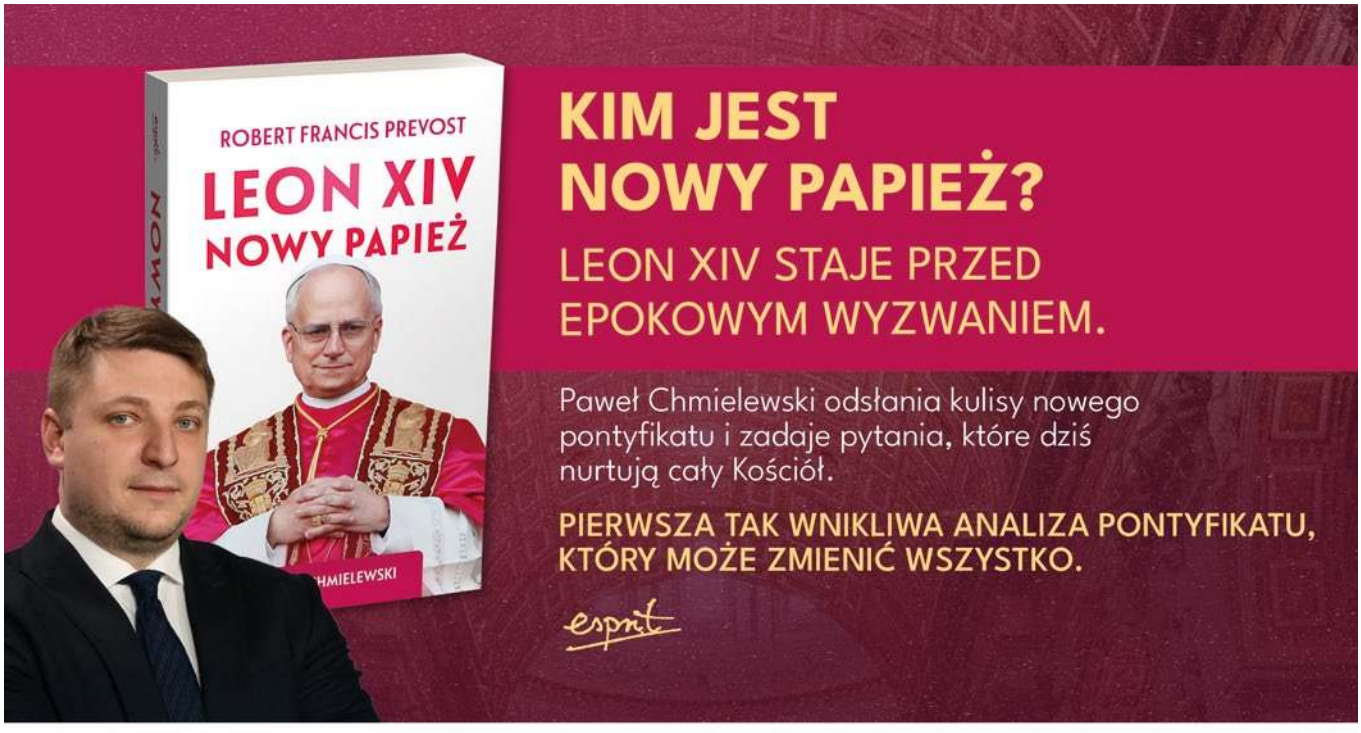

ZAMÓW NA WWW.ESPRIT.COM.PL LUB POD NUMEREM TELEFONU: 12 262 35 51

eprasa.pl 000991d239

na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności (RRF). Komisja Europejska stwierdziła bowiem w czerwcu obecnego roku, że władze w Bukareszcie nie podjęły stosownych działań naprawczych, i dała rumuńskim władzom czas do 15 października na przedstawienie wiarygodnego planu sprowadzenia deficytu budżetowego do poziomu 2,8 proc. w roku 2030. Na szczęście zaproponowany wstępnie przez władze w Bukareszcie plan radykalnych oszczędności na tyle spodobał się unijnym urzędnikom, że w ubiegłą środę władzom Rumunii udało się na razie uniknąć negatywnych rekomendacji w ramach procedury nadmiernego deficytu UE.

DŁUGI ROSNĄ, A GOSPODARKA NIE

Rekordowy deficyt to niejedyny problem władz w Bukareszcie. Dramatycznie szybko rośnie również zadłużenie Rumunii. Według analiz ekonomistów w tym roku może ono osiągnąć poziom 59,3 proc. PKB, a w roku przyszłym – nawet 62,7 proc.

Ze względu na rosnące zadłużenie deficyt budżetowy (mimo starań istnieje znaczące ryzyko, że w tym roku znów przekroczy on 9 proc.) oraz utrzymujący się polityczny chaos, międzynarodowe agencje ratingowe – Fitch, Moody's oraz S&P – obniżyły perspektywę ratingu Rumunii ze stabilnej na negatywną. To zaś wywołało łatwą do przewidzenia reakcję zagranicznych inwestorów, którzy zażądali wyższej premii za ryzyko, windując rentowność 10-letnich obligacji do poziomu ponad 8 proc.

Ekonomiści nie mają złudzeń: gwałtownie rosnące ceny błyskawicznie doprowadzą do pogorszenia nastrojów wśród konsumentów, którzy będą wydawać dużo mniej. Zastrzyk funduszy unijnych może nieco złagodzić negatywny wpływ na gospodarkę spadku realnych dochodów ludności, ale i tak tempo wzrostu PKB istotnie spadnie.

Jest zatem prawdopodobne, że Rumunię czeka kolejna fala emigracji zarobkowej. Szacuje się, że od 2007 r. w poszukiwaniu wyższych zarobków i lepszego poziomu życia z Rumunii wyjechało od 3 do 5 mln osób, które od lat pracują na wzrost gospodarczy Niemiec, Włoch, Hiszpanii oraz Francji. Prężny rozwój rumuńskiej gospodarski sprawił co prawda, że rok 2024 był pierwszym od wejścia Rumunii do UE, w którym do ojczyzny na stałe wróciło więcej osób, niż zdecydowało się ją opuścić, ale fatalna sytuacja gospodarcza i polityczna, niesprzyjająca kontynuacji, mogą ten trend znów odwrócić.

To tym bardziej prawdopodobne, że analitycy różnych instytucji już tną prognozy rozwoju rumuńskiej gospodarki. W czerwcu ekonomiści Banku Światowego zredukowali prognozę tempa wzrostu PKB w Rumunii w roku 2025 do zaledwie 1,3 proc. (z 2,1 proc. prognozowanych jeszcze w styczniu) i do 1,9 proc. w 2026 r. (z 2,6 proc. szacowanych na początku roku). Według Banku Światowego Rumunia ma wrócić na dawną ścieżkę szybkiego wzrostu dopiero w 2027 r. – wówczas gospodarka tego kraju ma rozwijać się w tempie 2,5 proc. rocznie.

Dla współrządzących Rumunią socjaldemokratów szybkie, radykalne cięcia wydatków są wymarzonym rozwiązaniem. Zgodnie z umową koalicyjną premier Bolojan ma bowiem ustąpić ze stanowiska w kwietniu 2027 r. Wówczas Partia Socjaldemokratów (PSD) wystawi swojego kandydata, który winę za wszystko, co złe, zrzuci na poprzednika, a przed wyborami parlamentarnymi w roku 2028 będzie mógł chwalić się pierwszymi pozytywnymi efektami reform. I byłby to dla socjaldemokratów niezły scenariusz, przy założeniu, że gospodarka na dłużej nie pogrąży się w zapaści. I że Rumuni którzy już w ubiegłym roku pokazali, iż mają dość obecnego układu, który kojarzy im się z kolesiostwem i korupcyjnymi układami, zagłosują zgodnie z ich oczekiwaniami, w najbliższych wyborach masowo nie poprą reprezentantów zdroworozsądkowej prawicy.

ALARM DLA POLSKI

Problemy Rumunii oznaczają, że kraj ten może na jakiś czas zapomnieć o próbie dogonienia polskiej gospodarki. Są jednocześnie ważnym sygnałem ostrzegawczym dla władz w Warszawie. Polska pozostaje liderem wzrostu gospodarczego w Europie Środkowej i Wschodniej głównie dzięki bardzo ciężkiej pracy naszych przedsiębiorców. Dzięki niej nasza gospodarka, z tempem wzrostu przekraczającym w tym roku 3 proc., błyszczy nie tylko na tle słabiutkiej strefy euro, ale ma w tym roku rozwinąć się na tyle mocno, aby wyprzedzić Szwajcarię i zająć 20. miejsce wśród największych gospodarek świata. Jednocześnie fatalne decyzje polskich polityków sprawiają, że niebezpiecznie rosną zarówno deficyt budżetowy, jak i polski dług publiczny. Polska z deficytem finansów publicznych na poziomie 6,6 proc. PKB zajęła w 2024 r. niechlubne drugie miejsce – tuż po Rumunii – wśród państw o najwyższym deficycie w Unii Europejskiej. I podobnie jak Rumunia oraz pięć innych krajów zostaliśmy objęci unijną procedurą nadmiernego deficytu.

Przerośnięty obecny rząd – który, wbrew obietnicom odchudzenia administracji, jest jednym z największych w Europie gabinetów pod względem liczby ministrów i wiceministrów – niebezpiecznym dla Polski szlakiem podąża również w kategorii długu publicznego. W 2024 r. sięgał on 55,3 proc. PKB. W ciągu roku dług Polski wzrósł o niemal 19 proc. i aż o 5,8 punkt procentowy w stosunku do PKB. W całej UE podobnie zadłużyła się w tym okresie jedynie Rumunia (wzrost o 5,9 p.p.), ale i tak udało się jej w zeszłym roku utrzymać niższą relację długu do PKB (54,8 proc.).

Tymczasem gdy pojawiły się szacunki mówiące, że już w tym roku zadłużenie Rumunii może przekroczyć poziom 61 proc. PKB, niemiecki „Die Welt" alarmował, że „sytuacja jest dramatyczna", i ostrzegał, że w kraju na unijnych peryferiach może wybuchnąć ogromny kryzys finansowy. W tym samym czasie w Polsce według danych Ministerstwa Finansów dług publiczny wzrósł już w pierwszym kwartale 2025 r. do 57,4 proc. PKB, czyli do ponad 2,12 bln zł. Zadłużenie Polski w ciągu trzech miesięcy urosło aż o 111 mld zł. Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński ostrzegł zatem na lipcowej konferencji, że już w 2026 r. dług publiczny Polski pierwszy raz w historii przekroczy 60 proc. w relacji do PKB.

– Bardzo szybkie narastanie długu niepokoi, bo stwarza ryzyko dla stabilności makroekonomicznej, w tym dla długookresowej stabilności cen – czyli dla inflacji – ostrzegł prezes Glapiński. Aby zobaczyć, jakie jeszcze ryzyko niesie nierozsądna polityka rządu, wystarczy spojrzeć na Rumunię…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nawrocki obnaży cynizm?

Coraz więcej wskazuje na to, że prezydent Karol Nawrocki już na początku urzędowania zaprezentuje spory pakiet projektów ustaw. I to nie tylko ustaw „zwyczajnych", lecz także takich, których wejście w życie oznaczałoby dla wielu podatników bardzo dużą ulgę finansową. A jednocześnie dla budżetu państwa, wskutek ubytku w nim pieniędzy tychże podatników – wielki spadek wpływów, co przy obecnym, ogromnym, przekraczającym 6 proc. PKB deficycie, oznaczałoby prawdziwy armagedon. Armagedon zapoczątkowany przez premiera Morawieckiego z PiS idącym w setki miliardów rozdawnictwem na hojne dodatki socjalne, na szokująco wysokie podwyżki pensji lekarzy i pielęgniarek, na akurat potrzebne zbrojenia itd. – bo lista jest długa, który to armagedon rozkręca teraz premier Tusk z PO, „pewną ręką" pchający dług Polski do przebicia przezeń już w tym roku granicy 60 proc. PKB.

A wracając do projektów ustaw, które ma przedstawić prezydent Nawrocki. Otóż chodzi o te – niektóre obiecywane przez Tuska przed wyborami w 2023 r. – które wprowadziłyby PIT-0 dla rodziców z co najmniej dwojgiem dzieci i ulgi dla przedsiębiorców, podniosłyby drugi próg PIT do 140 tys. zł, zlikwidowałyby podatek Belki oraz gwarantowałyby waloryzacje emerytur „minimum o 150 zł i zawsze powyżej inflacji". Już koszt „tylko" tych zmian skutkowałby co roku – jak wyliczył money.pl – ubytkiem w budżecie państwa 19 mld zł. A przecież „mówi się", że wśród projektów ustaw, które przedstawi Nawrocki, będzie także ta – też obiecywana przez Tuska w 2023 r. – dotycząca podniesienia do 60 tys. zł kwoty wolnej od PIT, która oznaczałaby dla budżetu Polski ubytek kolejnych aż 55 mld zł rocznie. Czyli, krótko mówiąc, prezydent Nawrocki zaprezentuje projekty ustaw, których wejście w życie bez jednoczesnego wskazania sposobu zmniejszenia wydatków państwa o kwotę, o którą zmniejszyłyby się wskutek ich wprowadzenia wpływy, albo sposobu zwiększenia o tę kwotę pozostałych lub wprowadzenia nowych podatków drastycznie pogorszyłoby – jeśli nie wręcz zrujnowałoby – finanse publiczne Polski.

Czy Nawrocki chce to zrobić dlatego, żeby w ten – przewrotny? – sposób obnażyć cynizm polityków? A jeśli tak, to czy tylko tych obiecujących gruszki na wierzbie z PO czy także tych z PiS – obiecujących podobne gruszki na wierzbie? No, chyba że Nawrocki chce projekty tych ustaw zgłosić na serio, bo sam wskaże te wydatki („800+"?, 13. i 14. emerytury? Jakieś inne?), które należy ograniczyć lub/i te podatki (akcyza na paliwo?), które należy podnieść, aby jego projekty ustaw mogły wejść w życie bez szkody dla finansów Polski. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Słaby koniec prezydenta Dudy

Jeśli ktoś czytał kilka tygodni temu moje podsumowanie kończącej się prezydentury Andrzeja Dudy („DRz" nr 23/2025), to nie będzie dla niego zaskoczeniem, że nie oceniam tych 10 lat urzędowania wysoko. A w relacji do oczekiwań oceniam je wręcz słabo, momentami fatalnie. Jest już jednak pewną perwersją, że na sam koniec odchodząca głowa państwa postanawia za wszelką cenę upewnić mnie, że tak właśnie myśląc, mam absolutnie rację.

Aż boję się myśleć, co jeszcze w ostatnich dniach urzędowania może zrobić obecna głowa państwa

Ustawa zmieniająca Kodeks karny poprzez wprowadzenie do niego przepisów umożliwiających ściganie za „mowę nienawiści" była z pewnością jedną z najgroźniejszych regulacji, które obecna władza przeforsowała od rozpoczęcia rządów. Zadziwiające zatem, że prezydent – jeszcze przed wyborami prezydenckimi – zamiast użyć weta, do którego obalenia potrzeba 276 głosów, zdecydował się skierować ustawę do Trybunału Konstytucyjnego. Nie dość, że nieuznawanego przez obecnie rządzących – co mogłoby oznaczać, że nawet niekorzystny wyrok zostanie zlekceważony – to jeszcze ryzykując, że Rafał Trzaskowski wygrawszy wybory, ustawę natychmiast z TK wycofa i podpisze. Andrzej Duda dotąd nie wyjaśnił motywów swojej dziwnej decyzji.

Jakby jednak tego było mało, na finiszu urzędowania postanowił wycofać z TK własny wniosek w zakresie przesłanki dotyczącej niepełnosprawności (pozostałe dodane do istniejących przepisów to wiek, płeć i orientacja seksualna). To niepojęta decyzja. Nawet jeśli przyjąć, że niepełnosprawność dorzucono do przepisu tylko po to, żeby mniej rzucała się w oczy przesłanka z orientacji seksualnej czy płci, to i tak cała zmiana zasługuje na wyrzucenie do kosza, a przesłanka z niepełnosprawności także będzie umożliwiała ograniczanie wolności słowa.

Aż boję się myśleć, co jeszcze w ostatnich dniach urzędowania może zrobić obecna głowa państwa. A może prezydent mógłby po prostu pojechać na urlop i wrócić dopiero 6 sierpnia, prosto na zaprzysiężenie swojego następcy? ©℗

eprasa.pl 000991d239

Donald Trump i jego współpracownicy po podpisaniu One Big Beautiful Bill Act

FOT. KEN CEDENO/REUTERS/FORUM

Wstęp do trumponomiki

Jakub Wozinski

Wbrew krytykom flagowej ustawy Trumpa likdwidacja absurdalnych przeszkód tworzonych przez zieloną politykę, wzmocnienie bezpieczeństwa oraz pozostawienie większej ilości pieniędzy w kieszeniach obywateli i firm przełożą się na dynamiczny wzrost

Tego, że Musk i Trump kiedyś się poróżnią, można było być pewnym właściwie już od pierwszych dni urzędowania nowej administracji. Właściciel Tesli właściwie nie odstępował amerykańskiego prezydenta o krok i można było wręcz odnieść wrażenie, że to on, a nie J.D. Vance sprawuje funkcję wiceprezydenta.

Pretekstu do tej aktywności dostarczała mu posada szefa DOGE, czyli Departamentu do spraw Efektywności Rządu. Musk od samego początku chciał być jednak zdecydowanie kimś ważniejszym i zaczął regularnie bywać na naradach w Białym Domu. W jednym z wywiadów przyznał nawet, że zdarzało mu się spędzać tam noce. A jeśli nie spał w prezydenckiej rezydencji, to za lokum służyły mu pobliskie budynki przeznaczone dla DOGE.

Od dawna wiadomo, że Elon Musk jest pracoholikiem, który potrafi bez reszty rzucić się w wir obowiązków związanych z prowadzeniem swoich licznych biznesów. W tym jednak przypadku rzucenie się w wir zakończyło się dla niego podbitym okiem. Autorem pokaźnego lima pod okiem miliardera miał być sekretarz skarbu Scott Bessent, który pod koniec maja podsumował w ten sposób kilkumiesięczne bliskie relacje Muska z Białym Domem.

Szczegółów całego sporu o pozycję w hierarchii nie znamy, lecz można zakładać, że Musk chciał narzucić administracji Trumpa taki sam styl zarządzania, który preferuje w swoich spółkach. Ów styl polega zaś na wyznaczaniu sobie śmiałych celów i szybkich terminów realizacji, ciągłej weryfikacji swoich działań oraz na promowaniu płaskiej struktury organizacyjnej. Administracja publiczna rządzi się jednak zupełnie innymi regułami, a na dodatek przynajmniej kilku najbliższym osobom z otoczenia Trumpa nie spodobało się to, że tak wiele do powiedzenia ma osoba spoza oficjalnej, partyjnej hierarchii.

SPÓR O COŚ WIĘCEJ NIŻ DEFICYT

Musk odważył się przeprowadzić pierwszy frontalny atak na politykę Trumpa dokładnie 28 maja, gdy w jednym z wywiadów skrytykował flagową ustawę One Big Beautiful Bill Act (OBBBA) za to, że zwiększa deficyt budżetowy i podważa pracę zespołu DOGE. Wypowiedź ta uruchomiła prawdziwą lawinę dalszych oskarżeń i ripost ze strony prezydenta, a swego rodzaju kulminacją sporu była wyrażona przez Elona Muska sugestia, że Donald Trump celowo blokuje upublicznienie danych dotyczących śledztwa w sprawie tzw. wyspy Epsteina, ponieważ sam był jej gościem.

Szczegółowe analizowanie całej kłótni jest zajęciem bezcelowym. Dużo bardziej interesujące jest natomiast prześledzenie tego, co dokładnie zawiera Jedna Wielka Wspaniała Ustawa, która wzbudziła tak wielkie protesty ze strony Muska oraz

eprasa.pl 000991d239

części republikanów. Niecodzienna nazwa, którą nadał jej Trump, odzwierciedla całokształt zmian, które wprowadza w obszarach stanowiących priorytet jego drugiej kadencji. Obecny prezydent ewidentnie lubi działać brawurowo, o czym świadczy choćby jednoczesne zmuszenie całego świata do negocjacji w sprawie nowych umów handlowych, i niewątpliwie wyrazem brawury jest umieszczenie tak wielu propozycji w zaledwie jednym akcie prawnym.

W OBBBA znaleźć można realizację większości najważniejszych obietnic wyborczych, w szczególności tych dotyczących polityki klimatycznej. Trump chce anulować 500 mld dol. przeznaczonych na dotacje przewidziane w ramach Inflation Reduction Act Bidena (m.in. na auta elektryczne), a także ułatwić eksploatację paliw kopalnych, tak aby USA miały możliwie jak najtańszą energię. Oprócz tego w ustawie zapisano liczne ulgi podatkowe (m.in. na napiwki, nadgodziny i dzieci), ograniczenia w publicznej opiece medycznej oraz korzystne zmiany w rozliczeniach podatkowych dla biznesu.

Jedna Wielka Piękna Ustawa zawiera także komponent obronny oraz związany z ochroną granic. Aby ocalić Stany Zjednoczone przed niekontrolowanym zalewem imigrantów oraz wzmocnić potencjał militarny (w szczególności flotę wojenną), Trump zaproponował zwiększenie wydatków w tych dziedzinach na łączną kwotę 200 mld dol. do 2030 r. W planach są m.in. zatrudnienie dodatkowych 10 tys. strażników do pilnowania granic czy też budowa nowych murów na granicy.

Planując przedłużenie ulg podatkowych, z których większość Trump wprowadził jeszcze w 2017 r., amerykański prezydent nominalnie uszczupla dochody budżetowe aż o 4 bln dol. w ciągu najbliższych 10 lat. Nawet uwzględniając to, że w innych obszarach ustawa ogranicza wydatki o nawet 3,3 bln dol., w ostatecznym rozrachunku przekłada się to na pogłębienie deficytu. I właśnie ten fakt stał się dla Muska przyczyną gwałtownego protestu. Gdy pod koniec czerwca wydawało się, że jest już na najlepszej drodze do pogodzenia się z Trumpem, przy okazji głosowania nad ustawą w Senacie miał miejsce kolejny wybuch jego złości. Tym razem Musk nazwał ustawę OBBBA „ohydną", na co Trump zareagował dywagacjami na temat możliwej deportacji bilionera do RPA oraz odebraniem dotacji dla jego licznych spółek korzystających z publicznych programów.

WYBUCHOWY MUSK I CHŁODNA GŁOWA PREZYDENTA

Po stronie Muska w sporze o ustawę stanęli głównie libertarianie, tacy jak senator Rand Paul czy też kongresmen Thomas Massie. Ich argumenty sprowadzają się do pryncypialnego odrzucania propozycji Trumpa z samego tylko faktu, że powiększa wydatki przy rekordowo wysokim deficycie. Libertariańscy krytycy OBBBA nie zauważają przy tym tego, że całokształt zmian podejmowanych przez Trumpa może przynieść zupełnie inne efekty, niż się powszechnie sądzi. Po pierwsze, już samo odejście od polityki klimatycznej i uwolnienie energetyki ze zrównoważonego gorsetu pomoże wypracować gospodarczy wzrost, w ślad za którym przyjdą wyższe przychody do budżetu. Podobne skutki przyniosą także niższe podatki płacone dzięki zapisanym w ustawie ulgom, które pozwolą pobudzić aktywność gospodarczą oraz zwiększyć nakłady inwestycyjne.

Trwający spór między Trumpem a Muskiem pokazał wyraźnie, że drugiemu z nich ewidentnie brakuje chłodnej głowy w kryzysowych momentach. Trump posiada za to rzadką umiejętność twardego stania przy swoich założeniach i ich realizacji nawet przy zmasowanej krytyce. Świetną tego ilustracją jest choćby trwający wciąż spór handlowy z całym światem, który zdaniem wielu miał już dawno temu przynieść USA katastrofę. Okazuje się tymczasem, że strategia obrana przez Trumpa okazała się mistrzowska: ceny towarów i usług nie zaczęły rosnąć, za to wpływy do budżetu znacząco się zwiększyły.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tego samego rodzaju efekt wystąpi w następstwie przyjęcia OBBBA. Likwidacja absurdalnych przeszkód tworzonych przez zieloną politykę, ułatwienia w produkcji taniej energii, wzmocnienie bezpieczeństwa oraz pozostawienie większej ilości pieniędzy w kieszeniach obywateli i firm przełożą się na dynamiczny wzrost i pomogą ograniczyć deficyt.

Zwracający uwagę na ryzyko związane ze zwiększaniem deficytu w krótszym okresie mają oczywiście trochę racji, ponieważ stan finansów publicznych amerykańskiego państwa naprawdę pozostawia wiele do życzenia. Biorąc jednak pod uwagę to, jak trudno jest przeprowadzić ważne ustawy przez cały proces legislacyjny, nie powinni się dziwić Trumpowi, że zdecydował się umieścić wszystko w jednym pakiecie, aby móc jak najszybciej wdrażać w życie swój wyborczy program. Parlamentarna batalia o uchwalenie każdego dużego komponentu OBBBA z osobna wiązałaby się z dużymi opóźnieniami i daleko idącymi kompromisami.

ELON NA DOPŁATACH

Ze zrozumieniem tej logiki spore problemy ma niestety Musk, który kwestię rozdmuchanych wydatków publicznych postrzega dość wybiórczo. Wytknął mu to sam Trump, który na swoim portalu Truth napisał: „Bez rządowych dopłat Elon musiałby zapewne zamknąć swój interes i wracać do domu w RPA […]. Nie wysyłając jego rakiet i satelitów oraz nie dotując produkcji jego aut elektrycznych, nasze państwo zaoszczędziłoby fortunę. Być może powinniśmy sprawić, żeby przyjrzał się temu DOGE? Można by zaoszczędzić naprawdę wielkie pieniądze!".

Warto przypomnieć, że to nie pierwszy spór obu dżentelmenów. W 2016 r. Musk został przez Trumpa zaproszony do rady doradczej, lecz wystąpił z niej na znak protestu po tym, jak w 2017 r. prezydent wycofał Stany Zjednoczone z paryskiego porozumienia klimatycznego. Od tamtego wydarzenia Musk przeszedł znaczną metamorfozę, stając się coraz bardziej sceptyczny wobec polityki klimatycznej oraz czyniąc z platformy X prawdziwą ostoję wolności słowa. W przeciwieństwie do niego Trump od lat zasadniczo nie zmienia swoich poglądów i nie daje się tak łatwo ponosić emocjom.

Elon Musk z pewnością chciałby sam rządzić, ale zgodnie z konstytucją, nie będąc urodzonym na amerykańskiej ziemi, nie ma na to szans. Złośliwie można więc stwierdzić, że pozostaje mu już tylko kolonizacja Marsa, na którym – jak wielokrotnie zapewniał – mogłaby powstać cywilizacyjna alternatywa dla krępującej wolność społeczności ziemskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

Cezary Gmyz

Warszawscy piaskarze z dna Wisły wyciągnęli elementy architektoniczne, które zabezpieczyli naukowcy. Musiało minąć ponad 100 lat, żeby okazało się, że nie było to pojedyncze odkrycie, ale zaledwie początek archeologicznej eksploracji królowej polskich rzek

Akcja wydobycia z dna Wisły drogocennych przedmiotów zrabowanych przez Szwedów z Zamku Królewskiego w Warszawie podczas ich najazdu w XVII w. FOT. MARZENA HMIELEWICZ I MARCIN JAMKOWSKI/FORUM

Wisła skarbów

Od lat wśród wodniaków krążą opowieści o licznych skarbach zatopionych w nurtach Wisły. Jako żywo przypominają one historię złotego pociągu rozbudzającego wyobraźnię poszukiwaczy skarbów na całym świecie. Jedna z opowieści snutych przy ogniskach mówi o szkucie wypełnionej skarbami, która miała zatonąć gdzieś w okolicach Warszawy w czasie potopu szwedzkiego. Najbardziej pobudzające wyobraźnię opowieści mówią o beczkach i skrzyniach wypełnionych złotem, ale nie sposób trafić na żadne historyczne dokumenty potwierdzające, że aż takie skarby kryją nurty Wisły. Nie oznacza to jednak, że wody największej polskiej rzeki skarbów nie kryją. Owszem, kryją i są one stopniowo odkrywane. Od przeszło 100 lat. I to właśnie w Warszawie oraz jej okolicach. Kto jednak wie, czy lato obecnego roku nie będzie najobfitsze w cenne znaleziska.

W sukurs poszukiwaczom i odkrywcom przychodzą rekordowo niskie poziomy rzeki. Zazwyczaj mieliśmy z nimi do czynienia w okolicach sierpnia, kiedy upalne lato powodowało wystąpienie tzw. niżówek. W tym roku rekordy już na początku lipca zostały pobite.

W praktyce oznacza to, że na dużej części mazowieckiego odcinka Wisły rzeka pokaże swoje dno i to, co się na nim znajduje. Pierwsze odkrycie zostało już dokonane zaledwie kilkanaście dni temu, bo 1 lipca. Wędkarz, który udał się na połów w okolicy Tarchomina, dostrzegł wystający metalowy przedmiot. Wyciągnął go na brzeg, zabezpieczył i wezwał służby konserwatorskie, które orzekły, że to średniowieczny miecz mogący pochodzić nawet z XIII w. – czyli z okresu, kiedy Warszawa była skromną osadą i jeszcze nawet nie pretendowała do miana stolicy Polski.

BALUSTRADY, POSADZKI, KLATKI SCHODOWE

Jednak to odkrycie układa się w dłuższy ciąg zdarzeń w odkrywaniu wiślańskich skarbów na Mazowszu. Pierwsze istotne znaleziska odkryto w roku 1906. Odkrycia nie były jednak związane z niskim stanem Wisły, tylko z wydobywaniem z dna rzeki piasku. Przy tej okazji warszawscy piaskarze z dna Wisły wyciągnęli elementy architektoniczne, które zabezpieczyli naukowcy. Musiało minąć ponad 100 lat, żeby okazało się, że nie było to pojedyncze odkrycie, ale zaledwie początek archeologicznej eksploracji Wisły. Intensywne poszukiwania zostały zainicjowane przez dr. Huberta Kowalskiego z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. To właśnie on odkrył potencjał wynikający z obniżenia się poziomu rzeki na skutek następujących po sobie okresów suszy. Odkrycia przeszły najśmielsze oczekiwania. Większości z nich dokonano na wysokości Golędzinowa. W sumie na warszawskim odcinku Wisły wydobyto aż 20 ton elementów architektonicznych – balustrad, posadzek, a nawet całych klatek schodowych, w większości z drogocennego marmuru. Większość znalezisk zidentyfikowano jako wyposażenie Villa Regia, czyli letniej rezydencji Wazów wzniesionej przez króla Władysława IV w latach 1637–1642. Projektantem tego wspaniałego pałacu był włoski architekt Giovanni Trevano. Rezydencję przebudowano za czasów króla Jana Kazimierza w 1652 r. To właśnie od imienia tego władcy stojący w tym miejscu do dziś gmach nosi miano Pałacu Kazimierzowskiego. Nie ma on wiele wspólnego z Villa Regia. Ta bowiem padła ofiarą potopu szwedzkiego.

Jak powszechnie wiadomo, to właśnie najazd szwedzki był największym rabunkiem polskich dóbr kultury do czasów drugiej wojny światowej. Ofiarą tego rabunkowego szału padła również Villa Regia. Dość powiedzieć, że po zakończeniu grabieży z gmachu pozostały gołe mury i dwie wieże. Dziś wiemy, że najcenniejsze, marmurowe elementy załadowano na statki z zamiarem wywiezienia ich do Szwecji. Rabusie jednak nie upłynęli daleko. Zaledwie kilka kilometrów. Można się jedynie domyślać, że katastrofę spowodowały przeciążenie

eprasa.pl 000991d239

statków oraz nieumiejętność żeglowania na szkutach wiślanych, które też zapewne zostały zrabowane Polakom. Rzecz w tym, że szkuty ze względu na specyficzne warunki wiślane miały specjalną konstrukcję i żeglowanie nimi wymagało równie specyficznych umiejętności, a przede wszystkim bardzo dokładnego rozmieszczenia ładunku. Tyle że szkuty miały niższe burty niż te, do których byli przyzwyczajani Szwedzi. Nieumiejętne rozmieszczenie, zwłaszcza ciężkiego ładunku, którym były marmury, mogło spowodować przechył jednostki na bok, co skutkowało przelewaniem się wody przez burty i w rezultacie zatopieniem szkuty.

Choć rabunek Villa Regia był oczywiście niewyobrażalną stratą, to paradoks historii sprawił, że być może już zapewne niedługo będziemy mogli oglądać jej wyposażenie w Arkadach Kubickiego. Rzecz w tym, że – jak pokazują dalsze losy Pałacu Kazimierzowskiego – jego wyposażenie pewnie nie dotrwałoby do naszych czasów. Pożar z roku 1695 doszczętnie strawił budynek. Do kolejnego pożaru doszło po jego odbudowie w roku 1814. Kolejne zniszczenia przyniosła druga wojna światowa, a zwłaszcza powstanie warszawskie. Na razie znalezione elementy Villa Regia przechowywane są w policyjnym hangarze nad Wisłą. Miejmy nadzieję, że w tym roku archeolodzy wydobędą z dna rzeki kolejne artefakty.

Wyposażenie pałacu Wazów to oczywiście jeden z najistotniejszych wiślanych skarbów, ale przecież nie jedyny. W roku 2009 Katarzyna Łuczak-Jasińska, właścicielka gospodarstwa agroturystycznego Dworek Czersk, postanowiła wykopać w swoim sadzie staw. Co ciekawe, jakieś ćwierć wieku wcześniej podczas prac w tym sadzie odkryto fragment tego statku, a konkretnie stewę dziobową. Jednak wówczas nie zauważono, że to część większej całości. Dopiero w roku 2008 zidentyfikowano, że jest to cały wrak. W sierpniu roku 2009 naukowcy z Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku pod kierownictwem dr. Waldemara Ossowskiego

Wyposażenie pałacu Wazów to jeden z najistotniejszych wiślanych skarbów, ale nie jedyny

wypompowali wodę i ich oczom ukazała się niemal kompletna szkuta imponujących rozmiarów. Dość powiedzieć, że jednostka była dłuższa o kilka metrów od słynnej „Santa Maria", na której Kolumb odkrył Amerykę, i miała porównywalną do niej szerokość ok. 7 metrów. Badania dendrologiczne pokazały, że szkuta została wybudowana wcześniej niż „Santa Maria", bo ok. 1480 r. Po badaniach przeprowadzonych w roku 2009 wrak zalano i zasypano piaskiem, odcinając dostęp powietrza. Ponownie odkopano go niespełna 10 lat później. Szkutę rozebrano na części i przewieziono do specjalnie wybudowanej pracowni konserwatorskiej w Rybnie koło Sochaczewa. Należy ona do Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Obecnie trwa konserwacja wraku. Używa się do niej bardzo podobnych metod jak w przypadku okrętu „Waza" („Wasa"), który eksponowany jest w Sztokholmie. Drewno jest osuszane bardzo wolno i równocześnie nasycane poliglikolami oraz suszone. To pozwala zachować oryginalną strukturę drewna liczącego sobie ponad 500 lat. Proces ten może potrwać jeszcze kilka lat. Jego koszt szacowany jest na 3 mln zł. Docelowo szkuta ma być eksponowana w Muzeum Żeglugi Wiślanej w Czersku. Co ciekawe, w Czersku dziś Wisła nie płynie. Przed wiekami jednak nurt rzeki obmywał słynny zamek czerski, a przypuszczalnie u jego stóp znajdował się port, w którym bazowała szkuta. Siły natury, czyli odsunięcie się nurtu rzeki i jednocześnie zamulenie się tego terenu, sprawiły, że szkuta przetrwała do naszych czasów, i mamy nadzieję, iż już wkrótce będzie eksponowana.

Miecz wikinga znaleziony we Włocławku w 2024 r.

FOT. MUZEUM ZIEMI KUJAWSKIEJ I DOBRZYŃSKIEJ

MIECZ WIKINGA

Wisła wciąż jednak pozostaje miejscem, gdzie są możliwe kolejne odkrycia. W ubiegłym roku na wysokości Łomianek Dolnych w pobliżu Wyspy Kiełpińskiej zlokalizowano pozostałości statku szwedzkiego z XVII w. To jedno z tych miejsc, które wymagają dalszej eksploracji. Susza jednak odkrywa kolejne zabytki. Również w ubiegłym roku u ujścia Narwi do Wisły odkryto jedną z najstarszych łodzi drewnianych – tzw. dłubankę. Jej wiek jeszcze nie został ustalony, ale jest możliwe, że może być starsza niż szkuta czerska, bo to konstrukcja znana jeszcze w czasach prehistorycznych. Inna sprawa, że na Polesiu dłubanek używano jeszcze w latach 30. XX w.

Jednak w Wiśle jest cała masa zabytków z różnych epok. Susza pozwoliła m.in. na odkrycie miejsca, gdzie spoczywa prawdopodobnie wrak słynnej „Bajki". Był to statek wycieczkowy, zajęty przez powstańców w pierwszych dniach sierpnia roku 1944, który po tym, jak osiadł na dnie, służył jako powstańcza reduta. Ale takich statków jest znacznie więcej, bo w czasie powstania zatopiono wiele jednostek, by wymienić „Żeromskiego", „Krakusa", „Stanisława", „Belgię", „Warneńczyka", „Łokietka", „Fausta" i „Halkę".

Podobnie na swoich odkrywców czekają wraki Oddziału Wydzielonego Rzeki Wisły, które w dużej części zostały zatopione przez swoje własne załogi, by nie wpadły w ręce Niemców podczas kampanii wrześniowej.

Niewykluczone, że Wisła nas zaskoczy jeszcze nieraz. Przypomnijmy, że również w ubiegłym roku w basenie portowym we Włocławku odkryto chyba najstarszy artefakt tego typu w Polsce, a mianowicie miecz wikinga datowany na początki państwa polskiego. To pokazuje, jak wiele tajemnic jeszcze kryje królowa rzek polskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 000991d239

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Opolczyk na kolanach w Mogile

JACEK KOMUDA

Klasztor oo. Cystersów w Mogile, dziś dzielnicy Nowej Huty, ufundowany w 1222 r. przez biskupa krakowskiego Iwa Odrowąża, jest jednym z najwspanialszych zabytków Małopolski. Powiemy więcej o wydarzeniu, które rozegrało się tutaj 16 maja 1389 r. Otóż do klasztoru przywieziono wówczas pod strażą Władysława Opolczyka, księcia opolskiego, a także dobrzyńskiego i kujawskiego. Ukorzył się przed królem Władysławem Jagiełłą, oskarżony o próbę zamachu stanu i zajęcia siłą… zamku na Wawelu.

Opolczyk pozostawił po sobie czarną kartę w dziejach Polski. Pod wieloma względami przypominał jednak wielu współczesnych polityków, ze wskazaniem na Koalicję Obywatelską. Chorobliwie ambitny przez całe życie marzył o koronie Królestwa Polskiego; jednocześnie wszystkie jego intrygi brały w łeb. Zaczął nienawidzić szlachty i Polski, gdyż te nie chciały dać mu królewskiej władzy.

RYS. MART

Urodził się jako rodowity Piast, syn księcia Bolka II Opolskiego ze Śląska. Pierwszą porażkę poniósł w czasie bezkrólewia po śmierci Kazimierza Wielkiego, kiedy rada królewska odrzuciła jego kandydaturę, uznając, że książęta śląscy, którzy poddali władzy władcy Czech, stali się niegodni tego zaszczytu. Opolczyk związał się z królem Ludwikiem Węgierskim, który sprawował rządy w Polsce i został zaufanym sługą władcy, za co ten odwdzięczył się, nadając Władysławowi w lenno ziemię wieluńską przy granicy ze Śląskiem, z prawem bicia własnej monety, a w 1372 r. uczynił go namiestnikiem Rusi Czerwonej. Jednak wcale nie przysporzyło mu to popularności. Kiedy Ludwik w 1378 r. wyznaczył go na wielkorządcę w Polsce, wywołało to ogromny sprzeciw; na zjazdach w Wiślicy i Gnieźnie szlachta zażądała usunięcia go z urzędu, wysłała też poselstwo do króla na Węgry. Ludwik ostatecznie pozbawił Władysława tej godności, ale nagrodził mu jej utratę, przekazując mu ziemie po zmarłym księciu Kaźku pomorskim, a także duży pas terenów na pograniczu brandenbursko-krzyżackim – Bydgoszcz, Złotów, Wałcz i część Kujaw z Inowrocławiem, Gniewkowem i Złotoryją.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

I właśnie o te włości Opolczyk skłócony był z nowym królem Polski – Władysławem Jagiełłą. Kiedy bowiem władca przekazał Bydgoszcz książętom pomorskim w zamian za sojusz przeciwko Krzyżakom, Opolczyk postanowił zemścić się na królu. Skoro Jagiełło chciał pozbawić go najważniejszego miasta będącego w jego posiadaniu, to postanowił, że w zamian pozbawi władcę… zamku na Wawelu!

Na szczęście zamach przygotowany był równie nieudolnie co pozostałe intrygi Opolczyka. W niedzielę 16 maja 1389 r., kiedy król wyjechał do klasztoru w podkrakowskiej Mogile, książę Władysław przyjechał do Krakowa z pocztem zbrojnych. Następnie nakazał im pojedynczo przekradać się do zamku. Wzbudziło to podejrzenie starosty Sędziwoja z Szubina, który kazał ich schwytać i wziąć na spytki. Natychmiast wyznali, że ich pan przygotował zamach stanu. Ależ zaskoczony byłby Jagiełło, gdyby po powrocie z klasztoru Cystersów znalazł zamknięte bramy i zamek na Wawelu obsadzony przez ludzi Opolczyka! Na szczęście do tego nie doszło. Sędziwój bowiem pozamykał bramy miejskie, a księcia schwytał i kazał przewieźć do Mogiły, gdzie przebywał Jagiełło.

Książę opolski i tym razem potrafił się wykpić od kary. Ukorzył się, zapewne padł na kolana przed królem w opactwie Cystersów, choć prawdę powiedziawszy, powinien dać gardło. Co więcej, potrafił nawet wzbudzić u monarchy żal, gdyż Jagiełło ostatecznie zgodził się nie odbierać mu Bydgoszczy, a książętom pomorskim nadał w zamian Nakło.

Chociaż w kolejnych latach Opolczyk wspierał króla i nawet poręczył za jego długi, to jego dalsza działalność godna jest potępienia. Zadłużony u Krzyżaków zaczął zastawiać im kolejne zamki i miasteczka, ostatecznie zastawił całą ziemię dobrzyńską i zaproponował Wielkiemu Mistrzowi rozbiór Polski pomiędzy Węgry, Marchię Brandenburską i Czechy w 1392 r., czego zaskoczony Krzyżak nie przyjął. Ostatecznie król Polski kazał odebrać mu wszystkie jego włości, obawiając się, że za długi księcia przejmą je Krzyżacy. Doprowadziło to do ubezwłasnowolnienia Opolczyka przez własnych krewnych i objęcie go swoistą kuratelą, w czasie której zmarł w 1401 r. Jedyną pamiątką jego życia jest ufundowany przezeń sławny i dzisiaj klasztor oo. Paulinów w Częstochowie. ©℗

eprasa.pl 000991d239

NISSAN QASHQAI E-POWER

FOT. JAP

Popularny kompaktowy crossover japońskiej marki po udanym liftingu został wyposażony w innowacyjny układ hybrydowy, który świetnie łączy zalety tradycyjnego silnika spalinowego z pracą silnika elektrycznego. Trzycylindrowy silnik spalinowy nie napędza bezpośrednio kół, a jedynie generuje energię dla jednostki elektrycznej. Dzięki takiemu rozwiązaniu we wnętrzu panuje (przeważnie) bardzo przyjemna cisza, auto ma stosunkowo niewielki apetyt na paliwo (na trasie można zejść nawet poniżej 5 l/100 km, a średnie spalanie w mieście, na trasie i na autostradzie oscyluje w okolicach 6,2 l/100), jednocześnie jest bardziej dynamiczne niż tradycyjne hybrydy (sprint od zera do setki zajmuje mu 7,9 s, z kolei w trybie Sport auto robi się wyjątkowo zwinne). A co najważniejsze: ciesząc się cichą jazdą jak u „elektryków", można równocześnie korzystać z wolności posiadacza tradycyjnego auta spalinowego (nie trzeba zatem planować wakacyjnych podróży od szybkiej ładowarki do szybkiej ładowarki z i tak długim czasem doładowania energii).

Auto z silnikiem o mocy 190 KM dobrze się prowadzi. Chociaż nie jest to wóz dla rajdowców, to – niczym w „elektryku" – Qashqai błyskawicznie reaguje na dociśnięcie pedału gazu (maksymalny moment obrotowy to 250 Nm). Jednocześnie jeśli nie pędzi się zawrotnymi prędkościami na autostradzie (powyżej 140 km/h napęd e-Power nie jest najlepszy), to silnika benzynowego niemal w ogóle nie słychać. A nawet jak się na dłużej go włącza, to i tak nie słychać wycia, buczenia czy innych strasznych dźwięków występujących czasem u konkurencji. Szkoda jednak, że nawet w najdroższej wersji występuje wyłącznie z napędem na przednią oś.

Qashqai wygląda stylowo zarówno z zewnątrz, jak i w środku. Wewnątrz główną rolę odgrywa 12,3-calowy ekran systemu, który wreszcie wygląda i działa, jak przystało na drugą dekadę XXI w. Praktycznym dodatkiem jest też kolorowy head-up display (HUD). Kabina jest przestronna (z miejscem przed kolanami i nad głową) oraz ergonomiczna (z dużą liczbą schowków i praktyczną półką na smartfona z indukcyjną ładowarką). Projektanci flagowego crossovera nie zapomnieli o wygodnych, fizycznych przyciskach. System multimedialny jest intuicyjny, a Apple Car i Android Auto są obsługiwane nawet bezprzewodowo. Fotele są wygodne. Jakość materiałów przypomina zaś auta klasy premium. Jednocześnie dzięki miękkim zamszowym wstawkom na desce rozdzielczej i boczkach drzwi wnętrze zrobiło się przytulne. Z kolei ambientowe podświetlenie może zbudować romantyczny nastrój. Wyciszenie jest dobre, choć nie najlepsze w swojej klasie. Kufer ma 504 l pojemności. Szału nie ma, ale tragedii też nie.

Qashqai w wersji e-Power kosztuje co najmniej 157,2 tys. zł. Cena w przyzwoicie wyposażonej wersji N-Design wynosi 184,4 tys. zł, a za najwyższą odmianę Tekna+ zapłacić trzeba już 192,2 tys. zł. ©℗

SŁUCHAWKI BEZPRZEWODOWE SONOS ACE

Rewelacyjna technologia redukcji hałasu, świetne brzmienie, wysoka jakość wykonania, świetna bateria oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety słuchawek klasy premium amerykańskiej marki Sonos.

Chociaż testowany model premierę miał w 2024 r., to kilka tygodni temu udostępniono bezpłatne aktualizacje, które znacząco zwiększyły jego możliwości. I nie jest to tylko marketingowe bajdurzenie. Po pierwsze, model ten zyskał wyraźnie lepszą redukcję szumów. Technologia ANC w czasie rzeczywistym uwzględnia teraz również nieszczelności, które wynikają np. z faktu noszenia okularów, nakrycia głowy lub posiadania bujnej czupryny. Po najnowszej aktualizacji Sonos stał się groźnym konkurentem dla takich firm jak Sony, Bose, Apple czy Sennheiser w kategorii najlepszych modeli słuchawek dla osób często podróżujących samolotami, pociągami, tramwajami etc., a także dla tych, które na co dzień pracują w hałaśliwym środowisku (czyli np. w biurach typu open office).

Poza efektywnością działania ANC po wielu godzinach docenić można również wyjątkowo wysoki komfort użytkowania tego modelu.

Z punktu widzenia jakości dźwięku Sonos Ace wśród innych modeli słuchawek ANC wypada bardzo dobrze. Przestrzenny Dolby Atmos, bezstratny dźwięk przez Bluetooth 5.4 lub USB-C, obsługa kodeków SBC, AAC, aptX Lossless – to tylko niektóre powody, dla których ten model brzmi świetnie. Dobrze słychać wokal (który ma w tych słuchawkach ciepłe, ale realistyczne brzmienie). Model ten oferuje też mnóstwo dynamiki oraz detali zarówno w zakresie niskich tonów, jak i tych średnich oraz – w większości przypadków – wysokich. Zadowoleni powinni być miłośnicy rocka, a także klasyki czy jazzu. Najważniejszą nową funkcją jest True Cinema, która dostosowuje brzmienie do akustyki pomieszczenia i poprawia jakość dźwięku przestrzennego. Podczas oglądania filmów jest świetnie, ale podczas słuchania muzyki dźwięki wydają się momentami zanadto skompresowane, co audiofilów może nie zadowolić. Ogromnym plusem jest świetna bateria (wystarcza na 30 godzin), która błyskawicznie się ładuje (trzy minuty wystarczają na trzy godziny słuchania).

Minusy? Nie da się w nich uprawiać sportu na zewnątrz (m.in. ze względu na brak odporności na wodę). Jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych jest przyzwoita, ale mogłaby być lepsza. Zaskakująco ubogi jest również korektor graficzny. Cena: 1599 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 000991d239

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Porzeczki

Lato nas rozpieszcza. Ledwo skończą się truskawki (choć wciąż można je kupić – zwłaszcza rumba, słodka ich odmiana, smakuje w tym roku wyśmienicie), zaczynają się porzeczki.

I to one tak naprawdę są najbardziej charakterystycznym smakiem wakacji. Owocują w lipcu, gdy już zdążyliśmy wyjechać na wakacje i nacieszyć się słońcem. Trzy kolory i trzy smaki. My najbardziej lubimy czarne, które mają dojrzały, zdecydowany smak. Ale bardzo często wykorzystujemy w kuchni także czerwone. Są śliczne! Jak czerwone koraliki zdobią każdą potrawę. Są kwaśne i orzeźwiające, więc można dodawać je i do mięs, i do słodkości.

Na targu sprzedawane są w małych pudełeczkach, ale my pamiętamy, jak wielkim utrapieniem było ich zrywanie, gdy krzewy porzeczek ładnie obrodziły. Ta praca wydawała się nie mieć końca! Jednak efekt był wart wysiłku! Babcia przerabiała je na dżemy i piekła ciasta. Czerwone porzeczki są bogate w witaminy z grupy B, witaminę C oraz minerały, takie jak wapń, fosfor, magnez i potas. Ponadto zawierają duże ilości antocyjanów i flawonoidów. Poprawiają wygląd skóry, odporność, pracę serca i sen, a dzięki zawartości melatoniny – wzrok.

Najprostszym daniem z porzeczek jest kompot. Trzeba je obrać z szypułek, zalać zimną wodą i ugotować. Można dodać trochę cukru i popijać w upalne dni.

FOT. ADOBE STOCK

Proponujemy także ciasto z porzeczkami.

Ciasto z porzeczkami

• 200 g masła • 200 g cukru pudru • 4 jajka • 250 g mąki • 1 łyżeczka proszku do pieczenia

Kruszonka

• 80 g masła • 100 g cukru • 150 g mąki • 500 g porzeczek • cukier puder

Masło i jajka trzeba wyjąć wcześniej z lodówki (masło pokroić w kosteczkę i odłożyć, aby zmiękło). Porzeczki należy opłukać, dokładnie osuszyć i oderwać owoce od gałązek, ale zostawić kilka gałązek dla ozdoby – położymy je z kawałkiem upieczonego ciasta.

Przygotować kruszonkę: na małym ogniu na patelni roztopić masło, dodać cukier, a po chwili mąkę, wymieszać, zdjąć z patelni, ostudzić (np. w lodówce).

Piekarnik nagrzać do 180 st. C. Formę – może być okrągła – wysmarować masłem.

Ciasto: ucieramy miękkie masło z cukrem pudrem na gładką i puszystą masę. Gdy składniki się połączą, nie przerywając ubijania, dodajemy po kolei jajka, mniej więcej co 3 min jedno. Przesianą mąkę, wymieszaną z proszkiem do pieczenia, partiami dosypujemy do maślanej masy, za każdym razem miksując na średnich obrotach miksera do połączenia się składników w jednolite ciasto. Następnie przekładamy je do formy, na wierzchu rozkładamy porzeczki – można dać ich sporo. Posypujemy kruszonką i wstawiamy do nagrzanego piekarnika. Pieczemy ok. 60 min (sprawdzamy patyczkiem, czy ciasto się nie przylepia). Wyjmujemy z piekarnika i posypujemy cukrem pudrem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na paznokcie

Na przystanku tramwajowym dwie dziewczynki w wieku późnej podstawówki porównują swoje paznokcie. U obu są bardzo długie, na oko wystające ok. 15 mm poza opuszki. U jednej każdy pazurek ma inny kolor, a dodatkowo jest ozdobiony naklejkami, brokatem czy czymś takim. Druga ma jasny lakier opalizujący kolorami.

Jak one tymi palcami mogą pisać? Jak coś zrobić w domu? Jeśli chodzi o użycie klawiatury, to sprawę mają opanowaną. Nieraz obserwowałam kasjerki w supermarkecie czy panie w urzędzie umiejętnie odginające palec na zewnątrz, tak żeby nie dotykał klawiszy opuszkiem, tylko trochę poniżej, tam, gdzie nie ma kontaktu z paznokciem. A niektórym paniom uda się nawet wystukiwać nie końcem palca, ale zgięciem w stawie. Cyrkowa sztuka. Sama bym jej nie opanowała, ale pewnie jak się przećwiczy, to da radę. Chcieć to móc.

Moja 13-letnia wnuczka mówi, że w jej VIII klasie teraz na koniec roku paznokcie stały się ważnym tematem. Muszą być długie, polakierowane i jeszcze do tego ozdobione tymi sztuczkami, które obecnie mają w ofercie tzw. salony paznokci. Chodzi się „na paznokcie". W Warszawie seans manicure kosztuje średnio ok. 150 zł. Sprawdziłam, podobno najtaniej jest u Wietnamczyków.

Opisy w literaturze młodzieżowej, i nie tylko młodzieżowej, przypominają czasy – ja również je pamiętam – w których 13-latki miały paznokcie niezbyt czyste od wspinania się na drzewa, zabaw plenerowych i innych czynności manualnych. To wydawało się całkowicie normalne, zważywszy na wiek. Nawet dobrze świadczyło o dziecku, że nie spędza czasu, siedząc na krześle. Obecnie jedyną zabawą manualną jest stukanie w ekran komórki.

Zastanawiam się, czy młode damy z tymi paznokciami nie mają mamy, która by im pokazała, co jest właściwe w tym wieku. Chyba że mama ma takie same paznokcie. Dlaczego szkoła nie reaguje? Przypominam sobie, że moi synowie w późnych latach 80. chodzili przez jakiś czas do szkoły angielskiej, gdzie co rano przed lekcjami odbywał się apel ze sprawdzaniem mundurków i detali wyglądu. Paznokcie polakierowane były zakazane; wynalazków typu hybryda i różnych takich tandetnych sztuczek wtedy jeszcze nie było. U nas publiczna szkoła nie potrafi się nawet zdobyć na zakazanie komórek na lekcjach.

Widocznie ludzkość ma za dużo wolnego czasu – ozdoby ciała: sztuczne rzęsy (czasem opadające do połowy policzka), tatuaże, piercingi. Młody człowiek bez tego wszystkiego jest goły, bez szans. Trzeba wyglądać jak ci państwo z telewizji. ©℗

eprasa.pl 000991d239

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Drzewka odkupienia

Pierwsza lepsza podfruwajka wiedziała, że z tym wyborczym odpuszczeniem Zielonego Ładu to ściema. To, tak jak wiele innych rzeczy, które teraz wyskoczyły (Mercosur, migranci, umowa handlowa z Ukrainą), czekało schowane pod kocykiem, żeby nie denerwować wyborców. Poudawaliśmy, pouwodziliśmy, ale – jak to się mówi – nie można mieć pretensji do faceta, że próbuje. Przynajmniej pretensji nie może mieć panna, skoro się zgodziła na wyborczą randkę w parku.

Tak jest i z tym Zielonym Ładem. Wybory przeszły i trzeba wracać do rzeczywistości. Oczywiście Unia tego nie wstrzymywała (wyłącznie) z powodu Polski. Po prostu po wejściu Trumpa do gry i wyłączeniu USA z transatlantyckiego szaleństwa ekologizmu Europa została sama z tymi pomysłami, a amerykańskie argumenty, że to się ma nijak nie tylko do ekonomii, lecz także do samego środowiska naturalnego, doszły do Europy. Rozpoczęła się trudna sztuka zmieniania tak, żeby wszystko zostało po staremu.

Rozpoczęto od… zmiany nazwy. Po prostu uznano, że sama nazwa Zielonego Ładu jest już spalona jak skrzynka kontaktowa w serialu „Stawka większa niż życie". I rozpoczęto gwałtowne poszukiwania nowej nazwy marketingowej. Tym razem padło na Clean Industrial Deal. Co się zmieniło? Ano cele się zmieniły. Mamy osiągnąć 90 proc. redukcji emisji dwutlenku węgla już w roku 2040. Podwyższono cel, ale oddalono w czasie jego osiągnięcie. W 2040 r. to nawet Bruksela nie jest pewna, czy Unia będzie w ogóle istniała. A więc celem staje się sama droga. A po drodze można zarobić, zwłaszcza kiedy cel jest tak oddalony w sferze realizacji, że staje się już tylko horyzontem.

Najfajniejsza jest nowa idea… pozaunijnych inwestycji ekologicznych. Ma to być odkupienie win ekologicznych w Europie: kary za zanieczyszczanie będą potrącane od proekologicznych wydatków poza Europą. Unia przyznała jednak, że mamy jedną planetę i samo czyszczenie powietrza w Europie nie ma sensu, skoro inni smrodzą, ile wlezie, a my kupujemy od nich produkty tańsze o brak podatku ekologicznego, szalejącego pod różnymi postaciami w Europie.

Teraz jak w Europie nasmrodzimy, to posadzimy drzewko – powiedzmy, że w Afryce. W końcu to jedna planeta. Już widzę, jak rozwija się cały międzynarodowy rynek drzewek, certyfikatów na zasadzenia i spekulacja nimi, tak jak w przypadku ETS. Myślę, że przejmą to… Chińczycy. Wszak to oni zarabiają na zielonym europejskim szaleństwie najwięcej. W końcu wyczyszczenie powietrza na planecie zatruwanej przez Chińczyków miałoby największy sens. I znowu Azja zarobi na naszych fantasmagoriach. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Czas na bunt pokoleniowy

Proceder wpychania do Polski przez zachodnią granicę cudzoziemców, aktywność obywatelskich straży i reakcje na nią zawładnęły wyobraźnią polityków i opinii publicznej. Wojna polsko-polska i skupienie się na bieżącym konflikcie utrudniają dotarcie do istoty. A przecież to, z czym mamy dziś do czynienia, jest niczym innym jak tym, czego doświadczają od lat kraje Zachodu. Istotą jest zapaść demograficzna, która kaskadowo niesie ze sobą wiele konsekwencji. Jedną z nich są problemy rynku pracy. Głośna sprawa niemieckiej firmy, która zatrudnia w Polsce pracowników z Ameryki Łacińskiej, zwiększa z roku na rok obroty, jednocześnie nie płaci podatków, bo deklaruje ciągłe straty, a jeszcze – jak się okazało – korzysta z pomocy publicznej, pokazuje patologie proimigracyjnej polityki.

Czy jesteśmy gotowi na zmaganie się z tym wszystkim, co niesie ze sobą migracja? A może wolimy powiedzieć sobie prawdę. Będziemy żyć skromniej, wydłużymy maksymalnie wiek aktywności zawodowej, nie liczmy na publiczny system emerytalny. Na naszych oczach wali się mit łatania rynku pracy masową migracją, a dosypywanie coraz większych kwot z budżetu do systemu emerytalnego opóźnia i maskuje zawalenie się drugiego mitu, którym były bismarckowski system ubezpieczeń i bezpieczeństwo socjalne. Czy stać nas, by powiedzieć dzieciom i wnukom prawdę? Że zamiast kolejnych wakacji w ciepłych krajach będą musiały pomóc nam, gdy będziemy już niesamodzielni? A może zawalenie się z hukiem systemu emerytalnego unaoczni naszym dzieciom i wnukom, że najlepszą i sprawdzoną inwestycją na starość jest liczna i wewnętrznie silna rodzina?

Należę do powojennego pokolenia. Moi rówieśnicy to niemal 800-tysięczna populacja Polaków. Dziś liczba urodzeń nie przekracza ćwierć miliona. Pokolenie urodzone w latach 80. i 90. nie chciało mieć dzieci. To złożony problem, z którym zmaga się tzw. cywilizowany świat. Mówiąc najprościej – niezdolność tworzenia trwałych małżeństw i licznych rodzin to przede wszystkim kwestia kulturowa. Jedyną nadzieją jest unaocznienie młodym, że rzeczywistości nie da się oszukać. Konfrontacja z rzeczywistością jest bolesna, ale konieczna. Zapomnijcie nie tylko o emeryturach. Zapomnijcie o tanim Uberze, o dostawie diety pudełkowej, o jedzeniu poza domem w tanich knajpkach. Zapomnijcie przede wszystkim o życiu bez zobowiązań, o luźnych związkach i tęczowych eksperymentach. Czas na bunt pokoleniowy. Młodzi ludzie są zdolni do radykalizmu. Czy tak, jak w czasach hipisowskich, ale teraz w drugą stronę, młodzi zdobędą się na odrzucenie modelu społecznego, którym żyli ich dziadkowie i rodzice? ©℗

eprasa.pl 000991d239

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kaczyński umie czekać

Niemieckie media – „Der Spiegel", a po nim Deutsche Welle – z bólem dostrzegły trud samoorganizującego społeczeństwa polskiego. Stop. W tytułach komplementowały Ruch Obrony Granic, choć to zapewne przez przypadek. Stop. „Ruch Obrony Granic torpeduje niemiecką politykę migracyjną" – grzmiały niemieckie tytuły i rzeczywiście, polscy wolontariusze nie pozwolili wiele razy podrzucać nam ludzi bez dokumentów, bez znajomości języka, bez sprawdzonej tożsamości, ale łasych na zdobycze socjalne. Stop. Niemieckawy Onet nazwał ROG „prawicowym", Tusk opowiadał o „skrajnej prawicy", a np. Sikorski grzmiał coś o faszystach, ale polskich. Stop. Wszystko to w atmosferze: trzeba Polakom zakazać pilnować granic, bo się Germanom nie podoba. Stop. Może to w związku z takimi właśnie wydarzeniami coraz głośniejsze są apele o polski rząd w Polsce? Według mnie taki rząd to by się przydał. Stop.

Jacek Pałasiński, przeprowadzając wywiad z Klaudią Jachirą, zadał pytanie wiekopomne: „Kto pani zdaniem mocniej nienawidzi? Oni nas czy my ich?". Stop. „Oj zdecydowanie oni nas" – odpowiedziała pani poseł. Stop. Za chwilę redaktor Pałasiński pozwolił sobie na okropne szyderstwo: wykonał figurę werbalną, z której wynikać miało, że członkowie i zwolennicy Platformy, w odróżnieniu od PiS, to inteligencja. Stop. Rozumieją państwo niestosowność tej sytuacji? Pałasiński przy Jachirze o inteligencji. Powinni tego zakazać!

Nie ma przypadków, są znaki. Stop. Uśmiechnięta koalicja 13 grudnia ustami Donalda Tuska poinformowała o rekonstrukcji rządu, która miała wydarzyć się 15 lipca. Stop. Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL publicznie zaczął kpić, że to data bitwy pod Grunwaldem, a tam zakon niemiecki sromotnie przegrał. Stop. Zmieniono więc datę na... 22 lipca, czyli podpisanie manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, czyli tak naprawdę utworzenie przez Stalina w Polsce marionetkowego komunistycznego niby-rządu, w którym znaleźli się tak twardzi komuniści jak Wanda Wasilewska czy Bolesław Bierut. Stop. O nowej dacie rekonstrukcji rządu poinformował szef Lewicy Włodzimierz Czarzasty, członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do 1990 r., czyli do samego końca. Stop. Nie ma przypadków, są znaki.

Gdyby ktoś z państwa chciał się spotkać z Szymonem Hołownią to można w nocy, w mieszkaniu Adama Bielana. Stop. Tak się spotkał np. Jarosław Kaczyński i sytuacja samego Hołowni zmieniła się po tym spotkaniu diametralnie. Stop. Tyle tylko, że nikt nie wie jak (oprócz tego, że diametralnie). Trzeba czekać. Kaczyński to umie. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Nowa Palestyna 2.0

Bardzo ciekawym pomysłem podzielił się właśnie izraelski minister obrony Israel Katz. Ogłosił on plany „skoncentrowania" pozostałych przy życiu mieszkańców Strefy Gazy w „strefach przejściowych", zwanych też „humanitarnymi". Granice tych obszarów kontrolowane będą przez armię izraelską, a opuszczenie ich będzie możliwe tylko w jeden sposób – na przymusową emigrację. Deklarowane przeznaczenie tych stref pozwala z czystym sercem nazwać je „koncentracyjnymi", terminu tego unikają jednak politycy. Podobna niełaska dotknęła też słowo „obóz". Chociaż tymczasowa zabudowa obszaru ma być z założenia prowizoryczna, izraelscy architekci „stref" nazywają je chętnie „miastami humanitarnymi". Jest mało prawdopodobne, by zakładano je na prawach magdeburskich, wojskowi urbaniści korzystają zapewne ze wzorów norymberskich.

Największym problemem, z którym borykają się dziś zwolennicy zamknięcia Palestyńczyków w „strefach", a następnie wysłania jak najdalej, jest na razie brak krajów, które zgodziłyby się ich przyjąć. Sąsiedzi Izraela zdecydowanie bronią się przed takim pomysłem, podobnie jak pozostałe państwa arabskie. Władze Izraela i USA sondowały już kilka krajów w sprawie przyjęcia na dłuższy pobyt 2 mln niespodziewanych gości – na razie nikt nie wykazał zainteresowania.

Ewentualne rozwiązanie problemu mogłoby się pojawić w wypadku poprawienia globalnych relacji pomiędzy Rosją a Izraelem i Stanami Zjednoczonymi. Nad rzeką Amur, niedaleko granicy z Chinami, leży górzysta kraina zwana kiedyś Nową Palestyną, następnie zaś Żydowskim Obwodem Autonomicznym w Birobidżanie. W lecie bywa tam nawet dość ciepło (temperatury lipca sięgają śródziemnomorskich 27 st. C), natomiast w zimie chłodno – (w styczniu –30 st. C). Klimat jest bardzo wilgotny, a dużą część obwodu pokrywają niedostępne moczary. Jeszcze przed śmiercią Stalina żydowska populacja Birobidżanu wynosiła kilkadziesiąt tysięcy osób i 25 proc. mieszkańców. Dziś nie sięga 1 proc.

Przesiedlenie „starych Palestyńczyków" do syberyjskiej „Nowej Palestyny" doskonale mieści się w logice działań podejmowanych dziś przez rząd premiera Netanjahu. Skoro wolno mu równać z ziemią całe miasta, ich populację głodzić, a niedobitki koncentrować w „strefach", to dlaczego nie zesłać ocalałych Palestyńczyków na Syberię, by tam uczyli się osuszania mokradeł i pokojowego współistnienia z gospodarzami Birobidżanu? Za czasów Józefa Stalina masowe deportacje narodów uważano za wykonalne i pożyteczne. Czy władze Izraela skorzystają także z tych wzorów? ©℗

eprasa.pl 000991d239

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

O sens wśród anomalii

W czasie, gdy ważą się losy konstytucyjnego porządku w Polsce, niezwykłą karierę zrobiło słowo „anomalia", opisujące rzekomo dziwne zjawiska podczas ostatnich wyborów prezydenckich. Pojawiło się ono także podczas rozprawy przed Izbą Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego 1 lipca. Używał go prokurator generalny, który stanął przed tą izbą z wnioskiem o jej wyłączenie z orzekania. Pojawiając się na rozprawie, w jakiejś mierze uznał jej prawo do rozpatrywania ważności wyborów, na co zwróciła uwagę sędzina izby, pytając, czy minister i prokurator generalny czuje się legalnie wybrany, skoro to właśnie ta izba orzekła o ważności wyborów z 2023 r., w których wyniku minister został ministrem. Nie potrafił on odpowiedzieć na to proste pytanie. Oto prawdziwa anomalia.

W tym czasie pojawiła się na rynku książka, która pozornie nie zwraca uwagi tematem i bohaterami, ale naprawdę dotyczy istoty tego, z czym mamy do czynienia na bieżąco – tego, co z tej historii jest w nas, Polakach A.D. 2025. To wywiad rzeka Piotra Zaremby z Robertem Kostro, byłym już dyrektorem Muzeum Historii Polski, pt. „Państwowiec z muzeum". Dyrektor Kostro, który przez 17 lat tworzył to muzeum wbrew wszystkim przeciwnościom tych burzliwych lat w polskiej polityce i doprowadził do jego otwarcia w warszawskiej Cytadeli, został z tej funkcji usunięty w zeszłym roku. Fakt ten to nie tylko symbol bezprawia – przerwano w ten sposób trwającą jeszcze kadencję dyrektora – lecz także fundamentalna anomalia. Tak wynagrodzono niewiarygodne wręcz wysiłki dyrektora i jego ekipy, zagrażając przy tym ciągłości pracy muzeum i jego wiarygodności.

Z książki wiele się o tym nie dowiemy, gdyż żalenie się na polityków nie jest w zwyczaju dyrektora Kostro. Dowiemy się natomiast wiele o samym muzeum. Jego losy obserwowałem z bliska, bo z perspektywy rady, w której mieliśmy okazję widzieć niełatwy rozwój tej instytucji, a przede wszystkim jej kształtu merytorycznego. Członkowie rady kolejnych kadencji reprezentowali różne opcje polityczne, a jednak co do ogólnej wizji polskiej historii i jej prezentacji przez muzeum dogadywali się bez problemów. Mam nadzieję, że stała ekspozycja muzeum, która ma tę wizję przedstawić, nie zostanie zmieniona przez obecne kierownictwo tylko dlatego, że dyrektor został zakwalifikowany do odstrzelenia. Wizja historii Polski opowiedziana przez dyrektora Kostro jest dostatecznie szeroka, by zaspokoić oczekiwania różnych twórców opinii historycznych. Rozmowa obu panów przypomniała mi zresztą własne rozważania nad sensem naszych dziejów najnowszych, gdy przy pomocy kartek papieru i maszyny do pisania marki Continental – nie było wtedy jeszcze komputerów – pisałem ponad 40 lat temu swoją „Najnowszą historię Polski".

Dyrektor Kostro należy do pokolenia absolwentów liceum z okresu upadku władzy komunistycznej w Polsce. Można westchnąć – to było pokolenie, które starało się zrozumieć chwilę dziejową i sens bycia Polakiem! Mam wątpliwość, jak wielu młodych Polaków jest tego świadomych dziś. Odpowiadając na pytania Zaremby, Kostro wydobył to, co najważniejsze – które wybory w naszych dziejach były słuszne i dlaczego. Historia bowiem winna uczyć nie tylko, jak wybierać, a także po co – a to ma ogromne znaczenie obecnie, w lecie 2025 r. Polska leży między Niemcami i Rosją i tego nie zmienimy. Nie są to sąsiedzi, którzy dadzą nam spokój. Sojuszników możemy szukać dalej, ale nie byli oni pewni. Musimy oglądać się na kontekst międzynarodowy, ale nie możemy się od niego całkowicie uzależniać.

Dziś Rosja nie przedstawia żadnej alternatywy pozytywnej. Może pod koniec XIX w., gdy się modernizowała, były pewne szanse. Dziś Rosja to apoteoza tępej siły i kłamstwa. Niemców mogliśmy dawniej nawet podziwiać. Dziś niemiecka Unia Europejska to obraz nędzy i rozpaczy, który Berlin chce nam narzucić. Dziś kompleksy niższości, typowe dla polskiej inteligencji, a lansowane z poczuciem wyższości przez Partię Lepszych to zwykła anomalia. Muzeum Historii Polski w kształcie wypracowanym pod dyrekcją Roberta Kostro to szansa, by dzisiejszy Polak zrozumiał, kim jest i jaki jest jego żywotny interes. ©℗

Dziś kompleksy niższości, typowe dla polskiej inteligencji, a lansowane z poczuciem wyższości przez Partię Lepszych to zwykła anomalia

eprasa.pl 000991d239

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Stany Zjednoczone powstały w chwili podpisania Deklaracji niepodległości. Grupa zbuntowanych poddanych króla brytyjskiego ogłosiła powstanie nowego państwa, które było dziwne – inne od wszystkich pozostałych państw świata w tamtym czasie, a także w całej historii ludzkości. Nie było monarchią, nie było teokracją, nie było… Takiego państwa nie było nigdy wcześniej i trzeba było dla jego określenia powymyślać różne nowe słowa.

Dziś „konstytucja" jest słowem potocznym, a dokument tego typu istnieje w prawie każdym kraju – wtedy… amerykańska konstytucja była pierwsza na świecie. „Demokracja" też jest dziś określeniem potocznym, ale wtedy większości ludzi na planecie Ziemi ta koncepcja nie mieściła się w głowie.

Stany Zjednoczone w chwili założenia to był ryzykowny eksperyment. Wymyślono od zera całkiem nowy system stanowienia władzy. Coś w rodzaju odkrycia praw fizyki. Prawa fizyki obowiązywały zawsze, ale to Isaak Newton odkrył je i opisał. Prawo Archimedesa istniało zawsze, ale też ktoś je musiał odkryć i opisać.

Ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych zrobili to, co Archimedes – opisali pewne zjawiska istniejące od zawsze: stwierdzili i ogłosili światu (a w pierwszym rzędzie brytyjskiemu królowi), że są na świecie pewne niezbywalne prawa każdej jednostki ludzkiej, które nie pochodzą od władzy ziemskiej, a zatem żadna władza ziemska nie może tych praw odbierać ani nadawać, a te prawa to np. prawo do życia, do wolności i do zabiegania o osobiste szczęście.

Prawo do życia i do wolności osobistej wydaje się dzisiaj rzeczą oczywistą – wtedy na ogromnych obszarach świata normą było niewolnictwo lub feudalizm. W żadnym z tych dwóch systemów nie było mowy o wolności osobistej.

Stany Zjednoczone były odstępstwem od obowiązujących norm, a pierwszy prezydent USA, George Washington, mówił o tym tak: „Jeśli ten eksperyment przetrwa 100 lat, to znaczy, że odnieśliśmy sukces". Eksperyment miał się zawalić już kilka razy, ale trwa, a w chwili obecnej rośnie w siłę. W przyszłym roku Stany Zjednoczone skończą 250 lat.

***

Obchody jubileuszowe już się rozpoczęły – potrwają ponad rok. Będą huczne, a do tego CIEKAWE I ROZRYWKOWE. Prezydent Trump ogłosił listę wydarzeń rocznicowych. Każde z nich ma podkreślać potęgę i dorobek Ameryki. Trump wie, jak się robi show.

Słyszeli państwo być może o sporcie o nazwie UFC (Ultimate Fighting Championship). Chodzi o pojedynki w ośmiokątnym ringu otoczonym siatką, gdzie zawodnicy tłuką się, stosując mieszane sztuki walki – „wolna amerykanka", tak należy określić ten typ walki. Organizację, która zajmuje się tym sportem, założono w roku 1993 w USA. Sport robi karierę światową, no ale nie da się ukryć, że jest sportem amerykańskim, tak jak amerykańska jest Coca-Cola niezależnie od tego, w jakim kraju ją pijesz. Trump wie, co z tym zrobić. W ramach obchodów 250. rocznicy powstania USA wielki pojedynek finałowy zostanie zorganizowany na terenie Białego Domu. To się nazywa promocja marki.

***

Dobrze się stało, że Trump nie został prezydentem na drugą kadencję w roku 2020. Gdyby został, obchody rocznicowe organizowałby ktoś inny, i nawet gdyby to był wielki patriota, nie umiałby lansować marki, potęgi i wyjątkowości USA, tak jak to robi Trump. Kilku innych prezydentów spotykało się na terenie Białego Domu z amerykańskimi sportowcami po zwycięstwie w mistrzostwach lub na igrzyskach, ale żaden inny prezydent nie zapytał, czy zawodnicy może są głodni, i nie wziął za telefon i nie zamówił im osobiście dostawy hamburgerów z McDonalda. Trump wie, jak lansować markę USA – telewizje całego świata pokazywały, jak topowa drużyna zajada sobie z prezydentem mocarstwa zwyczajne amerykańskie żarcie i opowiada dowcipy.

***

W trakcie pierwszej kadencji Trump załatwił dla USA dwie wielkie imprezy sportowe – mundial i igrzyska olimpijskie. Załatwił to za pomocą dwóch rozmów telefonicznych. Po prostu zadzwonił i zadał stanowcze pytanie o pierwszy wolny termin. Oba wolne terminy wypadały poza okresem przewidywanej drugiej kadencji Trumpa. A potem prezydentem został Joe Biden, a nie Trump, i ostatecznie stało się tak, że zarówno mundial w roku 2026, jak i igrzyska w 2028 r. odbędą się pod rządami Trumpa. Dzięki temu polska zawodniczka nie zostanie pobita przez transwestytę podającego się za kobietę, jak to miało miejsce w Paryżu. Trump zdelegalizował takie praktyki w sporcie – na terenie USA obowiązuje płeć biologiczna wynikająca z chromosomów, a do tego płeć może być tylko męska lub żeńska i nie ma czegoś takiego jak „zmiana płci" lub wybór jakiejś innej opcji. Na terenie USA powrócił zdrowy rozsądek – kastracja i doszywanie sztucznych cycków nie zmieniają płci. Szprycowanie faceta babskimi hormonami też nie zmienia płci. I to Komitet Olimpijski musi się podporządkować, a nie na odwrót.

***

Stany Zjednoczone będą świętować swoją 250. rocznicę przez ponad rok. Polska jest cztery razy starsza. Tysiąclecie powstania Królestwa Polskiego minęło w tym roku. Mielibyśmy z czego zrobić huczne obchody, ale nie było komu. Te dupki, które są u władzy, nie potrafią skorzystać z gotowej okazji. Przez tysiąc lat istnienia Polska dorobiła się wielu rzeczy, które można by lansować, podobnie jak Trump lansuje hamburgery, boeingi, Teslę, colę…

Krem Nivea to był polski patent. Polscy lotnicy, na orientację, szybowcowi można się chwalić. Polacy są najlepsi na świecie w rekonstrukcjach średniowiecznych bitew – tak jak Trump organizuje w Białym Domu największy pojedynek UFC, można było z okazji tysiąclecia zorganizować największą średniowieczną bitwę świata. Było z czego zrobić huczne obchody, nie było komu. ©℗

eprasa.pl 000991d239

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

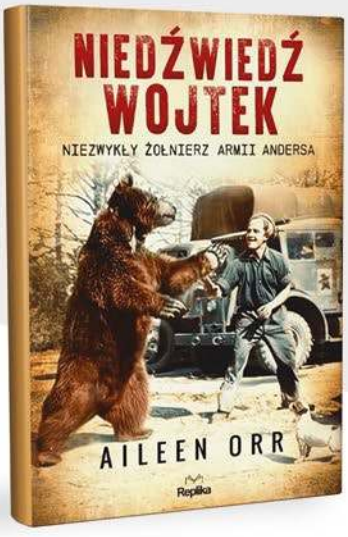

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
AILEEN ORR:
„NIEDŹWIEDŹ WOJTEK"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~761 ZŁ~~

292,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 000991d239

OBSERWUJ CODZIENNIE
- NAJSZYBSZE INFORMACJE O TYM CO **NAJWAŻNIEJSZE** W UE **DLA POLSKI**

YouTube
@PatrykJakiPL

Facebook
@PatrykJaki

X.com
@PatrykJaki

Instagram
@patrykjaki_official

TikTok
@patrykjakiofficial

Patryk Jaki

POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

EKR GRUPA

www.ecrgroup.eu

1000991d239